

Nowa powieść autorki „Kochając pana Daniela”

*Byliśmy rozbici. Poznaczeni bliznami.
Byliśmy dziwni i piękni zarazem.*

Art & Soul

Brittainy C. Cherry

Cherry Brittainy C.

Art & Soul



Dla Babci.

Kocham Cię.

Tęsknię za Tobą.

Kocham Cię jeszcze bardziej.

Dusza bowiem barwi się wyobrażeniami.

~ Marek Aureliusz[1]

[1] Cytaty z Marka Aureliusza w przekładzie Mariana Reitera [przyp. tłum.].

barwa | rzeczownik, rodzaj żeński

1. Odcień, cecha nadająca charakter komuś lub czemuś.

2. Jej.

3. Moja.

4. *Nasza*.

ROZDZIAŁ 1

Levi, lat siedemnaście

Mama znów się zamartwiała. Zacząłem mieć wyrzuty sumienia, ponieważ nie podzielałem jej obaw.

Powiedziała, że ją porzucam, jednak starałem się jak mogłem, by zrozumiała, że było inaczej. Trzymałem komórkę w pewnej odległości od ucha, słuchając jej głosu pełnego niepotrzebnych, choć dobrze mi znanych obaw. Mama wszystkim martwiła się za bardzo, ciągle robiąc z igły widły. Moja ciotka, Denise, powtarzała jej nieustannie, że główną przyczyną rozpadu jej związków był błędny sposób rozumowania. „Właśnie dlatego nie ułożyło ci się z Kentem, Hannah. Odepchnęłaś go”, pouczała. „Właśnie dlatego z nikim się nie umawiasz, Hannah. Jesteś niestabilna emocjonalnie i boisz się bliskości”.

Denise od dwóch lat była mężatką, przez co najwyraźniej stała się związkowym guru.

– Nie chcę tylko, żebyś znowu cierpiał, Levi. – Mama westchnęła do słuchawki.

Obwiniła siebie za mój wyjazd do Wisconsin, chociaż to ja podjąłem decyzję, że spędzę ten rok z ojcem. Nie widziałem go, odkąd skończyłem jedenaście lat, i miałem jakieś dziwne przeczucie, że jeśli nie spróbuję odbudować relacji z tym człowiekiem, to nigdy w pełni nie poznam własnego ojca. Poza tym mama potrzebowała wytchnienia. Ja również go potrzebowałem.

Od zawsze uczyłem się w domu, więc w pewnym momencie zaczęła traktować mnie tak, jakbym był jej drugą połówką. Niemal już z nikim nie rozmawiała, prócz Denise i mnie.

Denise powtarzała mi: „Nie jesteś dobry dla mojej starszej siostry, Levi Myersie. Wiem, że jesteś jej synem, jednak nie jesteś dla niej dobry”.

– Nic mi się nie stanie, mamó. – Nie powiedziała już nic więcej, lecz wyobraziłem sobie, jak zdenerwowana stuka paznokciami o najbliższą powierzchnię, sącząc lurowatą kawę. – Serio.

– Dobrze. Ale jeśli będzie ci u niego źle, to przeniesiesz się do Lance’a, prawda? Albo wrócisz do domu? – Umilkła na chwilę. – Wrócisz do domu, jeśli to będzie zbyt trudne, dobrze?

– Oboje wiedzieliśmy, że tak naprawdę nie mieliśmy wyboru. Nie byłem dobry dla niej i dla jej zdrowia psychicznego. Miałem nadzieję, że będę lepszy dla ojca. Skinąłem głową, jak gdyby mogła mnie zobaczyć, a ona ciągnęła: – To gdzie teraz jesteś?

– Czekam na autobus do miasta.

– Autobus?

– Najwyraźniej tacie zepsuł się samochód.

Wymusknęło jej się kilka przekleństw, a ja skrzywiłem się z powodu jej oczywistej niechęci do mojego ojca. Trudno mi było sobie wyobrazić, że kiedyś byli zakochani. Nie za bardzo znałem tatę, a tych kilka rzeczy, które o nim wiedziałem, usłyszałem od matki. Dopóki nie skończyłem jedenastu lat, każdego lata przyjeżdżałem do niego na tydzień. Przesyłał mi kartki na święta i na urodziny; załączał do nich pieniądze i samoprzylepne karteczki z krótkimi wiadomościami. Nie było to nic wielkiego, jakieś życzenia wszystkiego najlepszego z okazji urodzin czy wesołych świąt w Boże Narodzenie. Wciąż miałem je wszystkie w pudełku po

butach.

Jednak nastał rok, gdy przestały przychodzić. Powiedział mamie, że lepiej będzie, jeśli nie będę go odwiedzał, chociaż nigdy nie podał przyczyny. Moim celem na ten rok było znalezienie odpowiedzi, dlaczego nie chciał moich wizyt i dlaczego przestał pisać. Zamierzałem dołożyć wszelkich starań, by rozwikłać zagadkę tego, co zaszło między nami.

– Zadzwoń do Lance’a i poproszę, żeby cię podwiózł.

– Mamo, nie. Lance jest w pracy. I to nic takiego.

Lance był moim wujkiem, bratem taty i jedynym powodem, dla którego matka pozwoliła mi spędzić ten rok z ojcem. Pomógł mi ją przekonać, że ta przeprowadzka może się wszystkim nam przysłużyć. Obiecał mnie pilnować.

Chociaż nie potrzebowałem, żeby to robił. Nie byłem już dzieckiem, a mieszkając z matką, naoglądałem się wystarczającego chaosu, by przetrwać rok z ojcem. Musiałem szybko dorosnąć i stać się mężczyzną, bo w naszym życiu z mamą takowego brakowało.

Oparłem się o słupek na przystanku autobusowym, rzuciłem torbę podróżną na ziemię, po czym oparłem o nią futerał ze skrzypcami.

– Już w porządku. I tak autobus już jedzie – skłamałem. Trzymałaby mnie przy telefonie dłużej, niż chciałbym rozmawiać. – Zadzwoń później, dobrze?

– Dobrze. Zadzwoń później. Albo ja do ciebie zadzwonię. Zadzwoń, co? Aha, Levi?

– Tak?

– Kocham cię po wszystkie czasy.

Powtórzyłem te słowa, które kierowała do mnie, odkąd sięgałem pamięcią. Z jakiegoś powodu miała przedziwne zamiłowanie do piosenki *Love You Till The End*, zespołu The Pogues, więc przez całe moje życie ten utwór przynajmniej raz dziennie odtwarzany był w naszym salonie.

Jadąc autobusem, zastanawiałem się, jakiego rodzaju muzyka wypełniała dom ojca. Mogłem się założyć, że nie The Pogues.

Najwcześniejszy autobus zmierzający w stronę domu taty wysadził mnie na przystanku oddalonym od mojego celu o dwadzieścia minut spacerem. Nie przeszkadzało mi to, poważnie – no może oprócz ciemnych chmur wiszących mi nad głową. Zaczęło mżyć, kiedy byłem w połowie drogi, przyspieszyłem więc i ni to marszem, ni to biegiem pogałem przed siebie.

W końcu dotarłem do domu ojca. Na trawniku zobaczyłem jego samochód: miał uszkodzoną maskę, zbity jeden reflektor i nikt nie pofatygował się, by zamknąć drzwi od strony kierowcy. Na ganku migotało światło, które ledwie przyciągało muchy i ćmy. W ogrodzie stał leżak, który wyglądał tak, jakby nikt nie używał go od lat siedemdziesiątych, a na brązowiejącej trawie leżało nadjedzone danie z mikrofali.

Najlepsze, co mogło spotkać ten trawnik, to deszcz, który właśnie padał.

Wszedłem na drewniany ganek, który skrzypiał i pisał przy każdym, nawet najmniejszym, ruchu. Istniała realna szansa, że rozpadnie się od samego mojego ciężaru.

Czarne drzwi były uchylone, więc nie zwracałem sobie głowy pukaniem.

– Tato?

Nie dostałem odpowiedzi.

Wszedłem do przedpokoju, z którego zobaczyłem go w salonie na kanapie. *Przynajmniej dom jest czysty, w przeciwieństwie do trawnika.* Nogi taty zwisały poza oparcie, a dźwięk, jaki się stamtąd dobywał, podpowiadał mi, że ojciec śpi.

– Tato. – Obrócił się, ale nie obudził.

Po tych wszystkich latach patrząc na niego, miałem mieszane uczucia. Byłem szczęśliwy, smutny, rozżalony i zły, wszystko naraz. Miałem ochotę krzyknąć na niego za to, że mnie opuścił, i uściskać, bo pozwolił mi wrócić po całym tym czasie.

Pragnąłem, by powiedział, że tęsknił, by przeprosił i wyjaśnił, dlaczego nie odzywał się przez ostatnie lata.

Jednak najbardziej chciałem, by się obudził.

Odchrząknąłem, jednocześnie próbując zapanować nad emocjami.

– Tato – powiedziałem, tym razem głośniej, trącając jego nogi podszwą swojego niebieskiego trampka. Mruknął coś, po czym obrócił się twarzą do kanapy. – Żartujesz sobie? – wymamrotałem pod nosem, nim rzuciłem na niego torbę. – Tato!

Usiadł i się skrzywił.

– Co, u diabła? – Potarł zmęczone oczy. Zacisnął dłonie w pięści i uniósł głowę, by na mnie spojrzeć. – Ty to zrobiłeś?

– Tak. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć, że przyjechałem.

Podrapał się po szpakowatej brodzie, po czym znów się położył twarzą do kanapy.

– Twój pokój jest na końcu korytarza po prawej. – Nie minęło dużo czasu, nim ponownie chrapał.

– Ciebie też miło widzieć.

Wszedłem do swojej sypialni, w której znalazłem świeżo posłane łóżko oraz komodę, na której leżały ręczniki i przybory do kąpieli.

Przynajmniej o mnie pomyślał.

Na podłodze stało kilka kartonów z moimi rzeczami, które przysłała mama. Nic więcej.

Mój telefon zadzwonił, na ekranie pokazało się imię Lance'a.

– Słucham?

– Cześć, Levi! Dotarłeś cały i zdrowy? Wiem, że Kent miał cię odebrać z lotniska, ale i tak chciałem się upewnić.

– Tak, już jestem. Samochód taty się zepsuł, więc przyjechałem autobusem, ale jakoś dotarłem.

– Młody, trzeba było do mnie dzwonić, przyjechałbym po ciebie.
– Dałem radę, wiedziałem, że pracujesz. To nie była trudna wyprawa.
– Następnym razem, jak będzie ci czegoś trzeba, nie wahaj się i dzwoń. Rodzina jest ważniejsza niż praca, prawda? Rozpakowujesz się? Kent się tobą zajął?
– Właściwie to śpi.
Lance umilkł na chwilę.
– Tak, ostatnio często mu się to zdarza. Na pewno nic ci nie trzeba? Jedzenia? Towarzystwa? Jedzenia i towarzystwa? Mogę przyjechać i zagadać cię na śmierć. – Roześmiał się.

- Nie, serio, nie trzeba. Chyba się po prostu rozpakuję.
- Dobra, ale zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebował, bez względu na porę.
- Dzięki, Lance.
- Nie ma sprawy, kolego. Do zobaczenia.

Odłożyłem telefon, usiadłem na łóżku i zagapiłem się na puste ściany. Nie mogłem nazwać tego miejsca domem. Czuję się tu obco. Z mamą mieszkaliśmy w Alabamie, a naszym domem była chata w lesie. Jediną dobrą rzeczą tutaj był ogród otoczony drzewami. Bez tych drzew i wspomnień o ojcu prawdopodobnie czułbym się tu jak na Plutonie.

Otworzyłem jedno pudło i wyjąłem z niego płyty, całą kolekcję najróżniejszych gatunków muzycznych. Z łatwością mogłem w niej znaleźć jazz, jak również płytę Jaya Z oraz The Black Crowes. Mama była muzykiem i wierzyła, że warto zapoznać się z każdym gatunkiem. W ciągu dnia słuchaliśmy wszystkiego, co się dało, właściwie w naszym domu rzadko panowała cisza.

Dom ojca milczał.

W kolejnym kartonie znajdowały się rozmaite książki naukowe: encyklopedia, słowniki pojęć oraz dwutomowa edycja słownika oksfordzkiego. Uczyłem się w domu i mama codziennie kazała mi przeglądać te wydania i znajdować w nich dziesięć słów, których jeszcze nie znałem, abyśmy mogli używać ich we wspólnie pisanych piosenkach. W innych pudłach znajdowały się serie: *Harry Potter*, *Igrzyska Śmierci*, *Opowieści z Narnii*, wszystkie książki Stephena Kinga oraz dziesiątki innych pozycji.

Zacząłem kartkować jeden ze słowników.

chcieć | czasownik modalny niedokonany

1. Pragnąć lub życzyć sobie kogoś lub czegoś;
2. Potrzebować kogoś lub czegoś;
3. Mieć chęć na coś.

Chciałem, by tata chciał mnie choć trochę. Chciałem, by mama nie chciała mnie tak bardzo. Chciałem być chciany, ale nie chciany za bardzo.

Zamrażarka pełna była gotowych dań. Na półkach w lodówce leżały kanapki z wędlinami, owoce, resztki pizzy, stało piwo taty i piwo korzenne[2].

Przynajmniej pamiętał o moim ulubionym napoju.

Na kolację zjadłem ohydne ziemniaki i pieczeń, popijając to wszystko dwiema butelkami piwa korzennego. Tata jadł to samo, ale w innym pokoju. Przez resztę wieczoru trzymałem się od niego z dala, poszedłem do lasu pomimo deszczu. Wysoko, między powykręcanymi gałęziami drzew znajdował się domek, który wspólnie zbudowaliśmy, gdy miałem dziewięć lat. Wydawało mi się, że był większy, najwyraźniej tak właśnie działają wspomnienia – nie zawsze oddają stan faktyczny.

Na pniu widniały wryte nasze inicjały, a pod nimi słowa: „Siedziba mężczyzn”.

Przeciagnałem palcami po każdym słowie.

Nie pamiętałem rycia tych liter.

Zacząłem się zastanawiać, o czym jeszcze zapomniałem w związku z tym miejscem.

Wspiałem się po mokrych, choć nadal dość stabilnych szczeblach na drzewo i usiadłem w ciasnym domku, w którym pełno było pajęczyn, martwych robaków i starych puszek po piwie. W rogu stał wysłużony odtwarzacz, na którym słuchaliśmy z tatą naszych ulubionych płyt, kiedy się tu wygłupialiśmy i zbijaliśmy bąki.

Bez namysłu wcisnąłem guzik odtwarzania, jednak sprzęt był tak samo martwy jak robaki.

Usiadłem przy oknie ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i zagapiłem się na padający deszcz.

Deszcz zawsze przypominał mi o mamie.

Może zaczynałem trochę za nią tęsknić.

[2] Amerykańskie piwo korzenne zwykle nie zawiera alkoholu, dlatego pijają je też dzieci i młodzież [przyp. red.].

ROZDZIAŁ 2

Aria, lat szesnaście

Powinłam już spać.

Jednak deszcz uderzający o dach domu z bezlitosną siłą sprawiał, że nie mogłam zmrużyć oka. Obróciłam głowę, by spojrzeć na zegarek elektroniczny stojący na stoliku nocnym. Czerwone światło nieustannie przypominało mi o tym, dlaczego powinłam już zasnąć.

Była druga dwadzieścia dwie.

Podniosłam się nieco i oparłam plecami o zagłówek. Odrzuciłam na bok brzoskwiniowo-brązową kołdrę i westchnęłam. Wsadziłam kciuk do ust i zaczęłam obgryzać i tak już krótki paznokiec.

Nie znosiłam spokoju panującego w domu. Nie podobało mi się to, że wszyscy domownicy potrafili spać przy dźwiękach burzy przetaczającej się nad Mayfair Heights. Nie mogłam znieść faktu, że zapewne śnili o pięknych, szczęśliwych chwilach, podczas gdy ja siedziałam w łóżku, zbyt drobiazgowo nad wszystkim się zastanawiając.

Wstałam i zamknęłam drzwi, do których poprzyczepiane były niektóre moje rysunki i wspólne zdjęcia z rodziną. Wycięte litery A R I A rozwieszono nad drzwiami do pokoju miały pokazywać, jaka jestem wyluzowana.

Albo wręcz przeciwnie.

Wsunęłam stopy w stare jasnozielone klapki. Przerzuciłam pasek torby z frędzlami przez ramię i wymknęłam się przez okno na parterze. Nie wykazałam się rozumem na tyle, by na podkoszulkę i spodenki od piżamy włożyć choć kurtkę. Nocne sierpniowe powietrze było chłodne, do tego deszcz wcale nie ułatwiał sprawy. Gdy dotarłam do skrzyżowania, byłam przemoczona od stóp do głów.

Zastanowiłam się przez chwilę i zdecydowałam iść skrótem przez lasek pana Myersa, znajdujący się przy końcu ulicy. Pomysł wydawał się dobry, póki nie zaczęłam brodzić w zabłoconej trawie, przez co moje klapki z jasnozielonych stały się ciemnobrązowe.

Okrutna burza dawała mi się we znaki, niemal tak bardzo, jak umysł, który poniewierał serce. Wiedziałam, że głupotą było wychodzenie z domu tak późno w nocy, jednak gdy się ma zbolełe serce, wokół istnieje niewielu ludzi, którzy potrafią je ochronić.

Dotarłam na skraj lasu i westchnęłam z ulgą, kiedy stanęłam na ziemi pana Myersa. Jego dom był jedyny po tej stronie drogi i bardzo przypominał swojego lokatora: był zniszczony. Jednokondygnacyjny, z całym mnóstwem usterek, wliczając w to migające na ganku światło, pękniętego krasnala stojącego obok skrzynki na listy i poobijany samochód, który wyglądał na starszy niż ten należący do mojego dziadka.

Pan Myers mnie nie znał i zapewne tak było lepiej. Był typem człowieka, którego nie miałam potrzeby poznawać. Mama mówiła, że był samotnikiem z sąsiedztwa. Tata nie był aż tak wyrozumiały i nazywał go głupim dupkiem. Tydzień wcześniej pan Myers wjechał w skrzynkę pocztową pani Sammie na Ever Road. Większość ludzi zgłosiłaby to na policję, jednak pani

Sammie powiedziała, że ten człowiek powinien poczytać Biblię i porozmawiać z Jezusem. Kiedy już wycofał auto, zrobiła mu nawet kanapkę.

Po drugiej stronie ulicy zauważyłam, że na ganku domu Simona pali się światło.

Dzięki Bogu.

Simon był moim najlepszym – i jedynym – przyjacielem. Zналиśmy się od kołyski. Nasze mamy się przyjaźniły, więc Simonowi i mnie również przeznaczona była zażyłość. Myślę, że nasi rodzice byli lekko rozczarowani, gdy się w sobie szaleńczo nie zakochaliśmy i nie doczekaliśmy się wspólnego szczęśliwego zakończenia. Simonowi bardziej podobały się blond pasma niż moje kasztanowe włosy, a ja leciałam na chłopaków, którzy mówili, że jestem urocza, po czym przestawali mnie zauważać; zatem nasz romans nigdy się nie ziścił.

Deszcz był lodowaty. Staralam się jak mogłam, by zakryć przemoczoną, prześwitującą białą koszulkę, kiedy przemykałam się przez ogródek Simona i stukałam w okno jego pokoju, z nadzieją, że nie obudzę jego rodziców. Owszem, nasze rodziny się przyjaźniły, gdyby jednak pani Landon znalazła mnie w takim stroju u Simona, skończyłoby się to zapewne miłą sesją terapeutyczną.

Stojąc w kałuży, drżałam.

Simonowi zeszło kilka minut, nim się obudził i mnie zobaczył. Zamrugał parę razy, po czym przetarł zaspane oczy. Otworzył w końcu okno, więc wdrapałam się przez nie, czego nie robiłam od lat.

Simon został przy oknie, by je zamknąć. Dwa razy je sprawdził, po czym sprawdził po raz trzeci, a następnie – dla pewności – sprawdził raz jeszcze.

Większość chłopców przynajmniej by mi się przyjrzała, ponieważ moja przemoczona podkoszulka przykleiła mi się do piersi, na których nie miałam biustonosza, jednak Simon nawet nie zerknął. Do tego nie miał okularów, a bez nich był ślepy jak kret. Kiedyś, gdy byliśmy młodszy, zastał mnie, gdy przebierałam się w jego pokoju. Wtedy miał na nosie okulary i natychmiast spojrzał na moją klatkę piersiową. Przez kolejne dwa miesiące rumienił się za każdym razem, gdy na mnie patrzył.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z odrobiną niepewności w głosie. Jeśli istniał ktoś, kto martwił się o mnie bardziej niż rodzice, to był to Simon. Był w tych swoich obawach naturalny – miał też ku nim dobry powód: ciężką przeszłość, przez którą mógł zamartwiać się nieco bardziej niż inni.

– Po prostu mi zimno – odpowiedziałam, nie chcąc denerwować go jeszcze bardziej.

– O drugiej w nocy postanowiłaś się wybrać na spacer, tak?

– Tak.

– W ulewnym deszczu?

– Nie był ulewny, gdy wychodziłam – skłamałam.

– Jestem pewien, że jednak był.

– Ale myślałam, że się uspokoim.

– Powinnaś sprawdzić prognozę.

– Następnym razem sprawdzę.

– Przyniosę ci jakieś ręczniki i mokrą szmatkę, żebyś mogła zetrzeć błoto ze stóp.

Brudzisz mi dywan. – Nie wydawał się zezłoszczony błotem na podłodze, ale i tak wiedziałam, że było wręcz przeciwnie.

Poszedł do łazienki, a ja w tym czasie starałam się stać bez ruchu, żeby nie nabrudzić jeszcze bardziej.

Wrócił z ręcznikami, po czym otworzył dolną szufladę komody i wyjął moją piżamę, którą zawsze u niego trzymałam. Podał mi ją, po czym obrócił się, by dać mi nieco prywatności.

Zdjęłam wszystkie mokre rzeczy i włożyłam przez głowę czystą koszulkę.

– Będziesz musiała przynieść więcej swoich ciuchów do komody, jeśli planujesz się do mnie wprowadzić – stwierdził z sarkazmem, choć wyjątkowo uroczo. – Powiedz tylko kiedy.

Na trupio blade nogi założyłam suche spodenki, po czym wygładziłam je palcami.

– Możesz się odwrócić.

Podszedł do komody, gdzie zawsze odkładał okulary. Otworzył etui i na zielone oczy założył szkła. Jego rude włosy sterczały tu i ówdzie, inne były całkowicie przyklepane. Wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażałam sobie osobę imieniem Simon: był szczupły, wysoki; przypominał kujona, choć był też na swój sposób przystojny.

– Ogoliłeś prawą stronę głowy? – zapytał, patrząc na moją nową fryzurę.

– Tak, podoba ci się?

Przechylił głowę na lewo i przyjrzał mi się z innej perspektywy, po czym nadal patrząc, przechylił głowę na prawo.

– Jest... artystycznie. I to bardzo.

– Nie podoba ci się. – Naprawdę tak było. Nie dziwiło mnie to.

– Nie, nie. Podoba mi się – stwierdził, co było kłamstwem. Simon, jeśli chodziło o wygląd, lubił rzeczy jak najbardziej normalne. Nienawidził się wyróżniać, ale wiedział, że przyjaźni się z artystką, która wizerunkowo zawsze będzie się nieco wyróżniała.

Uśmiechnęłam się, słysząc jego kłamstwo; podeszłam do krzesła przy biurku i usiadłam. Jego pokój nie był tak pełen kolorów jak mój. Raczej sprawiał wrażenie nudnego. Płócienny dywan i perłowo białe ściany. Jedynymi kolorowymi akcentami były plakaty z ulubionych gier.

Simon przykucnął na dywanie i zaczął ścierać błoto.

– Przepraszam za to, Si.

Śmiał się cicho, aż mu drgały ramiona.

– Wiesz, jak mawiają: nie ma lepszego sposobu na wyleczenie nerwicy natręctw niż ubłocony dywan. – Opadł na kolana i zaczął mocniej szorować.

Pochyliłam się, opierając łokcie na kościstych kolanach. Starając się nie krzywić, zapytałam:

– Jak leci? – Simon zawsze był przewrażliwiony na punkcie swoich rzeczy, choć nigdy nie sądziłam, że jest to prawdziwy problem. Zazwyczaj wydawało się, że irytują go drobiazgi.

Kiedy byliśmy mali, jego zabawki musiały być ustawione przodem w odpowiednim kierunku. Dźwięk w telewizorze musiał być ustawiony na liczbę z czwórką na końcu. Widelce zawsze musiały być oddzielone od łyżek. To były doprawdy drobiazgi, jednak im byliśmy starsi, tym bardziej potęgował się problem Simona z cyfrą cztery. Stół w jadalni zawsze musiał być nakryty dla czterech osób, nawet jeśli posiłek jadło tylko dwoje ludzi. Wszystkie zamki w drzwiach i oknach musiały zostać czterokrotnie sprawdzone.

Simon usiadł na piętach, westchnął i otarł czoło.

– Nigdy nie będę miał dziewczyny ani żadnej nie przelecę, co? Będę czterdziestoletnim prawiczkim.

– Nie wygłupiaj się – powiedziałam. – W swoim czasie przelecisz.

– Prawda. I będzie to wyglądało jak: „Hej, kociaku, byłoby świetnie, gdybyś mi tylko pozwoliła cztery razy założyć i ściągnąć gumkę, zanim zaczniemy się bzykać”. A ona odpowie: „Jasne, nie ma problemu”.

Parsknęłam śmiechem.

– Masz rację. Nigdy żadnej nie przelecisz.

Simon popatrzył na mnie zmrużonymi oczyma, po czym wrzucił szmatkę do kosza na brudy. Podszedł do szafki nocnej i cztery razy wycisnął z tubki płyn do dezynfekcji rąk.

– Jesteś wredna.
– Też cię kocham. – Uśmiechnęłam się. Moje włosy nadal były mokre od deszczu, więc zaczęłam je splatać. – Słuchaj, jeśli będziesz prawiczkiem na dzień przed swoimi trzydziestymi dziewiątymi urodzinami, przyjdę do ciebie i będziemy uprawiać seks. Nawet pozwolę ci cztery razy dotknąć moich cycków.
Spojrzał na moje piersi i rozchylił usta. Jego policzki odmalowały się szkarłatem.
– Może będę chciał dotknąć ich sześć razy. Albo dziesięć. Kto wie, jak do tego czasu rozwinie się mój problem.
– Czasami wyłazi z ciebie prawdziwy facet.
– I nie zapominaj o tym. – Wskoczył na łóżko i poprawił okulary na nosie. – Planujesz udawać, że jak gdyby nigdy nic postanowiłaś odwiedzić mnie o tej porze, czy od razu porozmawiamy o tym, co cię gryzie?
– Po czym wnioskujesz, że coś mnie gryzie?
Uniósł brew. Serce zabiło mi mocniej, gdy wzięłam torebkę i usiadłam z nią na jego łóżku. Skrzyżowałam nogi i zacisnęłam usta.
Wyjęłam papierowy ręcznik i rozłożyłam go na kołdrze.
Znów sięgnęłam do torebki.
Jeden.
Dwa.
Trzy.
Cztery.
Na papierowym ręczniku ułożyłam cztery plastikowe testery, po czym przyglądałam się, jak powietrze uchodzi z płuc Simona. Milczał, przez co zrobiło mi się niedobrze.
– Czy to...?
Skinęłam głową.
– I są...?
Ponownie skinęłam.
Specjalnie dla mojego przyjaciela zrobiłam aż cztery testy. Cóż, dla jego i dla własnego samopoczucia.
– Skąd na to wzięłaś? – zapytał, wiedząc, że nigdy nie miałam kasy nawet na lody czy czekoladę.
– Oszczędzałam, pilnując ostatnio Grace i KitKat. I możesz mi wierzyć, dostrzegam ironię, że zarobiłam na to, niańcząc dzieci.
Cztery różne testy. Cztery różne marki. Cztery różne dni. I cztery pasujące do siebie wyniki.
Simon, niezdolny nic wymyślić, opadł na łóżko i zasłonił ręką usta.
– Aria... proszę, powiedz to, bo póki żadne z nas nie ubierze tego faktu w słowa, wydaje się to nieprawdą.
– Jestem w ciąży. – Wypowiedzenie tego zapiekło mnie w gardle, a kiedy słowa wydostały się z moich ust, poczułam się nedorzecznie samotna.
– Kiedy? Z kim?
– W wakacje. Z chłopakiem.
– Nie wspominałaś o żadnym chłopaku. – Simon był bardzo ciekaw, ale ja nie chciałam wchodzić w szczegóły na temat własnego upokorzenia i zadurzenia się w niewłaściwym facecie.
– Stwierdziłam, że nie był wart wspomnienia.
Simon nie wiedział, co powiedzieć. Ja również.
Siedzieliśmy w ciszy aż do piątej pięćdziesiąt sześć. Burza minęła. Wiedziałam, że muszę

wrócić do domu, nim rodzice wstaną do pracy. Obiecałam im, że za dwadzieścia dolców popilnuję siostrzyczek.

Wygramoliłam się przez okno Simona i podziękowałam za to, że przy mnie siedział i ani razu nie spojrzął z wyrzutem.

– Masz zamiar je urodzić? – szepnął Simon.

Wzruszyłam ramionami. Nie myślałam poważnie o swojej ciąży, po tym, jak nasikałam na cztery różne testy i przekazałam mu tę wiadomość.

– Moi rodzice wpadną w szal.

Simon zmarszczył brwi. Dobrze wiedział, jak zaczną z tego powodu svirować. Zwłaszcza tata.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, daj mi znać.

Posłał mi nieznaczny, smutny uśmiech. W posiadaniu przyjaciół jest coś wspaniałego. Nieustannie przypominają, że tak naprawdę nie jesteśmy sami.

Wracałam przez lasek pana Myersa; mniej więcej w połowie drogi przystanęłam i spojrzałam w niebo. Słońce budziło się, ziewając i powoli rozciągając promienie po drzewach, rozgrzewając liście, które wkrótce spadną na ziemię.

Nie byłam gotowa na ten poranek. Nie byłam gotowa na powrót do domu. Nie byłam przygotowana na to, że jutro rozpocznie się pierwszy dzień szkoły, a ja będę „tą” dziewczyną. Dziewczyną, która zacznie nosić obszerne ubrania, by ukryć powiększający się brzuch. Dziewczyną, która będzie postrzegana nie przez pryzmat artystycznego talentu, ale złej decyzji. Dziewczyną, która wpadła, będąc w szkole średniej.

Oparłam się plecami o drzewo, pozwalając, by poranny wietrzyk całował mnie po policzkach.

– Hej, hej, nie bój się.

Cichy głos sprawił, że się odwróciłam. Rozejrzałam się po lesie, szukając jego źródła. Głos mówił dalej, ale było jasne, że słowa nie są przeznaczone dla mnie.

– Jesteś piękny.

Te słowa zdecydowanie nie były kierowane do mnie. Kiedy ludzie o mnie mówili, zwykle było to coś w stylu: „O. Aria. Jesteś taka... wyjątkowa” lub „Jesteś taka chuda, zjedz hamburgera”, albo „Coś ty, u licha, zrobiła tym razem z włosami?!”.

Kilka metrów przede mną znajdował się chłopak; kuczał przed jeleniem. Oczy zwierzęcia były wielkie i czujne, chociaż ono samo nie było na tyle przerażone, by uciekać. Nigdy wcześniej nie widziałam tego gościa, jednak wydawał się być w moim wieku. Znałam wszystkich w Mayfair Heights – nawet jeśli oni mnie nie zauważali – więc dziwne, że jego twarzy nie kojarzyłam. Miał czapkę, spod której wystawały kosmyki włosów koloru czekolady i niewielki zarost na policzkach. Do tego szafirowa koszulka, sprane jeansy i luźno zawiązane niebieskie trampki.

W dłoni wyciągniętej w kierunku jelenia trzymał jagody.

– Będą ci smakować – obiecał. Zauważyłam, że za każdym razem, gdy się odzywał, przeciągał wyrazy. Nie pochodził stąd – byłam tego pewna. Na końcu każdego jego zdania pojawiał się południowy akcent; ton jego głosu był kojący.

Jeleń zrobił krok na przód, przysunął się do chłopaka. Ciekawość wzięła nade mną górę,

liczyłam na to, że jeleni nawiąże kontakt z nieznajomym.

Można tak karmić jelenie? Serio?

Chciałam odwrócić wzrok, ale jednocześnie chciałam nadal patrzeć. Cofnęłam się, nastąpiłam na jakąś gałązkę, przez co jedną nogą uderzyłam w drugą, aż straciłam równowagę i klapnęłam na tyłek. Jeleń się spłoszył i rzucił się do ucieczki w przeciwnym kierunku.

– Szlag! – syknął chłopak, rzucając jagody na ziemię, po czym otarł ręce o spodnie. Zaśmiał się i powiedział: – Było blisko.

Przygryzłam wargę i zaczęłam się podnosić, przez co połamalam jeszcze więcej gałązek. Gość obrócił się w moim kierunku zdziwiony tak samo jak jeleni. Jego początkowe zakłopotanie z powodu mojej obecności ustąpiło miejsca zadowoleniu.

Uśmiechnął się do mnie brązowymi oczami, w ślad za nimi poszły jego usta.

Odchrząknęłam i obdarowałam go przeproszającą miną.

Podchodząc do mnie, patrzył mi w twarz. Czekał, aż coś powiem, ale nie wiedziałam co, więc milczałam. Wyciągnął do mnie rękę, ale jej nie przyjąłam i sama wstałam. Uśmiechał się do mnie, gdy otrzepywałam tyłek z liści.

– Wszystko dobrze? – zapytał.

Skinęłam jedynie głową.

Jego uśmiech nie zniknął. Czy on potrafi się nie uśmiechać?

– W porządku – powiedział. – To do zobaczenia. – Podszedł do domku na drzewie i zaczął się wspinać po szczeblach. Kiedy był już na górze i zniknął w jego wnętrzu, zaczęłam się rozglądać na wszystkie strony, zastanawiając się, czy naprawdę istniał. Choć przecież wiedziałam, że musiał być prawdziwy, ponieważ na mokrej trawie nadal leżała kupka jagód.

ROZDZIAŁ 3

Aria

Nie było niedzieli, w którą moja rodzina nie jadłaby wspólnie obiadu. W tygodniu rodzice pracowali najczęściej na różne zmiany, więc wspólne posiłki nie wchodziły w grę. Wyjątek stanowiły niedziele; jadaliśmy wtedy zawsze razem przy stole w jadalni, ponieważ mama i tata uważali, że przynajmniej raz w tygodniu powinniśmy nadrobić zaległości życia rodzinnego przy domowym posiłku.

Mama puściła w obieg miseczkę z rogalikami.

– O! Mam wieści! Aria, dzwonił pan Harper, by poinformować o wystawie, na którą deklarowałaś się kilka miesięcy temu. Powiedział, że twoja praca będzie wystawiona jako główny eksponat w muzeum sztuki. Brzmiało to poważnie. – Głos mamy ociekał dumą i uznaniem. Nie przeszkadzało jej, że bardziej żyłam sztuką niż ona medycyną. Była rodzicem, który wierzył, że dziecko powinno iść własną drogą.

Miseczka z rogalikami trafiła do moich rąk, ale podałam ją Mike'owi, nie dzielając ekscytacji matki.

– Myślałam, że się ucieszysz. – Mama lekko zmarszczyła brwi. – Wydawało mi się, że chciałaś tego.

Nie zareagowałam.

– Aria, matka mówi do ciebie – powiedział tata ostrym głosem, chociaż patrzył ponad stołem na telewizor wyświetlający kanał sportowy. Tata potrafił wspierać mamę, nawet kiedy wydawało się, że nie zwraca na nic uwagi. Jakby miał szósty zmysł, potrafił włączyć się do rozmowy w odpowiednim czasie.

– Jestem w ciąży – stwierdziłam nonszalancko, wkładając łyżkę groszku do ust. Te słowa padły, jakby były czymś zupełnie normalnym. Jakbym od miesięcy starała się zajść w ciążę z ukochanym. Jakby to był kolejny etap wynikający logicznie z mojego życia.

Mike zamarł z rogalikiem w dłoni, patrząc to na mamę, to na tatę. Moja młodsza siostra Grace wytrzeszczyła oczy. Najmłodsza KitKat rzuciła groszkiem w tatę, ale to akurat było normalne, ponieważ miała roczek i zawsze rzucała w niego groszkiem.

Podejrzewałam, że ich reakcje były adekwatne do tego, co dwadzieścia sekund temu powiedziałam.

Żałowałam, że nie jestem niewidzialna.

Zamknęłam oczy.

– Żartuję. – Roześmiałam się, świadoma nagłej ciszy, która zapadła w jadalni. Wbiłam widelec w przyrządzoną przez mamę pieczeń. Wyraz twarzy wszystkich zmiękł, jakby minął im pierwszy wstrząs.

– Żartujesz? – wydusiła mama.

– Żartuje – westchnął Mike.

– Żartuje? – zapytał tata.
Grace porozumiewawczo skinęła głową.

– Oczywiście, że żartuje.

KitKat zachichotała, ale przecież ona albo się śmiała, albo płakała, albo rzucała groszkiem.

– Tak – mruknęłam, a głos zaczął mi drżeć. Nie mogłam na to pozwolić. – Nie żartuję.
Tata, nadal niezwykle spokojny, przekrzywił głowę.

– Mike, Grace, weźcie KitKat na górę.

– Ale...! – zaczął sprzeczać się Mike. Chciał mieć miejsce w pierwszym rzędzie, gdy rodzice napadną na mnie z powodu złych decyzji. Zazwyczaj to on miał kłopoty z powodu picia i imprezowania z kumplami z drużyny futbolowej, więc zapewne dla odmiany miło było, gdy to nie na niego patrzyli karcąco. Ja zawsze byłam grzecznym dzieckiem, które się dobrze uczyło i co semestr przynosiło same piątki. W porównaniu do niego, mój młodzieńczy bunt był niewielki: obcięte maszynką włosy i zbyt gruba warstwa kredki do oczu były jedynymi oznakami mojej porywczosci i szaleństwa – aż do dzisiaj.

Tata zwrócił pozornie spokojne spojrzenie w kierunku Mike'a. To dość szybko powstrzymało brata od dalszej argumentacji. Wyjął KitKat z wysokiego krzeselka i wyszedł z pomieszczenia.

Rozmowa przy stole w jadalni przybrała niekorzystny obrót, więc pomyślałam, że najpierw powinnam powiedzieć o wszystkim mamie. Była pediatrą, pracowała z dziećmi, więc może by zrozumiała. Jednak zamiast tego, starałam się nonszalancko podejść do sprawy i zdecydowałam rzucić problemem przy ojcu.

Nie był pediatrą.

Nie miał „podejścia” do dzieci.

Był hydraulikiem.

Ponad czterdzieści godzin tygodniowo miał do czynienia z ludzkimi brudami. Zatkane toalety, zlewy, zardzewiałe rury – on to wszystko naprawiał.

Co oznaczało, że przy kolacji irytowały go brudy innych. W tym moje.

– Aria, jesteś w ciąży? – syknął tata, jego twarz z każdą mijającą sekundą czerwieniała coraz bardziej. Łysina na czubku głowy świeciła się i niemal parowała ze złości. Ojciec nie mówił za wiele. Nigdy nie miał powodu, by podnosić na nas głos. Wszyscy byliśmy dobrze wychowani. Nawet gdy Mike pił i imprezował, tata karmił go stonowanym głosem. Jeszcze trzy minuty temu nie miał z nami większych problemów.

Nie odpowiedziałam na jego pytanie. Co tylko pogorszyło sytuację.

– W ciąży?! – ryknął i uderzył pięścią w stół, przewracając solniczkę. Zacisnęłam dłonie, wbijając w nie paznokcie i niechcący przygryzłam policzek. Niebieskie oczy taty pełne były rozczarowania, a jego usta przybrały taki grymas, że i mnie zrobiło się smutno.

– Adam – upomniała go mama, niezadowolona ze sposobu, w jaki podniósł na mnie głos.

– Chcesz, żeby sąsiedzi usłyszeli?

– Wątpię, by miało to jakiegokolwiek znaczenie, bo jestem pewien, że i tak niedługo zobaczą!

Wydierał się na mnie, czym byłam przerażona.

– Krzyk na niewiele się tu zda – sprzeczała się mama.

– Mówienie cicho tak samo – odpowiedział ojciec.

– Nie podoba mi się twój ton, Adamie.

– A mnie się nie podoba, że nasza szesnastoletnia córka jest w ciąży!

Cała się spięłam. Jeśli w tej chwili istniało dla mnie coś gorszego niż wypowiedanie tego

słowa samodzielnie, to było to z pewnością słuchanie, jak wymawia je mój ojciec. Ścisnął mi się żołądek i poczułam, że jedzenie podchodzi mi do gardła. Nigdy w życiu nie popełniłam błędu, przez który rodzice byliby tak załamani. Jakim cudem udało mi się aż tak zawalić?

Kłócili się.

A oni nigdy się nie kłócili.

Ostatni raz, kiedy lekko się spierali, był wówczas, gdy wybierali ksywkę dla KitKat, a i tak skończyło się to tym, że tata pocałował mamę w czoło i masował jej stopy, kiedy wspólnie oglądali odcinek *Agentów NCIS*.

Położyłam dłonie na kolanach, chcąc im wyjaśnić, jak to się stało. Chciałam, by zrozumieli, że wiem, jak wielkim problemem jest ciężarna nastolatka. Powtarzałam w duchu: *Szesnastolatka w ciąży to wielki problem*. Zbyt wiele razy oglądałam na MTV program *Licealne ciąże*, więc powinnam wiedzieć, że należy trzymać swoje kobiece części ciała z dala od chłopaków, jednak coś dziwnego stało się z moim mózgiem, gdy on nazwał mnie piękną. No może nie piękną, ale uroczą, co było dla mnie największym komplementem wypowiedzianym przez kogoś innego niż moi rodzice. Dziwnaczna i szalona – tak, ale urocza? Nie za bardzo.

Mama przeczesała palcami swoje czarne kręcone włosy. Miała na rękach gęsią skórę. Byłam bardziej podobna do niej, miałam raczej meksykańską urodę niż kaukaską jak tata. Mama miała pełne usta i oczy koloru czekolady. Właśnie teraz te oczy patrzyły na mnie pełne rozczarowania i niezrozumienia.

– Może najpierw powinnam porozmawiać z nią na osobności – zaoferowała.

Tata mruknął coś pod nosem i wstał od stołu. On nie patrzył na mnie z rozczarowaniem i niezrozumieniem, nie, on był mną zniesmaczony.

– Powodzenia.

Po jego wyjściu rozmowa z mamą przebiegła dość szybko.

– Skąd masz pewność, że jesteś w ciąży? – zapytała.

– Zrobiłam cztery testy – odpowiedziałam.

– Skąd masz pewność, że zrobiłaś je prawidłowo?

– Mamo, no proszę...

– Z Simonem...?

– Co? Nigdy w życiu!

– Dlaczego u licha się nie zabezpieczyłaś?

– Popełniłam błąd. – Odchrząknęłam ze wstydem. Po jej protekcyjnym spojrzeniu porzuciłam logikę i spróbowałam nieco zabawniejszego podejścia: – Czy nie mówiłaś czasem, że KitKat też jest wpadką? Nie wiesz, że takie rzeczy się zdarzają?

– Ario Lauren, uważaj na słowa. Jesteś blisko krawędzi – skarciła mnie. Kiedy mama była zła, jej wyraz twarzy stawał się ostry, a półksiężycy przy kącikach ust znikwały. Kiedy była mocno rozdrażniona, ciągnęła się za prawe ucho.

Co robiła w tej chwili.

Zwisałam już z tej krawędzi, wyciągając do niej rękę, by mnie wciągnęła, jednak była zbyt zajęta szarpaniem się za ucho.

– Jutro przyjadę po ciebie po lekcjach i zawiozę cię do lekarza na badania. Teraz idź do swojego pokoju, żebym mogła porozmawiać z twoim ojcem.

Począpalałam w wyznaczonym kierunku, ale zatrzymałam się na drewnianej podłodze, po czym obróciłam na pięcie, twarzą w jej stronę.

– Możesz poprosić tatę, by mnie zanadto nie nienawidził?

Wyraz jej twarzy złagodniał, a półokrągłe linie powróciły wokół ust.

– Dopilnuję, by jego nienawiść utrzymała się na stosownym poziomie.

Moi rodzice wrzeszczeli i wydzierali się na siebie przez pięćdziesiąt cztery minuty. Mimo że byli zdenerwowani na mnie, wyżywali się na sobie. Siedziałam po turecku na łóżku, zatykałam uszy słuchawkami i gapiłam się na puste płótno. Podkręciłam muzykę na maksa, by nie słyszeć ich kłótni. Staralam się zatracić w muzyce i malowaniu, by zapomnieć, że rozbiłam własną rodzinę.

Przynajmniej próbowałam się zatracić, póki w drzwiach mojego pokoju nie stanął Mike. Jego usta poruszały się z niekontrolowaną prędkością, jednak muzyka na szczęście odcinała wszystko, cokolwiek mówił. Podniosłam iPoda i niepotrzebnie skręciłam dźwięk.

– Zniszczyłaś wszystko, wiesz? Mój ostatni rok w szkole średniej miał być niezapomniany, ale teraz będę tym, którego siostra zaliczyła wpadkę.

– Masz rację. Rzeczywiście powinnam rozważyć, jak to wpłynie na mojego starszego, popularnego brata. Było o wiele łatwiej, gdy nikt mnie nie zauważał, prawda? – Przewróciłam oczami z sarkazmem. Mike był wyrośniętym chłopakiem, gwiazdą drużyny futbolowej, grającym na pozycji biegacza, przez co miał szansę dołączyć do składu na którejś z największych uczelni w środkowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych. Przez niebieskie oczy i jasnobrązowe włosy był bardziej podobny do ojca niż do mamy.

– Cholera, jaka ty jesteś głupia. Naprawdę nie wiesz, co zrobiłaś, prawda? Posłuchaj ich.
– Wskazał ręką w kierunku salonu.

– Zamknij się, Mike. – Ponownie dałam głośniejszą muzykę. Głędził jeszcze dobre kilka minut, po czym dramatycznym gestem pokazał mi środkowy palec i wybiegł z mojego pokoju. Mój brat, mój bohater.

Wiele godzin minęło, nim pogaszono w domu światła. Rodzice do mnie nie przyszli. Nie byłam również w stanie malować. Trzymałam gotowy pędzel, jednak nie przycisnęłam go do płótna.

Zajrzała do mnie Grace, ale nie bardzo wiedziała, co powiedzieć starszej, ciężarnej siostrze.

Chodziła tam i z powrotem, szukając słów, rozglądając się po moim pokoju. W końcu obdarowała mnie szelmowskim uśmiechem.

– Wiesz, KitKat będzie ciotką dla kogoś tylko o rok młodszego od siebie. To dziwaczne. Z pewnością dzisiejsze dwunastolatki były o wiele bardziej do przodu, niż bym tego chciała.

– Spadaj, głąbie.

– Sama jesteś głąbem, głąbie! – odpyskowała, opierając ręce na biodrach, i pokręciła głową, jakby tylko to potrafiła robić. – Mam pytania.

– No jasne.

– Sikasz w majtki?

– Co? – Uniosłam brwi.

– Czy sikasz w majtki? Moja nauczycielka, pani Thompson, w zeszłym roku była w ciąży i kiedy szła na lekcję muzyki, obsikała cały korytarz.

– Ja nie sikam pod siebie. – Przynajmniej jeszcze nie. Czy powinnam się o to martwić? Czy z jakichś dziwnych powodów przestanę trzymać mocz? *Zapamiętać: Sprawdź w Googlach „sikanie a ciąża”.*

– Założę się, że będziesz supergruba. Niektóre kobiety w ciąży są naprawdę ładne, jak pani Thompson, ale myślę, że ty taka nie będziesz.

– W każdej chwili możesz stąd wyjść, Grace.

– I nie będę zmieniała pieluch. Wiesz w ogóle, jak zmienić pieluchę?!

– Nie powinnaś być już w łóżku?

– A ty nie powinnaś być w ciąży.

Touché.

Zrobiłam jedyną dojrzałą rzecz, jaka przysła mi do głowy.

Zdjęłam skarpetki i rzuciłam jej nimi w twarz. Trafiłam prosto w usta.

– Fuj! Jesteś obrzydliwa! – jęknęła Grace, pocierając językiem o dłoń. – Powiem mamie!

Prawda, bo największym zmartwieniem naszych rodziców w tej chwili było to, że rzuciłam skarpetkami w twarz siostry.

Podeszłam do komody i wyjęłam majtki i za dużą koszulkę do spania. Wiedziałam, że powinnam być już w łóżku. W szkole nikogo nie obejdzie, że rano będę zmęczona. Szkoły nie obejdzie, że wali mi się życie. Szkoły nie obejdzie, że zaraz się załamie.

Szkoła chciała jedynie, bym stawiała się przed pierwszym dzwonkiem.

Wskoczyłam pod prysznic, by pozbyć się mgły zasnuwającej mój umysł. Pozwoliłam, by woda ściekała na mnie przez ponad godzinę, nim wyszłam i wytarłam się ręcznikiem. Lustrzane odbicie szydziło ze mnie. Dotknęłam brzucha i popatrzyłam w lustro, starając się zrozumieć, jakim cudem wyglądałam tak samo, a jednak byłam tak bardzo inna.

Założyłam koszulkę, po czym raz jeszcze na siebie spojrzałam i wyszłam z łazienki. Przygarbiłam się, gdy zobaczyłam tatę leżącego na kanapie w salonie. Wyglądał jak olbrzym starający się ułożyć wygodnie w muszelce, bezskutecznie obracając się i moszcząc.

Rozchyliłam usta. W głowie zaczęłam szukać właściwych słów.

Po chwili uświadomiłam sobie, że takie nie istnieją.

Więc wyszłam.

W poniedziałkowy poranek Mike odmówił podwiezienia mnie do szkoły.

Powiedział, że musi być godzinę wcześniej, by potrenować przed zajęciami, jednak w przeszłości wcale mu to nie przeszkadzało. Zawsze wtedy szłam do pracowni plastycznej i tam spędzałam czas do pierwszego dzwonka.

Nawet mimo tego argumentu uparł się, że mnie nie podwiezie. Chciałam poskarżyć się rodzicom, ale czas ku temu nie był odpowiedni, więc pozostawał mi jedynie autobus.

Przystanek znajdował się dwie przecznice od naszego domu. Założyłam plecak i wyszłam, po czym zauważyłam Simona stojącego na rogu. W chwili, w której obok niego stanęłam, wiedział już wszystko, czego jeszcze nie zdążyłam powiedzieć – przyjacielska telepatia.

– Powiedziałaś im? – zapytał.

Skinęłam głową.

– Mike nie chciał cię odwieźć?

Ponownie przytaknęłam.

– Dobrze się czujesz?

Patrząc pod nogi, pokręciłam głową.

– Gdybyśmy chociaż dzisiaj mogli o tym nie rozmawiać, byłoby świetnie.

– No tak. Cóż, mam zamiar zasypać cię moimi problemami, żebyś zapomniała o własnych. Zaufaj mi, mam ich całkiem dużo w tej swojej pokręconej głowie.

Nim zdążył cokolwiek dopowiedzieć, obok mnie pojawiły się niebieskie tenisówki. Uniosłam głowę, by zobaczyć, kto stoi obok. Popatrzyłam w brązowe oczy, które uśmiechały się od niechcenia, i się zatraciłam.

Chłopak od jelenia.

Jego usta uniosły się w niewielkim uśmiechu pasującym do jego oczu.

Odpowiedziałam uśmiechem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nie potrafiłam tego stwierdzić. Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy, przez co w brzuchu poczułam ekscytację.

Jesteś piękny.

Tak piękny, że było to niemal obraźliwe. Wyglądał tak, jak brzmi szept. Był słodki, delikatny i romantyczny. Zakręciło mi się w głowie.

Nie powinnam na niego patrzeć.

Serio?

Przestań się gapić.

Tylko zerknę?

Spojrzę przez chwilę?

Spuściłam głowę. Popatrzyłam na nasze buty. Złapałam paski plecaka i przyciągnęłam je do siebie, przyciskając też łokcie do boków.

– Cześć – powiedział. *Skurczony żołądek, spocone dłonie.* Nie byłam pewna, czy mówi do Simona, czy do mnie, więc się nie odezwałam. Kątem oka dostrzegłam, że nadal się uśmiecha. Chciałabym, żeby przestał. No, może nie całkiem.

– Stąd odjeżdża autobus?

Obdarowałam go pojedynczym skinieniem, nim skupiłam się na kopaniu lewą nogą niewidzialnego kamyka. Jego niebieski trampek zdawał się naśladować mój ruch. Kopaliśmy tak te niewidzialne kamyki, aż podjechał autobus.

Simon wsiadł jako pierwszy, jednak nim usiadł, cztery razy wskakiwał i zeskakiwał ze schodka. Odsunęłam się, pozwalając chłopakowi od jelenia wsiąść przede mną.

Wskazał żółty pojazd.

– Panie przodem.

– Dzięki – odpowiedziałam, wsiadając.

Usłyszałam cichy śmiech:

– A więc jednak mówi.

ROZDZIAŁ 4

Levi

Na pierwszych zajęciach miałem matematykę z panem Jonesem. Gdybym miał powiedzieć, co szło mi najgorzej, wskazałbym na cyfry. Podczas edukacji domowej unikałem liczenia jak ognia, odkładając je zawsze na koniec dnia. Jednak teraz, z odgórnie ustalonym planem, z samego ranka byłem zmuszony stawić czoła matematyce. Szykowało się piekło.

Pan Jones stał przed klasą i witał wszystkich.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił – ostrzegł mnie jakiś głos. Miałem właśnie położyć książki na ławce znajdującej się w pierwszym rzędzie. Obróciłem się i zobaczyłem chłopaka z postawionymi włosami, złotym łańcuchem na szyi i czymś na wardze, co wyglądało jak załążek wąsów. – Pan Jones jest jak kot Sylwester.

– A dokładnie?

– No wiesz. – Zmienił głos na chrypiący i złączył wargi, by zaseplenić: – *Szkubany szkubaniecz!* Tylko że gdy mówi, to ślina bardziej pryska. – Poklepał miejsce obok siebie w tylnym rzędzie. – Możesz usiąść obok mnie.

Skorzystałem z propozycji.

– Jesteś tym świeżym kąskiem, na którego gapią się wszystkie laski, co? – zapytał.

– Nie, chyba mnie z kimś pomyliłeś. Nikt jeszcze nic do mnie nie powiedział. – Oprócz dziewczyny na przystanku, która podziękowała, ale nawet to było jakby wymuszone.

– Co sprawia, że jesteś świeżym kąskiem. Przyglądają się swojej ofercie przed atakiem. A z tym akcentem? – Gwizdnął cicho. – Facet, samym spojrzeniem sprawisz, że dziewczyny będą w ciąży. Puść do nich oko, a będą miały bliźniaki. I właśnie dlatego mnie potrzebujesz – powiedział, klepiąc mnie po plecach. – Nazywam się Connor Lincoln i jestem twoim zbawieniem, mój przyjacielu.

– Serio? – zapytałem, wyjmując z plecaka ołówek i zeszyt, mimo że nawet nie zamierzałem notować.

– Tak. Przekonasz się. Jestem oczami, uszami i głosem uczniowskiego ciała. Wiem wszystko o wszystkich, którzy się liczą, i mogę sprawić, że będziesz bezpieczny.

– Miło z twojej strony.

– Cóż mogę rzec? Jestem wspaniałomyślny. – Wyciągnął do mnie rękę. – Masz jakieś imię?

– Levi.

– Skąd pochodzisz, Levi?

– Z Alabamy.

– Dobrze, dobrze, dobrze – powiedział z południowym akcentem, choć bardziej przypominało to akcent Matthew McConaugheya, który stanowi klasę samą w sobie. – Zatem po wsze czasy będziesz znany jako Alabama.

Biorąc pod uwagę, że uratował mnie przed plującym nauczycielem, mógł mnie nazywać Alabamą.

Do klasy weszła dziewczyna z przystanku i usiadła dwa rzędy przede mną. Cały czas nie podnosiła głowy. Połowa jej kasztanowych włosów została zgolona, natomiast ta pozostała miała ciemnoczerwony kolor. Wyglądała inaczej niż większość lasek w stylu Barbie, które mijalem na korytarzu. Mroczniej. Ostrzej. *Pięknie*. Sięgnęła do plecaka, wyciągnęła zeszyt i zaczęła coś zapisywać. Nieustannie zakładała grzywkę za ucho, jednak ani razu nie uniosła głowy, by przerwać aktualne zajęcie.

– A co wiesz o niej? – zapytałem Connora. – Kto to?

Chłopak popatrzył we wskazywane przeze mnie miejsce i uniósł brwi.

– Och, to jedna z dziwaczek. Nie wiem, jak ma na imię, bo dziwaczkami się nie zajmuję. Zostawiam miejsce dla ludzi tego typu. – Wskazał inną dziewczynę, z toną makijażu na twarzy i w obcisłej czarnej koszulce podkreślającej jej cycki. – Ta jest warta zachodu. Cześć, Tori – rzucił w jej kierunku i pomachał.

Tori odwróciła się i pokazała Connorowi środkowy palec. Jej spojrzenie skrzyżowało się z moim; posłała mi uśmiech, po czym ponownie odwróciła się, by pogadać z dziewczyną siedzącą obok.

– O! Facet, widziałeś?! – wykrzyknął Connor. – Tori Eisenhower się do mnie uśmiechnęła!

Nie sprostowałem, że uśmiechnęła się do mnie, bo wydawał się tym zbyt zachwycony.

– No dobra, uśmiechnęła się do ciebie, ale ponieważ jesteś nowy, liczy się to jako uśmiech do mnie. Facet, widziałeś? – Wskazał ręką całą klasę.

– Co widziałem?

– Morze słodkich cipeczek. Są nasze, do wzięcia, mój drogi.

Zakłopotany parsknąłem śmiechem. Przeważnie, gdy poznawałem ludzi, nie miałem potrzeby rozmawiać o wykorzystywaniu dziewczyn i nazywaniu ich „słodkimi cipeczkami”. Po tym zdaniu zdecydowałem, że nie lubię Connora.

Mam nadzieję, że to jedyna nasza wspólna lekcja.

Zadzwoił pierwszy dzwonek. Connor nadal szeptał coś o „zaliczaniu laseczek” i „załatwianiu ich numerów”, bawiąc się przy tym złotym łańcuchem.

Powinienem być usiąść w pierwszym rzędzie.

Connor powłókł się za mną na lekcję fizyki, przez co pomyślałem, że się do mnie przyczepił, jednak niedługo później uświadomiłem sobie, że plan lekcji naprawdę mnie nienawidzi. Chciałbym, by istniał jakiś przyzwoity sposób, by bez konieczności robienia z siebie dupka powiedzieć: „zostaw mnie, u licha, w spokoju i przestań nawijać o seksie”.

Kiedy wyciągnął grzebień i zaczął czesać swojego niemal nieistniejącego wąsa, uznałem, że szkoła naprawdę jest piekłem.

Rozważałem nazywanie go Eminemem, ale mówienie do niego tylko zachęcało go do wspomniania o waginach.

Straciłem zainteresowanie porannymi zajęciami – uświadomiłem sobie, że wszystkie są takie same. Wykład, notatki, pytania. Umyj, spłucz, powtórz. Całe życie uczyłem się w domu, więc z zadowoleniem zauważyłem, że szkoła średnia jest identyczna jak ta przedstawiana na filmach: korytarze z poobijanymi niebieskimi szafkami, ładne dziewczyny chichoczące przy umywalkach, plakaty kółek zainteresowań i pełno plotek i ploteczek.

Co jakiś czas widywałem dziewczynę z przystanku, jednak zawsze szła ze spuszczoną głową lub rozmawiała z jakimś rudym kolesiem.

Jest jej chłopakiem?

Nie wiedziałem, dlaczego mnie to interesowało.

Chłopak sprawiał, że się uśmiechała, co było niczym tajemna kuracja. Nie robiła tego często – częściej marszczyła brwi. Dziwne, bo skrzywiona była bardziej intrygująca.

Nie dotykali się z tym chłopakiem. Najczęściej trzymała ten sam zeszyt, z którym widziałem ją wcześniej.

Boże. Teraz ja kogoś prześladowę.

Ruszyłem z miejsca i poszedłem na kolejne zajęcia.

Nie było już dla mnie zaskoczeniem, gdy zobaczyłem, że Connor czeka na mnie na lekcji historii.

ROZDZIAŁ 5

Aria

Godziny w szkole ciągnęły się niczym lata, co było dobre, ponieważ wiedziałam, że po południu mam wizytę u lekarza, a naprawdę nie chciałam iść. Wolałam żyć w zaprzeczeniu, niż stawić czoła rzeczywistości.

Za każdym razem gdy Mike i jego kumple przechodzili obok, brat pilnował się, by na mnie nie patrzeć. I tak większość jego znajomych nie wiedziała, że jesteśmy spokrewnieni.

W przerwie lunchowej usiadłam obok Simona i obserwowałam, jak otwiera i zamyka kartonik z mlekiem, gapiąc się na dziewczynę, w której od dłuższego czasu się podkochiwał – Tori, inaczej znaną jako najpopularniejsza laska z naszego rocznika. Znaną również jako dziewczyna, która w tamtym roku obrzuciła dom Simona jajkami. Choć Simon nadal nie dopuszczał do siebie tej myśli, twierdząc, że za całą akcją stał Eric Smith.

Podobnie jak wszystkim beznadziejnym romantykom, miłość i jemu przysłoniła prawdę. Było to tragiczne, choć w jakiś sposób jednocześnie pełne nadziei.

Simon nieustannie mówił o Tori, jakby ziszczało się jego największe marzenie.

– Na chemii siedzi trzy ławki za mną. Wiem, że się pewnie nie zgodzisz, ale ona jest mądra, Aria. – Jego słowa były przesyczone nieistniejącym romanssem, gdy opowiadał o swojej wyimaginowanej kochance.

Czasami zastanawiałam się, czy widział latające nad nią wróbelki, jak w bajce o Królewnie Śnieżce.

– Tylko ty potrafiłeś zakochać się w najbardziej nieprzyjemnej dziewczynie z naszej klasy.

Uśmiechnęłam się na widok jego uśmiechu.

– Ona nie jest nieprzyjemna, jest tylko poraniona. Takie dziewczyny lubię najbardziej. Takie, którym coś dolega. To sprawia, że łatwiej jest im pogodzić się z moimi niedoskonałościami.

– Właśnie dlatego przyjaźnisz się ze mną? Ponieważ mi też coś dolega?

– Nie. Jesteś moją przyjaciółką głównie dlatego, że nosisz koszulki z Wojowniczymi Żółwiami Ninja o twarzach renesansowych artystów.

Spojrzałam na ulubioną koszulkę i uśmiechnęłam się.

– Jestem tak fajna, że to prawie żenujące.

– Prawie – zażartował Simon, nim znów skupił się na Tori. – Jest taka piękna.

– Jesteś dla niej za dobry.

Oparł łokcie na stole i podparł brodę na dłoniach.

– Jest słońcem, a ja bladym człowiekiem pragnącym jej światła.

Zachichotałam.

– Będę udawała, że nie powiedziałaś czegoś tak ekstremalnie dziwnego.

– Wyobraź sobie nasze dzieci... – Westchnął szczęśliwy. – Oszałamiające małe kujonki z blond włoskami, piegami i w okularach. – Zamilkł, popatrzył na mnie i się skrzywił. – Przepraszam. To karygodne ze strony przyjaciela. Żadnej gadki o dzieciach.

Poruszyłam się niespokojnie.

– Wiesz, że nie jest prawdziwą blondynką, prawda? To tylko kiepska farba.

– Powiedziała kasztanowa, która urodziła się z włosami czarnymi jak węgiel – rzucił rozpaczliwie Simon.

– Wygrałeś. Ale nie zapominaj o głównym problemie z miłością twojego życia. –

Wskazałam na Erika, który siedział obok Tori. – Nie jest wolna.

– Na razie. Plotka niesie, że on ma z nią zerwać.

– A skąd pochodzi ta plotka?

Zarumienił się.

– Mam swoje źródła.

– Od pani Givens? – zapytałam. Nie odpowiedział, wiedziałam jednak, że było to jego jedyne źródło szkolnych ploteczek. Pani Givens była bibliotekarką, która spędzała zbyt wiele czasu na podsłuchiwaniu rozmów na korytarzach.

– Powiedzmy, że Eric chce się zwinąć, Tori będzie mieć złamane serce, a wtedy ta dam! Simon Landon ją odbije. – Ekscytacja w jego głosie była zabawna.

– I co dalej? Magicznie pojawisz się przy niej i ją pocieszysz? Chłopak, który ledwo potrafi spojrzeć jej w oczy, a co dopiero się do niej odezwać? Jak masz zamiar sobie z tym poradzić, Romeo?

Kiwnął głową, jakbym wytknęła mu coś, nad czym się jeszcze nie zastanawiał. Kiedy rozbrzmiał dzwonek, Simon najwyraźniej przestał marzyć, bo uniósł swoją tacę, odłożył ją, po czym powtórzył to kilkakrotnie. Posmutniał, gdy zauważył, jak Tori wychodzi ze stołówki z obejmującym ją Erikiem. Niemal przygniotła go klęska. Spojrzałam na ścisną kurczowo przez siebie tacę.

– Nigdy nie będzie chciała takiego dziwaka jak ja, prawda? – zapytał Simon, pokonany.

– Nie jesteś dziwakiem, Si. Do tego plotka głosi, że się niedługo rozstaną. Już i tak spotykała się ze wszystkimi z naszej klasy, więc bądź gotowy na swoje ta dam! Jesteś następnym w kolejce do Tori! – Mój ton aż ociekał kłamstwem i sztuczną pociechą. Si wiedział, że to, co powiedziałam, nie było prawdą, ale i tak uśmiechnął się szeroko.

– Ta dam!

O nowym chłopaku dowiedziałam się więcej z korytarzowych ploteczek niż od niego samego.

– *Wiesz, że jest z południa?*

– *Z Brazylii?*

– *Słyszałam, że mówi po francusku.*

– *Jest taaaki przystojny.*

– *Mama nadała mu imię „Alabama”.*

– *Ma tatuaż wiesz na czym.*

– *Udaje ten akcent.*

– *W szatni już obracał jakąś laskę.*

– *Słyszałam, że to był trójkąt!*

– *Jest czarodziejem słowa.*

– *Pierwsza go zobaczyłam.*

W okolicach szóstej lekcji drugo-, trzecio- i czwartoklasistki rościły już sobie do niego prawa, podczas gdy pierwszoklasistki ślinały się w ukryciu. Otoczyły jego szafkę niczym zakochane pieski, kręcąc włosy na palcach i wypinając biusty. Żal mi się go zrobiło. Z tak przystojną twarzą i południowym akcentem nie miał szans pozostać tajemniczym nowym w szkole.

Stałam przy swojej szafce, patrząc na niego i na jego fanki. Co jakiś czas mówił coś do nich, a dziewczyny odwracały się i patrzyły na mnie.

Nigdy wcześniej nikt się na mnie nie gapił, nawet kiedy zmieniałam kolor włosów, robiłam przesadny makijaż czy zakładałam dziwne stroje. Uczniowie szkoły średniej w Mayfair Heights byli zdeterminowani, by mnie nie zauważać, co mi bardzo pasowało.

Aż do teraz. W tej chwili dziewczyny obracały ku mnie głowy i chichotały, po czym przerzucały włosy na ramiona i patrzyły na nowego.

Czy on się ze mnie nabija?

Wszyscy się ze mnie śmieją?

To zadziwiające, jak kilka ruchów głową i sarkastycznych uśmiezków może sprawić, by człowiek chciał wejść do szafki i zostać w niej przez kolejnych sto siedemdziesiąt dziewięć dni. A przynajmniej do końca dzisiejszych zajęć. Zatrzasnęłam drzwiczki i oddaliłam się w przeciwnym kierunku niż debile i diwy.

Banda kretynów.

– Wiesz, gdzie jest sala sto dwanaście? – zapytał chłopak od jelenia, spiesząc za mną.

Uniosłam brwi, nieco poirytowana jego przytłaczającą osobowością pod tytułem „jestem seksowny i doskonale o tym wiem”.

– Wianuszek dziewcząt nie pomógł?

– Zauważyłaś.

– Co zauważyłaś? – zapytałam.

– Zauważyłaś, że one mnie zauważyły.

Zawahałam się, zanim powiedziałam:

– No tak...

– Co znaczy, że zauważyłaś i mnie.

Nie byłam rozbawiona.

– Nie schlebiaj sobie.

– Dobrze.

– Dobrze co?

– Dobrze, nie będę sobie schlebiał.

W jego oczach malowały się prostota i szczerść, więc niemal w nich utonęłam.

Zamrugałam.

– Jesteś dziwny.

– Dziwny w uroczy czy dziwaczny sposób? – zapytał.

Nie byłam pewna. Może i to, i to.

– Dlaczego na mnie patrzyliście?

– Och. Zapytałem o twoje imię. Żadna z tych dziewczyn nie wiedziała i z jakiegoś powodu uznały, że to śmieszne. – Wzruszył ramionami.

Domyślałam się. Znałam imiona wszystkich dziewczyn w szkole, jednak one nie mogły wysilić się na tyle, by zapamiętać moje.

– A tak w ogóle, dlaczego o mnie pytałeś?

– Nie wiem. Chyba z ciekawości, jaka dziewczyna chodzi po lesie o szóstej rano w niedzielę.

– Och.

– Jestem Levi Myers. – Poruszył się, jakby chciał się przede mną skłonić, kiedy się przedstawiał. Odsunął się i to zrobił. Ukłonił się w pas. Jednak był dziwaczny.

– Jesteś synem pana Myersa? – Urwałam i się zamyśliłam. – Nie wiedziałam, że pan Myers ma syna.

– No tak, to musi być mój tata. – Ściągnął brwi. W jego oczach pojawiło się ledwo zauważalne rozczarowanie; Levi zamrugnął i rozczarowanie zniknęło. – A ty jesteś...

– Aria.

– Serio? Aria?

– Tak...

– Nie Becky, Casey czy Katie?

– Nie. Jestem Aria.

Skrzyżował ramiona na piersi, przez co zauważyłam, że na lewej dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym, miał wytatuowane oko.

– Cały dzień próbowałam poznać twoje imię, ale Aria nie było na górze listy, jeśli miałbym obstawiać.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam.

– Nie, to nie to. Podoba mi się Aria. – Uśmiechnął się i przytknął palec do ust, obserwując moją twarz. – Aria. – Pochylił głowę najpierw nieco w lewo, a po chwili w prawo. – Arrriaaa.

Przestań to powtarzać.

Przestąpiłam z nogi na nogę. Teraz z pewnością był dziwakiem i musiałam przyznać, że jego dziwaczna osobność nie zgadzała się z przystojnym ciałem. Levi sam w sobie był oksymoronem.

Gdyby istniała lista najlepszych oksymoronów, wyglądałaby mniej więcej tak:

- Okropnie śmieszne.
- Komediodramat.
- Oryginalna kopia.
- Ciepłe lody.
- Levi Myers.

– Zawsze włóczysz się po lasach o szóstej rano? – zapytał. Potarł dłonią o podbródek z niewielkim zarostem, po czym przeciągnął kciukiem po swojej górnej wardze.

Milczałam przez chwilę, starając się rozczytać jego twarz. Zamrugłam dwa razy.

– Czasami. A ty zawsze karmisz o szóstej rano jakieś jelenie? – zapytałam z sarkazmem.

– Zawsze – odpowiedział z przekonaniem.

Nie mogłam już patrzeć mu w oczy, ponieważ zaczynało mi się kręcić w głowie.

Właściwie cały korytarz zaczynał wirować. Wzięłam głęboki oddech i opuściłam powieki. Kiedy je uniosłam, nadal patrzył na mnie intensywnie swoimi brązowymi oczami. *Kurde*. Skurczył mi się żołądek. Ze ściśniętym gardłem wskazałam na korytarz.

– Sala sto dwanaście jest tam. Zaraz za stołówką.

Jedzenie.

Fuj.

Znów mi niedobrze.

Spojrzał nade mną we wskazanym w kierunku.

– Dzięki, Aria. – Odszedł. Im dalej był, tym spokojniejsze stawało się moje serce, jednak nudności nie ustawały, więc zatkałam dłonią usta.

Poruszając nogami najszybciej jak potrafiłam, pobiegłam do najbliższej toalety i kiedy tylko dopadłam muszli, zwróciłam całe śniadanie oraz lunch. Klęcząc, sięgnęłam po papier toaletowy i otarłam usta.

Nienawidziłam dzisiejszego dnia.

ROZDZIAŁ 6

Aria

Jedyną rzeczą, której nie mogłam doczekać się w szkole, była ósma lekcja. Była moją ulubioną, nie tylko dlatego, że były to ostatnie zajęcia, ale również dlatego, że była to lekcja plastyki z panem Harperem.

Pana Harpera poznałam na wprowadzeniu do zajęć ze sztuki już w pierwszej klasie. Był chudym, palącym fajkę, wąsatym sześćdziesięciodwuletnim gejem, który przypisywał swą miłość do sztuki romansowi z Leonardem da Vinci. Oczywiście jego romans mógł być jedynie niesamowitą podróżą w czasie, jakiej doświadczał, ponieważ Leonardo da Vinci zmarł czterysta trzydzieści trzy lata przed urodzeniem pana Harpera, jednak z tego co przekazywał nam nauczyciel, był to romans ponadczasowy.

Zajęcia, na które uczęszczałam, miały za zadanie odkryć nowy sposób postrzegania sztuki jako całości. Meble w naszej klasie były rozmieszczone zupełnie inaczej niż w każdym innym pomieszczeniu tego budynku. Stoliki ustawione zostały w półkřęgu, w sali znajdowało się jakieś piętnaście dodatkowych krzeseł. W otwarciu półkola wisiała wielka tablica.

Pan Harper napisał na całej jej długości: **ODKRYWANIE PARTNERA.**

– Wykrzyczcie wszystko, co kojarzy się wam z odkrywaniem. Gotowi? Start! – powiedział nauczyciel, trzymając w palcach kredę.

– Dżungla!

– Krzysztof Kolumb!

– Skutery wodne!

– Seks!

Pan Harper zapisał wszystkie te słowa, używając największych liter dla słowa „seks”. Nigdy nie wzruszały go wybryki nastolatków, wykorzystywał je jako przykłady do nauki.

– Ach! A teraz słowa, które kojarzą się wam z partnerem? Start!

– Seks!

– Seks!

– Stosunek seksualny!

Wszystkie słowa wiążące się z seksem pochodziły od Connora, najbardziej zбочzonego dzieciaka w szkole, który zawsze nawijał o seksie lub obleśnie się obliżywał. Byłam pewna, że miał małego i nigdy nie uprawiał seksu, ponieważ osoba, która tyle o tym mówiła, najwyraźniej musiała coś sobie rekompensować.

– Zespół – powiedziałam cicho, niemal bezgłośnie. Pan Harper popatrzył na mnie i uśmiechnął się szeroko. Wiedziałam, że nauczycielom nie wolno było faworyzować uczniów, jednak było też jasne, że na liście pana Harpera plasowałam się dość wysoko.

Tym razem pan Harper największymi literami napisał na tablicy: **ZESPÓŁ.**

– W tym semestrze mam zamiar przypisać wam partnera. Będziecie odkrywać niuansy

sztuki przy pomocy swoich osobowości i tworzyć finalne dzieło, które ukaże dwa przeciwstawne światy połączone w jeden. Dowiedcie się, co lubi, a czego nie lubi partner, o czym śni, o czym marzy i czego najbardziej się obawia. Powinniście się nauczyć o nim wszystkiego, czego tylko zdołacie. – Chwycił za gąbkę i zaczął ścierać wszystkie słowa związane z seksem. – Jednak nie będziecie niestety mogli uprawiać z nim seksu.

Connor zaczął narzekać, że seks był jedyną rzeczą, która nie byłaby nudna na tych zajęciach.

Pan Harper starł tablicę, po czym powiedział oschle:

– Nie przesadzaj, Connor. I tak nikt nie planował z tobą sypiać. – Uczniowie wybuchnęli śmiechem. Wszyscy jak zwykle docenili humor pana Harpera. Cóż, wszyscy, oprócz mnie.

Rozejrzałam się po sali, zastanawiając się, czyją partnerką zostanę. Problem pracy zespołowej polegał na tym, że trzeba było pracować w zespole. Najgorszym uczuciem na świecie było uświadomienie sobie, że mimo iż zna się wszystkich w klasie, jednocześnie nic się o nich nie wie.

– Zachowujecie się tak, jakbym nie wiedział, że wszyscy panikujecie. Zastanawiacie się, z kim was sparuję, co? Waszych partnerów tu nie ma. – Pan Harper uniósł palec, uciszając nasze rozkołatane umysły, po czym wyszedł z sali.

Connor prychnął.

– Jeśli nie wróci za dwie minuty, wychodzę.

Nikogo to nie obchodzi, Connor. Chcesz, to wyjdź.

Po minucie i pięćdziesięciu sekundach pan Harper wrócił z depczącą mu po piętach panią Jameson. Była nauczycielką muzyki, która śmiała się zbyt głośno i miała włosy na brodzie, których trudno było nie zauważyć. Można by pomyśleć, że powinna je zgolić, ponieważ uczyła w szkole średniej, gdzie prześladowania były silniejsze niż gdziekolwiek indziej, ale domyślałam się, że podobała się sobie taka, jaka była.

Za panią Jameson przydreptała jej klasa muzyczna, wszyscy trzymali w dłoniach instrumenty. Zarumieniłam się, gdy zobaczyłam, że wśród nich jest Levi ze skrzypcami.

Zwiesiłam głowę, udając, że go nie zauważyłam.

Zerknęłam w górę.

Uśmiechnął się do mnie.

Nie odwzajemniłam uśmiechu.

– Niech sztuka obrazu... – Pan Harper wskazał naszą klasę, po czym odwrócił się w kierunku klasy pani Jameson. – ...pozna duszę dźwięku. Rozpoczynamy projekt „Art&Soul”.

– Przeszedł do wyjaśniania, że przez trzy dni w tygodniu będziemy spotykali się z partnerami z klasy muzycznej i pracowali nad naszymi dziełami, jednak prawie natychmiast przestałam go słuchać. Robiłam co mogłam, by nie zauważać, że podszedł do mnie Levi. Starłam się nie zerkać na puste miejsce obok siebie. Miałam wielką nadzieję, że skończę jako partnerka Ellie Graze, która zbyt dużo mówiła i grała na flecie.

– Hej, Ario – powiedział Levi, siadając obok. Nigdy nie słyszałam tak często wypowiedzanego na głos własnego imienia. Może miał jakieś dziwaczne uzależnienie od tych liter. – Najwyraźniej to znak, co? Odkąd cię zobaczyłem, spotykam cię ustawicznie.

– Co? – Zamrugalam, rozglądając się po sali i sprawdzając, czy wszyscy mają już partnera. – Co znaczy „ustawicznie”?

– To moje słowo dnia. Oznacza, że coś dzieje się ciągle. Nieprzerwanie. Najwyraźniej wszechświat popycha nas ku sobie, krzyjąc: „Hej, poznaście się!”.

– Nie sądzę – zaczęłam się spierać. – To raczej przypadek. Uczęszczanie z kimś na jedno zajęcie nie jest niezwykle. Nie doszukuj się w tym drugiego dna. – Wyraz zadowolenia na jego

twarży podpowiadał mi, że rzeczywiście zbyt głęboko zaangażował się w ten temat. – Serio. – Westchnęłam. – Przestań.

– Mam przestać, ale co?

– Uśmiechać się.

Od tego nieustającego uśmiechu musiała boleć go twarz.

– Przestanę się uśmiechać, kiedy ty przestaniesz się krzywić. Możemy się zamienić.

– Ja się nie... – Urwałam, zdając sobie sprawę, że mam mocno zaciśnięte wargi.

Rozluźniłam więc mięśnie twarzy i posłałam mu nieznaczny, wymuszony uśmiešek. – Lepiej?

Wydał usta i skinął głową, ale popatrzył ze smutkiem.

– O wiele lepiej. – Położył sobie skrzypce na kolanach.

– Plotki są zatem prawdziwe? – zapytałam.

– Plotki? Jakie plotki?

– Mówiące o tym, że jesteś z południa, choć wątpię, że z Brazylii, i że jesteś czarodziejem słowa. – Pomyślałam, czy by nie wspomnieć o intymnych tatuażach, ale uznałam, że to za wiele jak na drugą rozmowę. Zachowałam to sobie na trzecią.

– Rzeczywiście pochodzę z południa, jednak nie z Rio, i lubię słowa, ale czarodziej? Nic nie wiem o czarowaniu, zapewne dlatego nie dostałem jeszcze listu z Hogwartu. Chociaż trzymam kciuki za Gryffindor.

– Bardziej mi pasujesz do Slytherinu.

– Nic nie znaczą dla mnie słowa wychodzące z ust dziewczyny z Hufflepuffu.

Uśmiechnęłam się, ponieważ odniesienia do Harry'ego Pottera zawsze przyprawiały mnie o uśmiech.

– Jakie są pozostałe plotki? – zapytał.

– Cóż, podczas trzeciej lekcji uczestniczyłeś w trójkącie w szatni z Jessiką Bricks i Moniką Lawrence.

– Och, to oczywiście prawda. To był niesamowity trójkącik z wyzwiskami, ciągnięciem się za włosy i innymi takimi. Dziwię się, że nie słyszałaś jeszcze mojej ksywki.

– A jak brzmi?

– Pan Zwierz.

Ale ściema.

– Dobra, Panie Zwierzu, jakiego koloru są włosy Jessiki i Moniki? – zapytałam, dobrze wiedząc, że kłamie.

– Obie są platynowymi blondynkami.

– Zgadywałaś. Większość dziewczyn w szkole ma takie włosy.

– I niebieskie oczy.

– Tak, idealne małe laleczki Barbie z idealnie dużymi książeczkami czekowymi.

– Poza tobą – powiedział. – Ty jesteś inna. – Nie dodał już nic więcej.

Wyprostowałam się na krześle, spocily mi się dłonie. Levi nadal mi się przyglądał, a ja byłam zszokowana, ponieważ dobrze się czułam w panującej między nami ciszy i jednocześnie czułam się w niej bardzo źle. Jak to możliwe, czuć obie te rzeczy na raz? Zaczęłam machać stopą i zdenerwowana przygryzłam dolną wargę.

– Grasz na skrzypcach? – zapytałam.

– Gram.

– Jesteś w tym dobry?

– Pff... A czy Jascha Heifetz nie jest największym skrzypkiem na świecie? – Moje puste spojrzenie skrzyżowało się z jego zszokowanym. – Odpowiedź jest twierdząca. Tak, jestem w tym dobry. I tak, Jascha Heifetz jest największym skrzypkiem, jakiego oglądał świat. Boże.

Czego was uczą w tej szkole?

– Najwyraźniej nie historii o słynnych skrzypkach.

– To wielka szkoda, ponieważ Heifetz... Gra na skrzypcach, jakby walczył o życie i jak gdyby miał przestać istnieć, gdyby nie muzyka, którą może wykonywać. Jego struny jednocześnie krzyczą, płaczą, śmieją się i wiwatują.

Nie byłam gotowa mu tego przyznać ani okazać, ale Levi sprawił, że chciało mi się śmiać. Nie tylko ustami, ale również w głębi duszy.

– Twój charakter jest całkowitym przeciwieństwem twojego wyglądu.

– Mam świadomość, że moja osobowość jest znakomita, więc będę udawał, że właśnie nie nazwałeś mnie brzydalem.

Parsknęłam śmiechem.

– Och, patrzcie państwo! Jednak się śmieje!

Podszedł do nas Connor i pochylił się z tyłu nad Levim.

– Uwaga, uwaga, zauważono dziwactwo, zauważono dziwactwo. Zalecana ucieczka.

Levi roześmiał się, ale nie był to szczery śmiech. Raczej chichotał, by pozbyć się kolegi i mieć od niego święty spokój.

– Kumpel? – zapytałam.

– A nie widać? Jesteśmy najlepszymi koleżkami – zauważył z sarkazmem.

– Może dasz mu kilka przyjacielskich rad na temat zapuszczania zarostu. Od czterech lat nieustannie pielęgnuje tego pojedynczego włosa, którego ma na podbródku.

– Pomyślę o tym – odpowiedział, obracając się znów do mnie. – A tak przy okazji, to dwa.

– Co dwa? Ma dwa włosy na podbródku?

– Nie, właściwie nic mnie nie obchodzi włosy Connora, ale mówiłaś, że to przypadek, że chodzimy razem na jedne zajęcia, a tak naprawdę widzimy się dwa razy. Mamy razem matkę, chociaż nie wydaje mi się, żebyś mnie tam zauważyła.

– Ale ty zauważyłaś? – zapytałam.

– Co zauważyłam?

– Zauważyłaś, że ja ciebie nie zauważyłam?

Roześmiał się.

– Wygrałaś.

Nauczyciele rozdali nam kartki, które mieliśmy wypełnić, aby „poznać się nawzajem”.

Były na nich podstawowe pytania, na przykład o ulubione jedzenie, zespół muzyczny, sport czy o bycie z kimś w związku.

Zamrugłam z zakłopotaniem. Spojrzałam na Leviego, po czym znów na kartkę. Nie było na niej pytania o związek, więc albo musiałam to sobie wymyślić, albo zapytał mnie o to Levi.

– Co?

– Pytałem, czy masz chłopaka.

– Ale takiego pytania nie ma na kartce.

– A nie wolno nam wychodzić poza listę?

– Nie.

– Myślę, że jednak wolno.

– To się mylisz.

Levi podniósł rękę, więc pan Harper zwrócił na niego uwagę. Skuliłam się.

– Tak, chłopcze ze skrzypkami?

– Czy można dodawać własne pytania do listy, nauczycielu z imponującymi węsami? – zapytał Levi z naprawdę ciężkim południowym akcentem.

Pan Harper podkręcił wąsa.

– Ucieszy mnie kreatywne podejście do poznawania partnera.

– Tylko bez seksu – wtrącił się Connor z irytacją w głosie. – Te lekcje są do bani.

– Co za elokwencja, Connorze. Jak mniemam, twój partner saksofonista będzie mógł dogłębnie porozmawiać z tobą na temat życia, polityki i ludzkiej inteligencji. – Pan Harper uśmiechnął się, nim podszedł do Leviego i do mnie. – Skąd pochodzisz, chłopcze ze skrzypkami? Słyszę u ciebie akcent.

– Z Alabamy, nauczycielu z imponującymi wąsami.

Levi potrafił bezproblemowo przekomarzać się z każdym. Sprawiał również, że było to urocze.

– Ach! Wiele miesięcy temu spotkałem w Alabamie mojego Leonarda. Przypomnijcie mi, żebym wam kiedyś opowiedział historyjkę o moim da Vincim. – Pan Harper pogrążony we własnych wspomnieniach odszedł, nucąc pod nosem i podkręcając wąsa.

– To... masz chłopaka? – Levi odwrócił się i skupił na mnie.

Nie miał zamiaru się poddać, więc ja musiałam to zrobić.

– Nie, nie mam chłopaka.

– Rudy jest tylko...?

– Najlepszym przyjacielem.

– Miło słyszeć.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie chciałbym mu wejść w paradę. Wiesz, to wbrew zasadom. Nie odbija się komuś dziewczyny.

Roześmiałam się.

– Co skłania cię do myślenia, że jestem do wzięcia?

Potarł dłonią szczękę.

– Nic, naprawdę. Mam tylko nadzieję.

– Dlaczego ja? Dziewczyny dosłownie rzucają się na ciebie. Do tego ludzie tacy jak ty nie lubią ludzi takich jak ja.

– Ludzie tacy jak ja? – Przysunął się do mnie. – Masz na myśli ludzi z południa? Żartowałem, mówiąc wcześniej tamtej dziewczynie na korytarzu, że Południe znów powinno wzniecić powstanie. Wyznamę politykę Północy. Uważam, że zapiekanka z mięsem i kulkami ziemniaczanymi jest powalająca. Green Bay Packers to prawdopodobnie najlepsza drużyna futbolowa. No i ser jest pyszny. Gouda, provolone, ostry cheddar, daj mi jakiś, a go zjem i będę się cieszył każdym kęsem.

Mimowolnie się roześmiałam.

– Jesteś dziwny.

Już się nie odezwał. Patrzył tylko na mnie, a na jego twarzy odmalował się uśmiech. Poprawiłam się na krześle. Nie czułam się komfortowo, kiedy tak na mnie patrzył, jakby mógł mnie przejrzeć. Wolałam pozostać niewidoczna. Levi uśmiechnął się szerzej, kiedy położył łokcie na stoliku i złączył ręce. Oparł podbródek na dłoniach.

– Ale dla jasności... – odezwał się cicho. – Ludzie tacy jak ja uważają ludzi takich jak ty za przyjemną odmianę.

Odłożyłam długopis i zamrugałam. Postanowiłam gapić się na swoje nogi przez resztę zajęć, jednak przez cały czas myślałam o czekoladowych oczach Leviego.

W końcu rozbrzmiał dzwonek, Levi nalegał na odprowadzenie mnie do szafki, mimo moich zapewnień, że nie jest to konieczne. Nie zgadzał się ze mną, przez co kłócąc się, dotarliśmy do korytarza, w którym znajdowała się moja szafka.

– A tak przy okazji, nie zaliczyłem żadnego trójkąta w szatni – rzucił, jednak nie mogłam mu odpowiedzieć.

Zabrakło mi tchu. Przed moją szafką stała grupka popularnych chłopaków i dziewczyn, wliczając w to nieszczęsną sympatię Simona, Tori. Im bardziej się zbliżałam, tym mocniej serce waliło mi w piersi.

Tori obróciła się do mnie z przebiegłym uśmiechem na twarzy i z czerwoną szminką w dłoni. Schowała ją do torebki i skrzywiła się.

– Okazuje się, że nawet dziwadła mogą być dziwkami.

Łzy pojawiły się w moich oczach, kiedy czytałam czerwone słowa wypisane na drzwiczkach szafki, jednak udało mi się nie rozplakać. Niestety te palanty będą musiały obejść się smakiem. Nie miałam zamiaru się przed nimi mazać. Pieprzyć ich.

SZESNASTKA W CIĄRZY.

ZDZIRA.

DZIWKA.

GOTYCKI ŚMIEĆ.

Nienawidziłam wielu chwil mojego życia. Kiedy miałam sześć lat, nienawidziłam tego, że pod choinkę nie dostałam lalki Barbie, przez co płakałam tak bardzo, że byłam dosłownie chora przez cały dzień. Kiedy miałam jedenaście lat, nienawidziłam tego, że nie mogłam jechać na obóz plastyczny, ponieważ miałam ospę. Kiedy miałam piętnaście lat, nienawidziłam tego, że byłam niewidzialna.

Jednak w tej chwili znalazłam się na nowym poziomie nienawiści. W tej chwili nienawidziłam samej siebie za to, że dzięki moim decyzjom w końcu mnie zauważono.

Nienawidziłam również tego, że prześladowcy postanowili wtrącić się w moje życie, choć nie potrafili poprawnie napisać wyrazu „ciąża”. Naprawdę powinni chodzić częściej na zajęcia z literatury.

Głupki.

Westchnęłam.

Ja też jestem głupia.

Levi stał w pewnej odległości, przyglądając się słowom wypisanym na mojej szafce. Kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, z jego oczu zniknęło całe wcześniejsze rozbawienie.

Patrzył w moim kierunku, ale uniosłam rękę i pokręciłam głową, po czym pobiegłam przed siebie.

– Aria. – Usłyszałam za sobą, więc obróciłam się i zobaczyłam wpatrzonego we mnie pełnymi współczucia oczyma Simona. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale pospiesznie je zamknął.

– Wiesz, co jest najbardziej popieprzone? Jedyne trzy osoby w szkole o tym wiedziały: Mike, ty i ja. Jestem pewna, wnosząc po staraniach Mike’a, żeby wszystkich przekonać, iż nie jesteśmy spokrewnieni, że on by tego nie zrobił, a wiem też, że sama nie pisnęłam nikomu ani słówka.

Podszedł do mnie, gapiąc się w podłogę.

– To był błąd. Pani Givens opowiadała mi w bibliotece o Tori i może niechcący mi się wymysknęło, no i powiedziałem jej o... – Nie był nawet w stanie dokończyć tej myśli.

Pękło mi serce.

Miał być moim najlepszym przyjacielem.

– Zostaw mnie, Simon. – Zmusiłam nogi, by zaniósły mnie gdzieś z dala od korytarza. Z całej siły otworzyłam drzwi damskiej toalety, wepchnęłam się do kabiny i zatrzasnęłam za sobą drzwiczki. Przesunęłam zasuwkę i dopiero wtedy wzięłam głęboki wdech. Panika ścisnęła mi

serce, nie wiedziałam, czy zaczerpnąć powietrza, czy je wypuścić. Oparłam ręce na biodrach, starając się uspokoić.

Mówiłam sobie, co mam robić. Obiecałam sobie, że przetrwam to, bez względu na wszystko.

Fale emocji były silne, ale ja również taka byłam. Musiałam być silniejsza niż moje odczucia, silniejsza niż ci ludzie. Czasami nie było innego wyjścia. Życie już i tak wiele mi zabrało. Nie mogłam pozwolić, by zawłaszczyło i tę siłę. Otarłam ręce o drżące ciało.

Kilka chwil później otworzyłam drzwi kabiny. Rozejrzałam się i niemal po raz kolejny wpadłam w panikę, gdy zobaczyłam, że o umywalkę opierał się Levi.

Kurde, nie mówcie, że weszłam do męskiej toalety.

Najlepiej by było, gdyby ten dzień się w ogóle nie wydarzył. Był gówniany.

Zażenowana podeszłam do umywalki, by umyć ręce. Levi uśmiechnął się i ruchem głowy wskazał korytarz.

– Dobrze się czujesz?

Zignorowałam go.

– Dobrze się czujesz? – powtórzył.

Obróciłam głowę w jego stronę i choć wiedziałam, że jesteśmy sami w toalecie, upewniłam się, że mówi do mnie.

– To damska łazienka, Levi – szepnęłam. Roześmiał się. Myślał, że jest zabawny, kiedy ja byłam bardzo poważna.

Lekko zmarszczył brwi.

– Dlaczego nic im nie powiedziałaś?

– Nie obchodzi mnie, co sobie myślą.

– Zatem dlaczego miałaś napad paniki?

Otarłam policzki wierzchem dłoni, po czym splotłam palce obu na szyi.

– Nie miałam.

Unosząc brew, posłał mi znaczące spojrzenie. Odsunął się od umywalki. Nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, do łazienki weszły dwie chichoczące dziewczyny, ale stanęły jak wryte, gdy nas zobaczyły. Wyszły, znów się śmiejąc – choć najpierw padł niewybredny komentarz „dziwka”. *Świetnie. Właśnie tego było mi trzeba.*

Uciskając nasadę nosa, zamknęłam oczy.

– Słuchaj, nie potrzebuję twojego współczucia. Nie potrzebuję litości. Poza tym uchodzisz za naprawdę cudacznego nowego gościa, a ja nie potrzebuję w życiu więcej cudactw.

Nie mówiłam poważnie i pożałowałam tych słów od razu, kiedy opuściły moje usta; byłam jednak skonsternowana i niezbyt pewna tego, ile jeszcze zdołam znieść. Przebywanie z Levim w damskiej ubikacji, kiedy przechodzący ludzie nazywali mnie dziwką, było przesadą. Bycie w ciąży było przesadą. Troska Leviego była przesadą.

Wszystko tu było emocjonalnie wyczerpujące, a odpychanie go mogło być jedyną rzeczą, nad którą miałam kontrolę. Nie potrzebowałam troskliwych spojrzeń i uroczych uśmiezków.

Nie odpowiedział. Zwiesił głowę, włożył ręce do kieszeni i wyszedł, mamrocząc pod nosem przeprosiny.

W ten oto sposób stałam się padalcem.

Kiedy w końcu udało mi się nabrać dość odwagi, by wyjść z łazienki, i skręciłam w lewo, zobaczyłam Jamesa, przyjaciela mojego brata. Stał przed moją szafką, czytał czerwony napis. James był częścią życia naszej rodziny – był dla Mike’a Simonem. Był również moją miłością, odkąd skończyłam osiem lat.

Uważałam Jamesa za duszę towarzystwa. Przyjaźnił się ze wszystkimi, bez względu na

ich szkolny status. Lubił palaczy, kujonów, luzaków. James przyjaźnił się z każdą grupą. Chyba właśnie dlatego tak łatwo było mi się w nim podkochać, kiedy byłam młodsza.

Zabawne, wystarczyła jedna noc, bym całkowicie zmieniła zdanie na jego temat.

James uniósł głowę i uśmiechnął się do mnie półgębkiem.

– Aria, cześć. – Przełknęłam z trudem ślinę i spojrzałam w jego pełne zmartwienia oczy.

– To prawda? Jesteś...?

Spuściłam głowę.

– Tak.

– A to jest... – Umilkł, rozglądając się po pustym korytarzu. Nabral gwałtownie powietrza i przysunął się do mnie. – Jestem...?

– Tak.

Mruknął pod nosem:

– Cholera. – Zaczął bawić się kołnierzykiem swojej błękitnej koszulki polo od Calvina Kleina. – Jesteś pewna, że jest moje?

Musiałam wyglądać tak, jakbym przeżyła szok, ponieważ szybko się poprawił.

– Przepraszam. Nie powinienem zadawać takiego pytania. – Ucisnął nasadę nosa i wziął głęboki wdech. – Chodziło mi o to, czy sobie z tym poradzisz.

– Poradzę sobie? – zapytałam, unosząc brew.

Szepnął:

– No wiesz... Masz zamiar się tego pozbyć?

Nie odpowiedziałam.

Jak miałam na to odpowiedzieć?

– Musisz zrozumieć, Aria. Jesteśmy z Nadine naprawdę szczęśliwi. Do tego mam mecze i przygotowuję się na studia. To by mi wszystko zrujnowało. Nie mogę sobie pozwolić, by coś takiego miało wpływ na moje życie.

Popatrzyłam na napisy na szafce.

Jestem pewna, że nie ty będziesz musiał sobie z tym radzić.

Ścisnął mi się żołądek, gdy pomyślałam o uderzeniu pięścią w ten idealny smukły nosek.

– Dzięki za tak wielkie wsparcie, James. Naprawdę potrafisz operować słowami. –

Wybiegłam z budynku. Większość autobusów i samochodów zniknęła już z parkingu. Mama siedziała w audi, spoglądając na komórkę.

Cudownie. Wizyta u lekarza.

Opadłam z sił. Poczłapałam do jej samochodu i wśliznęłam się na siedzenie pasażera.

– Gdzie, u licha, byłaś, Aria?! Czekam tu już pół godziny, a ty nawet nie raczysz odebrać! – syknęła, wkurzona moim spóźnieniem. – Wiesz, na jaki stres nas narażasz? Twój ojciec jest na skraju załamania nerwowego, a ja musiałam wykonać wiele telefonów, by umówić cię z tym lekarzem, a pani Franks może posiedzieć z Grace i KitKat jedynie do szóstej, kiedy pracuję w szpitalu na trzecią zmianę, a twoja wizyta wypada za pięć minut po drugiej stronie miasta, więc teraz już na pewno się spóźnimy!

Spojrzałam na nią, szukając w głowie odpowiednich słów, by określić swój gówniany dzień. Chciałam zrzucić na nią cały ten emocjonalny bałagan, jednak nie potrafiłam pozbierać myśli.

Kiedy popatrzyłam matce w oczy, zadrżała mi dolna warga. Z jej spojrzenia ulotniło się nieco irytacji. Obdarowała mnie pojedynczym skinieniem głowy, dając znać, że rozumie.

– Dobrze – szepnęła, odpinając pas i przysuwając się do mnie. Objęła mnie i przytuliła. – Już dobrze. Zaczęłam niekontrolowanie szlochać.

Ale mnie nie puściła.

ROZDZIAŁ 7

Levi

Ataki paniki nie były dla mnie dziwne. Kiedy dorastałem, nieustannie obserwowałem, jak mama w nie wpada. Potrafiły dopaść człowieka, połknąć go w całości i doprowadzić do takiego stanu, że ledwo można było go rozpoznać. Właśnie dlatego poszedłem za Arią do toalety. Musiałem się upewnić, że wszystko z nią w porządku, ponieważ widywałem osobę, która nie potrafiła dojść do ładu z własnymi myślami.

Aria miała w oczach smutek, ten sam rodzaj smutku, który zawsze widywałem u mamy. Ten sam, który miałbym i ja, gdybym go tak dobrze nie ukrywał.

Stałem się doskonały w uśmiechach. Ukrywałem się za nimi, by mieć pewność, że nikt nigdy nie zorientuje się, jakie mam główniane życie. Uśmiechanie się powstrzymywało ludzi przed zadawaniem pytań. Nienawidziłem pytań, które zadawano mi, gdy jeździłem do miasta, kiedy mieszkalem w Alabamie. Nienawidziłem ich niemal tak mocno, jak spojrzeń i szeptów.

Spojrzenia i szepty były najgorsze.

– No nareszcie – powiedział Lance, kiedy wszedłem do Soulful Things. Lance odziedziczył sklep muzyczny w samym centrum Mayfair Heights po moich dziadkach. Był o kilka lat starszy od mojego ojca, wyglądał jednak zdecydowanie młodziej. Był dziwnym gościem pokroju hipisa, który ożenił się z jeszcze dziwniejszą hipiską imieniem Daisy.

Nie wiedziałem, czy to jej prawdziwe imię, czy ćpała tak dużo, by uwierzyć, że naprawdę jest kwiatkiem. Do tego zawsze ubierała się na żółto, co pasowało do jej wesołej, przebojowej osobowości. O piątej rano, siedem dni w tygodniu, prowadziła zajęcia jogi na dachu sklepu. Trwało to przynajmniej do zimy, kiedy przenosiła się ze swoimi lekcjami do sali gimnastycznej pobliskiego liceum.

Lance upił łyk zielonego napoju, który zapewne zrobił z trawy i błota, po czym wziął się za ustawianie na wystawie nowej perkusji.

– Jak ci minął pierwszy dzień w piekle?

– W szkole spoko – odpowiedziałem. – Piekielnie, ale dobrze.

Uśmiechnął się. Ciemne brązowe włosy miał zebrane na czubku głowy w coś, co nazywał „męskim kokiem”, a co przytrzymywało kosmyki na miejscu.

– Jak Kent cię traktuje? Radzi sobie jakoś?

– Radzi – skłamałem.

– Ciężko ci, co? – Wyciągnął z kieszeni banknoty. – Masz tu na jedzenie. Podejrzewam, że Kent ma same mrożonki. Kup coś naturalnego, jeśli będziesz mógł.

– Dzięki, ale mamy pełną lodówkę.

– Serio? – Wytrzeszczył oczy. – To... zadziwiające. Super. Ale pamiętaj, że zawsze jesteś u nas mile widziany na obiedzie – zaproponował. – Dzisiaj Daisy robi wegetariańskie klopsy i sałatkę z kapusty.

– O chłopie, tylko nie to! – Westchnąłem z sarkazmem. – To moje ulubione. Z chęcią

bym wpadł, ale mam za dużo zadane.

Uśmiechnął się.

– Nie grymas, zanim nie spróbujesz.

– Tata zawsze jest taki... – Nie potrafiłem wymyślić właściwego słowa, by go opisać.

Zimny? Wycofany? Odkąd przyjechałem, ledwo zamienił ze mną dwa słowa. Kiedy się już odzywał, zazwyczaj przeklinał gazeciarza albo dostawcę pizzy z tego czy innego powodu. Był świetny w znajdowaniu powodów, by być zdegustowanym i gburowatym.

Dlatego właśnie schodziłem mu z drogi.

Lance zmarszczył brwi.

– Przez wiele lat twój ojciec budował wokół siebie mur. Jest bariera między nim a resztą świata. Czasami nie można do niego dotrzeć, bo często żyje we własnym umyśle. Jednak nie musisz się martwić, daj mu tylko czas. Naprawdę się cieszy z twojego przyjazdu. Tylko trudno mu to okazać. – Usiadł na stołku przed nową perkusją i zaczął walić w talerze i bębny. Przy pomocy pałeczek z łatwością wypełnił pomieszczenie kolorami. – Słuchaj! – krzyknął. – Jeśli chcesz, żebym z nim pogadał, mogę to zrobić. Zrobię wszystko, by było ci łatwiej, Levi. Tylko daj znać. – Nie przestawał grać.

Sprawił, że czułem się nieco mniej samotny.

Skończył i obdarował mnie uśmiechem.

– To zawsze poprawia nastrój. Jeśli potrzebujesz miejsca do ucieczki, zawsze możesz tu przyjść. Z wyjątkiem nocy, bo zamykamy o dziewiątej. Ale wtedy możesz skorzystać z materaca na górze. Drzwi do tych pomieszczeń są z boku budynku.

– Super. Jeszcze raz dzięki za wszystko.

Wstał.

– Grasz?

– Nie na perkusji.

– Wiedziałem – powiedział, rzucając mi pałeczki. – Muzykę masz we krwi. Pobębniij sobie trochę, a zobaczysz, czy uda ci się odnaleźć jakąś magię.

Kiedy wróciłem od Lance'a, tata siedział przy biurku w swoim gabinecie przy szeroko otwartych drzwiach. Miał na nosie okulary w grubej czarnej oprawie i przeglądał papiery. Zatrzymałem się przy drzwiach, by się z nim przywitać, mając nadzieję na proste „cześć”.

– Hej – powiedziałem, posyłając mu niewielki uśmiech. Nie spojrzał na mnie, choć odpowiedział:

– Hej.

To już jakiś postęp.

Od mojego przyjazdu czułem się spięty, jakbym miał zostać odesłany za to, że powiem coś złego. Tata, jakiego pamiętałem, o wiele bardziej się mną interesował. Teraz, nawet kiedy stałem zaledwie kilka metrów od niego, wyczuwalny był między nami dziwny dystans.

Podjąłem próbę nawiązania rozmowy, bo było jasne, że on nie zamierza tego zrobić.

– Pierwszy dzień w szkole był spoko. Podobały mi się lekcje. Nauczyciele też są w porządku. A...

– Słuchaj, próbuję przedrzeć się przez to gówno. Moglibyśmy pogadać później? – przerwał mi, nadal patrząc w dokumenty. – Zamknij za sobą drzwi.

– Okej. Gdybyś mnie potrzebował, będę u siebie.

Nie odpowiedział. Zamknąłem za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 8

Aria

– Boję się, Aria – powiedziała cicho mama, kiedy wjechałyśmy na podjazd. – Boję się o ciebie. Widywałam wiele dzieciaków, których życie zmieniło się przez nieplanowaną ciążę. Jestem też trochę zła, na ciebie i na siebie, ale postaramy się jakoś przez to przebrnąć, dobrze? Chcę, byś wiedziała, że możesz ze mną rozmawiać. Możesz mi powiedzieć, co się stało, jak i z kim. Przyrzekam, będę przy tobie. – Wsiadła i powoli zamknęła za sobą drzwi.

Weszłam za nią do domu, ale nie byłam gotowa na rozmowę.

Po powrocie mama przekazała tacie wszystkie informacje zasłyszane od lekarza. Byłam w jedenastym tygodniu ciąży, odmówiłam jednak ujawnienia Jamesa jako ojca, a także nie chciałam słyszeć o aborcji.

Masz zamiar się tego pozbyć?

Tamtego wieczora usłyszałam z ust ojca o aborcji aż pięć razy. Za każdym razem czułam, jak pęka mi serce. Gdy jego siostra Molly była nastolatką, musiała poddać się aborcji, a ojciec do dziś uważał, że była to najlepsza decyzja, jaką podjęła.

– Zyskała w ten sposób życie – wyklócał się. – Możesz wyobrazić sobie Molly z dzieckiem?

Nikt tego nie potrafił. Molly była tym, co świat nazywał „wolnym duchem”. Mama nazywała ją zdziwą – ale to kolejna rodzinna historia z obiadem z okazji święta Dziękczynienia w tle, odbywającym się dwa lata temu w domu Simona.

– Aria to nie Molly.

– Ale sytuacja jest ta sama, Camilo! Zaszła w ciążę z Bóg wie kim. Jest na to prosty sposób.

Mama prychnęła.

– Prosty?

Tata opadł na fotel, zagłębił się w nim i przesunął ręką po głowie.

– Jak mogłaś do tego dopuścić?

Mama z przerażeniem wytrzeszczyła oczy. Mike wrócił do domu na czas, by usłyszeć całą kłótnię. Nadal miał na sobie strój do gry w futbol, pod lewą pachą trzymał kask.

– Co się dzieje?

– Próbujemy wymyślić, jak pozbyć się problemu.

– Wcale nie – poprawiła mama, posyłając mu wyzywające spojrzenie. Stałam z rękami złożonymi na brzuchu. – To nie jest jakiś zator w rurze, który można splukać, Adamie! To życie. Życie twojej córki.

Tata popatrzył na mnie po raz pierwszy, odkąd dowiedział się o całej sprawie. Chociaż patrzył tak, jakby mnie nie widział. Zmarszczył brwi, po czym ucisnął nasadę nosa, nim zamrugał i odwrócił głowę.

– To był długi dzień. Co kupiłaś na obiad?

– Ty miałeś coś kupić. Wiedziałaś, że jadę z Arią do lekarza.
Coś odmruknął, znów się pokłócili, tata pomamrotał jeszcze trochę, po czym wybuchła kolejna kłótnia.

– Mogę coś zamówić – powiedziałam.

– Zapomnij, Aria. – Tata westchnął i wstał z fotela. – Już wystarczająco narobiłaś.

– Teraz już zawsze tak będzie? – zapytał Mike. Zdjął ochraniacze z ramion. – Jeśli od teraz to miejsce będzie wypełnione wrzaskami i innym gównem, to mogę zostać u Jamesa. Na sam dźwięk imienia James miałam ochotę w coś uderzyć.

Masz zamiar się tego pozbyć?

– Bacz na słowa, Mike – powiedziała mama, idąc do kuchni i skubiąc palcami ucho. – Nie jestem dzisiaj w nastroju.

Kiedy przyjechała pizza, ugryzłam zaledwie kilka kęsów, po czym zamknęłam się w swoim pokoju i puściłam przez słuchawki muzykę z telefonu z dźwiękiem ustawionym na maksimum.

Gdybym nie podeszła do okna, by je zamknąć, nie zauważyłabym Simona stojącego na zewnątrz, rzucającego w nie małymi kamyczkami.

– Cześć – powiedział, patrząc na mnie z poczuciem winy i nadzieją na wybaczenie w oczach.

– Idź sobie.

Skinął głową, ale nie odszedł. Siadając na łóżku, robiłam, co mogłam, by go zignorować, wzięłam się więc za malowanie nowego obrazu. Do mojego aktualnego nastoju idealnie pasowało dzieło abstrakcyjne.

Tworzyłam je przez jakąś godzinę. Zerknęłam przez okno. Simon nadal stał na trawniku, obie ręce wciśnięte miał w kieszenie. Wyglądał żałośnie.

Dobrze mu tak.

– Idź sobie! – powtórzyłam, chłodniej niż wcześniej.

Skinął głową, ale nie odszedł. Nie miał zamiaru tego zrobić.

Podeszłam do okna i odsunęłam siatkę. Wychyliłam się i na niego spojrzałam.

– Akurat ty nie powinieneś niszczyć mi życia.

– Wiem. – Skrzywił się. Wolałabym, by tego nie robił. Jego smutna twarz wraz z tymi głupimi piegami stanowiła posępny obraz. – Nie pomyślałem, a szczerze mówiąc, tak dobrze rozmawiało mi się z panią Givens, że przez sekundę wydawało mi się, że jest moją kolejną przyjaciółką. Czuję się tak, jakbym rozmawiał z tobą.

– Nie próbuj mnie łapać na to, że przyjaźnisz się jedynie z bibliotekarką i z ciężarną dziewczyną.

– Nie próbuję cię na to złapać, bo to nieprawda. Próbuję cię złapać na to, że tylko ty jesteś moją przyjaciółką. Mam tylko ciebie. I mam zamiar tu stać, póki mi nie wybaczysz, ponieważ jest mi bardzo przykro. Przepraszam za moją głupotę.

– Możesz tam stać całą noc – powiedziałam.

– Tak, mogę. – Drgnęła mu dolna warga, nim spuścił głowę. – I będę stał.

Popatrzyłam na jego buty. Były ubłocone. To musiało doprowadzać go do szału. Zauważył, że się na niego gapię.

– Simon...

– To nie ma znaczenia – jęknął, próbując nie poddać się swojej nerwicy natręctw. Jego pierś unosiła się i opadała wraz z szybkimi oddechami, które brał. – Nie jest źle – powiedział i się zarumienił.

Był dosłownie chwilę od wybuchu z powodu własnych demonów.

– Dobrze, dobrze. Wybaczam ci.

Nie wytrzymał mojego spojrzenia.

– Byłem dzisiaj głównianym przyjacielem.

– Zamknij się, wskakuj na okno i wyczyść buty.

– O dzięki ci, Boże. – Odetchnął i wskoczył do środka. Następną godzinę spędził na pucowaniu butów i przepraszaniu mnie. Chociaż to tak naprawdę nie było konieczne, ponieważ on również był moim jedynym przyjacielem, więc nie mogłam sobie pozwolić na jego utratę.

Następnego ranka na przystanku Simon nadal przepraszał mnie za swój błąd.

– Mój Boże, mówiłem ci, jak idealnie wyglądają dzisiaj twoje włosy? Zrobiłaś coś z nimi? – Uśmiechnął się szeroko. – Bo wyglądasz tak, jakbyś z supermodelki stała się super-supermodelką.

Nie odpowiedziałam, a on nawijał dalej:

– O! I zrobiłem listę powodów, dla których jesteś idealna. Chcesz posłuchać?

– A mam jakiś wybór?

– Nie. Nie masz. – Wyciągnął z kieszeni kartkę. – Jesteś jedyną osobą, rozumiejącą jedzenie tuńczyka razem z rostbefem. Znasz cytaty z *Gwiezdnych Wojen*. Masz niesamowite zdolności plastyczne. Trzymasz dla mnie w swoim pokoju chusteczki nawilżające oraz płyn do dezynfekcji rąk. Jesteś zabawna, nawet kiedy się nie starasz. Jesteś dość... – Przez dłuższą chwilę nie przerywał, tylko czytał i czytał.

Chociaż ledwo go słuchałam, ponieważ myślałam tylko o tym, że wcześniej czy później zza rogu wyjdzie gość w niebieskich trampkach. Jednak Levi niemal spóźnił się na autobus. Pojawił się chyba pół minuty przed tym, jak zatrzymała się przy nas żółta puszka. Popatrzyłam na niego i poczułam się niesłuchanie źle.

Tylko kretyńka mogła nazwać go cudacznym. Nie było w nim nic cudacznego. Jedyną jego odmiennością było to, że był dla mnie miły, zwłaszcza po incydencie z napisami na mojej szafce.

Nie wymyśliłam nic, co mogłabym mu powiedzieć. Wiedziałam, że muszę się jakoś odezwać, ale nie byłam pewna, co rzec.

Zdaje się, że w ogóle nie spał w nocy. Miał pomiętą koszulkę i włosy nadal mokre po prysznicu. Niemal stykaliśmy się ramionami, jednak z jakiegoś powodu czułam, jakby dzielił nas wielokilometrowy dystans.

Nie znałam go na tyle, by móc zapytać, czy jest na mnie zły, czy miał kiepską noc, czy chce pogadać.

Tak właściwie w ogóle go nie znałam.

Simon pierwszy ruszył, by wsiąść do autobusu, jednak nim to zrobił, poprawił okulary i powiedział:

– I przyjaźnisz się ze mną, największym dziwakiem na świecie! Zgłosiłaś się na trybuta, jak ta laska z *Igrzysk Śmierci*... – Zmarszczył brwi. – Chociaż nie pamiętam, jak się nazywała.

– Katniss – powiedział cicho Levi, kiwając głową w stronę Simona. Przeciągnął kciukiem po dolnej wardze. Mogłabym przysiąc, że zrobił to w zwolnionym tempie, prowokując tym samym, bym gapiła się na jego usta, kiedy wypowiadał słowa, na dźwięk których serce mi stanęło. – Katniss Everdeen. – *Panie i panowie, oto Levi Myers. Największy oksymoron na świecie.*

– Tak! Jesteś jak Katniss Everdeen! – zawołał Simon. Nie zauważył, że serce biło mi zbyt szybko, kiedy patrzyłam na Leviego, który nie poświęcił mi ani jednego spojrzenia.

Chciałam go przeprosić, ale nie wiedziałam jak.

Levi podczas lunchu usiadł z Tori i tym samym posypał solą moje rany. W trakcie rozmowy złapał ją za rękę, którą dzień wcześniej wypisywała szminką słowa na mojej szafce, lecz zamiast na nią nawrzeszczyć, uśmiechał się do niej głupkowato, uśmiechem, przez który każda dziewczyna w szkole chciałaby mieć z nim dziecko.

No może oprócz mnie. Kiedy zachodzi się w ciążę w wieku szesnastu lat, myśl o posiadaniu dzieci nabiera zupełnie nowego znaczenia. Widok Leviego rozmawiającego z Tori był dla mnie irytujący. Powinnam obrócić głowę, ale nie mogłam tego zrobić.

– Cieszę się, że nie ruszyłem do boju, gdy Tori i Eric zerwali ze sobą – zaszydził Simon.
– Wydaje się, że nowy na nią leci. Szkoda mi go, bo ona jest zdziwą.

– Myślisz, że on na nią leci? – zapytałam, starając się brzmieć neutralnie, choć w duchu ciekawiło mnie to na sto dziesięć procent.

– Żartujesz? Oczywiście, że tak. Spójrz na nią! I cholera, spójrz na niego. To znaczy, nie lecę na facetów czy coś, ale przyjemnie się na niego patrzy. Wygląda jak seksowny główny bohater jakiejś opery mydlanej. – Zamilkł na chwilę. – Dziwnie to zabrzmiało?

– Trochę.

– Możemy udawać, że tego nie powiedziałem?

– Pewnie nie. Ale serio uważasz, że do siebie pasują?

– Pasują do siebie, jak w korcu maku – powiedział.

– Nie musisz jej nienawidzić tylko ze względu na mnie. – Wiedziałam, że Tori nadal mu się podobała. Marzył o niej, odmawiał jednak mówienia o tym przy mnie.

– Nie ma mowy. – Szturchnął mnie w bok. – Jesteś moją przyjaciółką, więc nienawidzę Tori. Wiesz, jak mawiają, najpierw damy, potem... zdziwy. – Urwał, po czym dodał: – Nikt tak nie mówi, co?

Pokręciłam głową.

– Pewnie nie.

Simon nadal gapił się na Tori, a ja na Leviego; oboje się śmiali, a kiedy ona złapała go za ramię, zrobiło mi się niedobrze. Jeśli trzeba było opisać Leviego jednym słowem, byłoby to słowo: „spozrzegawczy”. Kiedy rozmawiał z ludźmi, patrzył na nich, jakby naprawdę zauważał wszystkie ich cechy. Naprawdę zwracał na nich uwagę. Przeszkadzało mi, że poświęcał tyle uwagi Tori, a nie mnie, co było dosyć głupie, ponieważ po pierwsze, odtrąciłam go, a po drugie, byłam szesnastolatką w ciąży.

Tori ze śmiechem odrzuciła głowę w tył, a Levi się temu przyglądał. Ja za to przyglądałam się jemu.

Okolo szóstej lekcji zastanawiałam się, czy nie iść na wagary. Nigdy w życiu tego nie robiłam, ale z jakiegoś powodu czułam, że to idealny czas na ucieczkę ze szkoły. Drzwi wyjściowe znajdowały się zaledwie kilka kroków ode mnie. Wychodząc pospiesznie, mogłabym zniknąć w uliczkach Mayfair Heights i mieć dla siebie kilka chwil, by pomyśleć.

Odkąd dowiedziałam się o ciąży, nie miałam na to czasu.

Zrobiłam krok w kierunku drzwi.

Naprawdę chcę urodzić to dziecko?

Czy James ma w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia?

Czy kiedykolwiek poczuję się dość dobra?

Mój żołądek zbuntował się po tajemniczym mięsie serwowanym na lunch na stołówce, więc tym bardziej chciałam wyjść. Bez względu na konsekwencje postanowiłam uciec z tego budynku.

– Cześć, Aria.

Zatrzymałam się, gdy Tori wraz z dwiema swoimi wyznawczyniami zagroziła mi drogę. Dziewczyny popatrzyły na mnie ze sztucznymi uśmiezkami. *Cholera*. Uniosłam brew. Kiedy miałam się obrócić, Tori złapała mnie za ramię.

– Chciałam tylko przeprosić za wczoraj. To było bardzo niedojrzałe, więc przepraszam. Zrobiłam się podejrzliwa. Nic nie odpowiedziałam.

– Masz zajebistą fryzurę – powiedziała koleżanka Tori.

Zapadła cisza. Trzy dziewczyny patrzyły na mnie zmrużonymi oczami, jakbym była kosmitką. Na co mogły liczyć? Na przebaczenie? Niedoczekanie.

– Dobra, nieważne. Pomyślałam tylko, że przeproszę. – Tori obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła do kogoś. Obróciwszy się, zobaczyłam Leviego, więc tylko przewróciłam oczami. Oczywiście, że jej „szczerze przeprosiny” wiązały się z Levim. W chwili, w której sobie poszedł, uśmiechy trzech dziewczyn natychmiast wyparowały.

– Jesteś takim paszczurem, że to żenujące, że jesteś w ciąży – powiedziała dziewczyna stojąca za Tori.

Podejrzewałam, że „paszczur” oznacza w języku popularnych dzieciaków kogoś cholernie brzydkiego.

– Miałaś na głowie worek, kiedy posuwał cię ten gość? Jesteś żałosna.

– To urocze, serio. To, że Levi widzi w tobie kogoś, komu trzeba współczuć. Jakby chciał chronić uczucia takiego małego puszczańskiego dziwadła.

Mówiły nieprzerwanie. Zacisnęłam dłoń w pięści, zastanawiając się, dlaczego te dziewczyny były mną tak zainteresowane, kiedy jeszcze dwadzieścia cztery godziny wcześniej nawet nie znały mojego imienia.

Jak mogę wrócić do czasu, kiedy nie wiedziały o moim istnieniu?

Łzy wściekłości zapiekły mnie w oczy, więc odwróciłam się i ruszyłam przed siebie.

– Nie potrzebuję, byś wtrącał się w moje sprawy! – powiedziałam, stając przed szafką Leviego. Wyciągał właśnie książki na kolejne zajęcia, więc uderzyłam w nie, aż zeszyty rozsypały się po podłodze. Spojrzał na mnie uważnie. – Wiesz, jakie to dla mnie trudne?! Nie potrzebuję, byś jeszcze to pogarszał.

Trzęsła mi się dolna warga, gdy walczyłam ze łzami. *Tylko się nie rozplacz*. Zupełnie jakby moje łzy dawały patrzącej na nie osobie władzę. Musiałam trzymać się ze wszystkich sił.

Zszokowany Levi wytrzeszczył oczy. Przysunął się do mnie. Cofnęłam się.

– Aria, przepraszam... – Chciał dotknąć mojego ramienia, ale się wzdrygnęłam.

Zrobiłam kolejny krok w tył.

– Nie wierzę, że chciałam cię przeprosić. Dałeś im pole do popisu, by mogły się pastwić. Zostaw mnie w spokoju. Po prostu... – Mój smutek pogłębiał się tak samo jak brak poczucia własnej wartości, kiedy słowa Tori i jej świty zakorzeniły się w mojej głowie. Miały rację. Byłam żałosna. – Proszę, zostaw mnie w spokoju – szepnęłam pokonana.

ROZDZIAŁ 9

Levi

Była na mnie mocno wkurzona. Czulem się przez to strasznie. Nie próbowałem jej dobić, ale kiedy Tori zapytała, czy zjem z nimi lunch, pomyślałem, że to świetna okazja, by przekonać ją, aby przeprosiła Arię.

Nie wiedziałem, dlaczego mnie do niej ciągnie. Odcinała się emocjonalnie od świata, ale czasami obdarowywała mnie lekkim uśmiechem, co sprawiało, iż sądziłem, że nie chce być sama.

Do tego nadal tęskniłem za Alabamą, a coś w jej wyjątkowości przypominało mi o domu.

Na lekcji muzyki udaliśmy się z instrumentami do sali pana Harpera. Byłem zaskoczony, widząc w ławce Arię. Z jakiegoś powodu oczekiwałem, że zmieni zajęcia i przeniesie się na Florydę, byle tylko ode mnie uciec.

Wślizgnąłem się na miejsce obok niej i wyciągnąłem kartkę z pytaniami.

– Przepraszam... – Zmarszczyła nos i popatrzyła na mnie. – Przepraszam, że rzuciłam się na ciebie na korytarzu i że wczoraj nazwałam cię cudacznym. Byłam zdezorientowana i zraniona.

– Bez obrazy, Aria, ale wydaje mi się, że to ja powinienem przeproszać.

Nie zgodziła się z tym.

– Jestem w rozsypce. – Założyła nogę na nogę, siedziała skulona jak precelek. – To tak jakbym nadal była sobą, ale jednocześnie stałam się... inna.

– Odmienność może być dobra.

– Nie. To nie ten rodzaj odmienności. – Głos Arii drżał, jakby starała się nad nim zapanować. – W każdym razie, pewnie powinniśmy dzisiaj wypełnić te kartki.

Nie kłóciłem się. Szczerze mówiąc, cieszyłem się, że w ogóle się do mnie odzywa. Dowiedziałem się trochę zarówno o jej rodzinie, jak i o niej samej. Na drugie imię miała Lauren. Uwielbiała każdego rodzaju pizzę. Jej mama była lekarką, a tata hydraulikiem. Jej ulubionym stylem sztuki był abstrakcjonizm (ja uważałem, że abstrakcja jest dziwna). Kiedy mówiła, w jej lewym policzku pojawiał się niewielki dołeczek. Nie powiedziała mi o tym, ale ja to zauważyłem.

Powiedziałem jej, że bardzo lubię sajgonki i boczek – nie razem, choć nie miałbym nic przeciwko temu. Na drugie miałem Wesley, uwielbiałem oglądać futbol i piłem wyłącznie piwo korzenne.

– Co oznacza tatuaż na twojej dłoni? – zapytała, spoglądając na oko znajdujące się pomiędzy moim kciukiem a palcem wskazującym.

– A, to z jednej z moich ulubionych piosenek, *These Eyes* zespołu The Guess Who. Mama pozwoliła mi go zrobić, tak samo jak ten... – Pokazałem przedramię z wytatuowanym piórem. – ...na urodziny. Pióro jest przypomnieniem, jak ważne są dla mnie słowa. Jeśli jest coś, co kocham równie mocno jak dźwięki muzyki, to są to słowa piosenek.

– To takie fajne. Moi rodzice nigdy nie zgodziliby się na tatuaż.
– Tak... Moja mama jest nieco inna niż większość rodziców. – Przygryzłem wargę, nie chcąc zbyt długo rozmawiać o mamie. Aria musiała zauważyć moją potrzebę zmiany tematu, ponieważ zapytała o coś zupełnie innego.
– W porządku – powiedziała, patrząc na kartkę. – Jakieś uzdolnienia?
– Profesjonalnie gram na gitarze powietrznej i śpiewam z playbacku – powiedziałem. Zaśmiała się i odłożyła długopis.
– Nie zapiszę tego.
Pytająco uniosłem brwi.
– Ponieważ nie można profesjonalnie grać na gitarze powietrznej i śpiewać z playbacku – wyjaśniła.

Uśmiechnąłem się.

– Ale ja naprawdę potrafię robić to profesjonalnie.

– Akurat.

Brzmiało to dla mnie jak wyzwanie. Zacząłem grzebać w plecaku, w którym miałem przynajmniej kilkanaście płyt CD. Wyciągnąłem jedną, podeszedłem do pana Harpera i poprosiłem, by ją odtworzył. Zgodził się i pozwolił włożyć ją do swojego komputera. Stałem przed klasą, strojąc swoją niewidzialną gitarę.

Aria przyglądała mi się, jakbym był niespełna rozumu, choć nie różniło się to od tego wzroku, jakim normalnie na mnie patrzyła.

Z głośników popłynęło *10 A.M. Automatic* zespołu The Black Keys, więc usiadłem na zagraconym biurku pana Harpera i zacząłem uderzać w wymagowane struny. Intensywnie poruszałem palcami, nie pomijałem żadnej nuty. Kiedy patrząc na Arię, zacząłem bezgłośnie śpiewać, zarumieniła się, ale wystukiwała rytm stopą.

Zeskoczyłem z biurka i zacząłem poruszać się po sali, śpiewając do przypadkowych dziewczyn, które zaczynały chichotać i bawić się włosami. Zatraciłem się w muzyce. Zupełnie jakbym był na scenie, grał i śpiewał przed prawdziwą publicznością.

Czułem, że wszyscy na mnie patrzą, ale liczyły się tylko jedne, brązowe oczy.

W końcowej zwrotce stanąłem przed Arią, grając ostatnie nuty, zauważyłem u niej niewielki uśmiešek.

Kiedy skończyłem, rozbrzmiał dzwonek, więc wszyscy zaczęli się pakować. Podeszło do mnie kilka dziewczyn, żeby powiedzieć, że mój występ był świetny, a Connor nie omieszkął wspomnieć, że przez tę moją powietrzną gitarę zaliczymy wszystkie te laski. Nie obchodziło mnie to, co mówił.

Chciałem wiedzieć, co myślała Aria.

Wzięła długopis i wpisała w punkcie dotyczącym uzdolnień: „gra na gitarze powietrznej” i „śpiew z playbacku”.

Wyszliśmy z sali jako ostatni, po czym w ciszy przemierzaliśmy korytarz. Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz i stanęliśmy w kolejce do autobusu, Aria przycisnęła kilka książek do piersi i wbiła wzrok w ziemię.

– To było naprawdę dobre, Levi – szepnęła, kiwając lekko głową. – Jesteś bardzo dobry w grze na gitarze powietrznej i brzmisz dokładnie tak samo jak The Black Keys.

Roześmiałem się.

– Taką mam supermoc.

– Wiele masz takich supermocy?

– Musisz poczekać, by się przekonać, Ario Watson. Wystarczy, że poczekasz, a się przekonasz.

Czułem się tak, jakbym latał.

Po powrocie ze szkoły zastałem ojca przed domem; grzebał pod maską samochodu. Z jego ust zwisał papieros. Gdy podszedłem, tata mamrotał coś do siebie pod nosem. Znów ścisnął mi się żołądek.

– Cześć, tato.

Popatrzył w górę, strzepnął popiół z papierosa i wrócił do naprawiania auta.

– Potrzebujesz pomocy?

– A wiesz cokolwiek o mechanice? – zapytał oschle.

Nie wiedziałem.

Zaśmiał się.

– Pograj sobie na flecie czy czymś.

– Skrzypcach – poprawilem, przytrzymując plecak na ramieniu. Tata uniósł brwi. – Gram na skrzypcach. Nie na flecie.

– Flet, skrzypce, jeden pies.

Oj.

– Dobra. W takim razie, jeśli nie potrzebujesz mojej pomocy... – Poczekalem, by poprosił o podanie klucza czy czegokolwiek. Stojąc tam, byłem po prostu żaloszny, więc w końcu poszedłem do domu.

Rzuciłem plecak na łóżko, a w tej samej chwili rozdzwoniła się moja komórka.

Wiedziałem, że to mama. Odebrałem i usłyszałem jej zaniepokojony, wręcz zmartwiony głos.

– Jak się trzymasz? – zapytała, zapewne chodząc tam i z powrotem po mieszkaniu.

– Nadal dobrze – odpowiedziałem, kładąc się na materacu.

– Jesteś pewien, że nie chcesz wracać do domu? W pięć minut mogę ci zabukować lot.

Kuszące.

– Nie jestem jeszcze gotów, by zrezygnować.

– Po co ci to? – zapytała z irytacją.

– Po prostu muszę spróbować. Muszę się dowiedzieć, kim jest ten facet. – Chciałem od niego ojcowsko-synowskiej relacji, tej, którą zachowałem we wspomnieniach. Chciałem od nowa poznać tatę. Problem tkwił jednak w tym, że nie spodziewałem się, iż będzie tak zamknięty, a w związku z tym że poznawanie go będzie utrudnione. Nie obawiałem się włożyć pracy w naszą trudną relację, wiedziałem jednak, że potrzeba do tego czasu.

Czas.

Mamy czas.

Nie stanie się to od razu, ale się stanie.

Poza tym mama musiała dojść do ładu ze swoją psychiką; wiedziałem, że zмага się obecnie z własnymi problemami. Właśnie przez te problemy potrzebowałem się od niej odsunąć i zamieszkać z ojcem.

Nie byłem gotów wracać do domu, do niej.

Tęskniłem za nią, choć nie na tyle, by siedzieć przy niej i patrzeć, jak się rozpada.

Westchnęła w słuchawkę, licząc na to, że zgodzę się wrócić.

– Nie tak dawno temu rozmawiałam z Lance'em. Najpierw się na mnie wydarł, ale w końcu powiedział, dlaczego uważa za tak ważne, byś był teraz ze swoim ojcem.

– No? I co powiedział. – Nie odpowiedziała, a jej milczenie sprawiło, że wstałem z łóżka.

– Mamo?

– On jest chory, Levi.

Roześmiałem się, ponieważ tylko to mogłem zrobić.

– Chory? Co masz na myśli, mówiąc „chory”?

– Ma raka płuc.

Co?

Tata nie był chory.

– Co się z tobą dzieje? Dlaczego tak mówisz? – warknąłem.

– Nie używaj wobec mnie takiego tonu, Levi. Mówię ci tylko, co usłyszałam od Lance’a.

To nie może być prawda.

Moje serce przyspieszyło, kiedy wybiegłem ze swojego pokoju. Mama nadal coś mówiła, ale już jej nie słuchałem. Poszedłem przeszukać szafkę w łazience, szuflady w kuchni i ławę w salonie. Szukałem znaków, namacalnych dowodów choroby ojca.

Jeśli miał raka, musiał istnieć na to jakiś dowód, prawda? Ojciec musiał brać jakieś lekarstwa. Leżałaby gdzieś recepta czy coś... cokolwiek.

Spojrzałem w kierunku jego gabinetu.

Drzwi były zamknięte.

– Levi! – krzyknęła mi mama do ucha, wytrącając z pośpiechu. – Wrócisz do domu. Nie ma mowy, bym pozwoliła ci się zmagać z czymś takim.

– Oddzwonię do ciebie – powiedziałem i rozłączyłem się, nim zdążyła zaprotestować.

Złapałem za klamkę do drzwi gabinetu i po chwili ją nacisnąłem. Podeszedłem do biurka, otworzyłem boczne drzwiczki i wyjąłem pomarańczowe fiołki. Przeczytałem etykiety, ale ani jednej nie zrozumiałem.

Zacząłem grzebać i znalazłem wszystko, czego szukałem: recepty, ulotki, lekarstwa. Same dowody.

Wziąłem do ręki zdjęcie leżące z tyłu szuflady.

Nasza wyprawa na ryby.

Patrząc na fotografię dowodzącą tego, że kiedyś byliśmy razem szczęśliwi, poczułem ucisk w gardle.

– Co tu, u diabła, robisz?! – krzyknął tata, stając w drzwiach.

Patrząc na niego, uzmysłowiłem sobie, że powinienem się domyślić, iż jest chory. Nie wyglądał na zdrowego. Był szczuplejszy niż inni mężczyźni jego wzrostu. Miał też sińce pod oczami, chociaż nie pamiętałem już tego, jak wyglądał na co dzień i co było dla niego normą, ponieważ już go nie znałem.

– Kradniesz coś? – syknął, patrząc zdeglustowany. – Szukasz pieniędzy?

– Nie. – Odchrząknąłem, wrzucając recepty do szuflady. – Mama mówiła...

– Mam gdzieś, co mówiła twoja matka. – Uderzył ręką w drzwi. – Było zamknięte, więc nie powinieneś być wchodzić. – Skinąłem głową i podeszedłem do niego, ale zablokował mi wyjście. Patrzył na mnie z emocjami silniejszymi niż wcześniej. – Nie mów, że się rozbeczysz. Weź się w garść jak facet i przestań być taką pipą.

A kim ty jesteś?

Przepchnąłem się obok niego z odczuciem, jakbym nie mógł oddychać.

Wróciłem do swojego pokoju i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Oparłem się plecami o ścianę i zacząłem raz po raz uderzać się w pierś.

Rak.

Rak.

Rak.

Nie mogłem wrócić do Alabamy.

Nie mogłem odejść, wiedząc, że zostawię go samego i chorego. Poza tym tkwiła we mnie egoistyczna potrzeba poznania go bliżej. Co sprawiło, że stał się tak zimny? Kiedy z rozrywkowego gościa, którego znałem, zmienił się w tego cynika? Jak mogłem to naprawić? Uzdrowić to, co było między nami?

Nie mógłbym sam ze sobą wytrzymać, gdybym nie spróbował naprawić naszej relacji, nim on...

Zamrugalem i przełknalem z trudem slinę.

Czas.

Potrzebowałem więcej czasu.

Jakąś godzinę później wyszedłem z pokoju i zobaczyłem go śpiącego na kanapie. Wiedziałem, że gdybym teraz odszedł, już nigdy nie dowiedziałbym się nic o tym nieznanym, z którym dzieliłem DNA. Wiedziałem również, że gdybym odszedł, on nie miałby nikogo. Zapewne nigdy by się do tego nie przyznał, ale musiał się bać. Rak musiał być przerażający, a on przechodził przez to w samotności.

Może ludzie mówią okropne rzeczy, kiedy się boją. Może tata nieustannie się bał.

Nie mogę wrócić do Alabamy.

Zadzwońm do mamy i jej o tym powiedziałem. Rozplakała się i stwierdziła, że nie rozumie. Prawdę mówiąc, ja też w pełni nie rozumiałem, ale miałem przeczucie, że jeśli odejdę, zawsze będę tego żałował. Zatem postanowiłem zostać.

Około dwudziestej trzeciej poszedłem do lasu z latarką i ze skrzypcami. Uwielbiałem zapach drzew i spokój natury. W Alabamie, kiedy miałem chaos w głowie, mama kazała mi chodzić boso po lesie, żebym poczuł na skórze trawę i pooddychał świeżym powietrzem.

W przyrodzie było coś niewiarygodnego, co sprawiło, że moje problemy wydawały się lżejsze, a moje położenie mniej dramatyczne.

Popatrzyłem na ukryty między koronami drzew domek. Tatus, który zbudował go ze mną, nadal musiał gdzieś istnieć. Nie mogłem się poddać w poszukiwaniach. Nie teraz. Wspiąłem się po szczeblach i wszedłem do środka, by usiąść. Wyjąłem skrzypce z futerału. Pomyślałem, że muzyka pomoże mi przez to przejść. Mama mawiała, że struny skrzypiec poprzez palce skrzypka są w stanie przekazywać historie; opowiadać o smutku, cierpieniu, pięknie i świetle.

Na początku grałem spokojnie.

Smyczek przesuwiał się po strunach, a dźwięk mojego ukochanego instrumentu rozchodził się wśród uspionych drzew, spowijając odpoczywający las. Miałem zamiar grać, aż przestanę się martwić o mamę. Chciałem grać, aż mój ojciec znów będzie moim tatą. Pragnąłem grać, aż rak stanie się zwykłym słowem, a nie wyrokiem.

Jednak okazało się, że nie podołałem, ponieważ o trzeciej nad ranem nadal martwiłem się o mamę, ojciec nadal nie był tatą, a rak nadal zajmował pierwsze miejsce w zbiorze najbardziej popieprzonych słów.

W tamtej chwili myślałem, że się załamie.

ROZDZIAŁ 10

Aria

W niedzielne popołudnie tata grillował na trawniku, a mama przygotowywała sałatkę ziemniaczaną, kukurydzę i domowej roboty przecier jabłkowy. W stanie Wisconsin nie pozostało już zapewne wiele dni umożliwiających grillowanie, ponieważ zima mogła przyjść stosunkowo wcześniej, więc byłam dziś podekscytowana. Tata przyrządzał najlepsze hamburgery na świecie. Dodawał do nich jakiś sekretny składnik, którego nie chciał ujawniać.

Siedzieliśmy przy stole. Mike w nieskończoność nawijał o nadchodzącym za kilka tygodni meczu.

– Gramy przeciw Sokołom, a trener mówi, że będzie tam kilku łowców talentów z Uniwersytetu Wisconsin–Madison. Poza tym w przyszłym tygodniu przyjadą rekrutować z Uniwersytetu Ohio.

– Myślisz, że jesteś na to gotowy? Chodzisz na dodatkowe treningi? – zapytał tata, kładąc tacę z hamburgerami na środku stołu.

– Tak. Trener mówi, że nie mam się o co martwić. Powiedział, że w kilku szkołach miejsce mam gwarantowane. Pewnie będę mógł wybrać tę, która najbardziej mi się spodoba.

– Ale nie pozwól, by ci to uderzyło do głowy. Musisz pilnować też ocen. Musisz mieć plan B. – Tata opadł na krzesło i zerknął na mnie, po czym znów zwrócił się do Mike'a: – Każdy powinien mieć plan B.

Mike zgodził się z nim, a mama zmarszczyła brwi. Staralam się jak mogłam, by podczas obiadu nie skupiać na sobie uwagi. Tydzień temu właśnie podczas obiadu palnęłam, że jestem w ciąży i od tego czasu wszystkim odbiło. Tym razem chciałam się cieszyć smakiem ulubionych burgerów.

Wzięłam pierwszy kęs i zmarszczyłam nos.

– Dodałeś do nich czegoś innego? – zapytałam.

Ojciec patrzył mi w oczy przez jakieś dwie sekundy, nim odwrócił spojrzenie, nakładając sobie na talerz sałatkę ziemniaczaną.

– Nic nie zmieniłem.

Skinęłam głowę i wzięłam kolejny gryz. Znów się skrzywiłam. Nie smakował jak zawsze. Smakował... naprawdę źle. Odłożyłam burgera i straciłam apetyt na wszystko, co znajdowało się na stole.

– Dlaczego nie jesz? – zapytała mnie Grace, wsuwając kanapkę do ust. Na sam ten widok poczułam mdłości. Jak oni mogli tego nie czuć?! – Kiedy pani Thompson była w ciąży, jadła jak krowa. Wyglądała też jak krowa.

– Grace, nieładnie tak mówić – skarciła ją mama. Nie podobało mi się to, że rozmowa nieuchronnie zmierzała w kierunku mojej ciąży; nie chciałam ponownie rujnować tacie obiadu. Mama skrzyżowała ręce na piersi i posłała mi współczujące spojrzenie. – To się nazywa

„zaburzenie smaku” – wyjaśniła mama. – Twoje kubki smakowe wariują ze względu na dziecko.

Tata skrzywił się i odsunął z krzesłem od stołu. Kiedy był zły, czerwieniał na twarzy.

– Dość tego.

– Adamie... – powiedziała cicho mama. – Usiądź.

– Nie. Nie, jeśli stanie się to, co w zeszłym tygodniu. Nie chcę tego. Nie chcę słuchać o...

– Wskazał na mnie, jakbym roznosiła jakieś choroby zakaźne. – O tym.

– Mam zamiar je urodzić – powiedziałam. Tata spiorunował mnie wzrokiem, ale nie mogłam dłużej pozwalać się tak traktować. – Urodzę i przykro mi, że mnie nienawidzisz, ale nie pozbędę się go.

Nim zdążył odpowiedzieć – lub, co bardziej prawdopodobne, nakrzyczeć na mnie – rozbrzmiał dzwonek przy drzwiach. Tata pospieszył, by je otworzyć, a przy stole zapadła cisza. Mike posłał mi takie samo spojrzenie jak chwilę temu ojciec, Grace starała się nie śmiać z mojego tak zwanego życia, a KitKat po prostu jadła kukurydzę.

– Naprawdę musisz pomyśleć o lepszych momentach na tego typu rozmowy – powiedział w końcu Mike, rozdrażniony najwyraźniej moją obecnością.

Kilka chwil później do jadalni wrócił tata; byłam zaskoczona, widząc, że za nim idzie Levi. Natychmiast wstałam.

– Co ty tu robisz?

– To ten chłopak? – zapytał tata, wskazując na mnie. – On ci to zrobił?

– Co?! – syknęłam, zażenowana i zszokowana. – Nie!

Levi uniósł brwi i zastygł w bezruchu, po czym powiedział:

– Przepraszam, chyba przyszedłem nie w porę...

– Co ty tu robisz? – zapytałam ponownie.

– Jak masz na imię? – zapytała Leviego mama. Poczułam, że się rumienię. Moje serce przyspieszyło. Jednocześnie byłam zdenerwowana i podekscytowana jego obecnością i choć na zdrowy rozum wiedziałam, że to głupi pomysł, moje serce miało to gdzieś.

– Jestem Levi, proszę pani. Jestem synem Kenta Myersa. Przyjechałem, by zamieszkać z nim w tym roku szkolnym. I jestem partnerem Arii. – Jego akcent sprawiał, że Levi brzmiał niewinnie.

– Synem Kenta? Partnerem Arii? Co to w ogóle znaczy? – syknął tata, zirytowany bardziej niż kiedykolwiek.

– Tatooo! – krzyknęłam upokorzona do granic możliwości, skrywając twarz w dłoniach.

– To znaczy, że Aria jest moją partnerką na zajęciach ze sztuki.

Mama wstała, robiąc co w jej mocy, by pozbyć się niezręczności.

– Przykro mi, Levi. Myślę, że trafiłeś na bardzo zły moment.

– Przepraszam, pani Watson, naprawdę, ale myślałem, że uda mi się z panią porozmawiać.

– Ze mną?

– Tak. – Wyciągnął z kieszeni jakieś papiery. – Aria wspominała, że jest pani lekarzem, więc pomyślałem, że mógłbym z panią porozmawiać. Obiecuję, że będę się streszczał.

Podał mamie dokumenty, a ona zmarszczyła brwi. Zaprowadziła go do salonu, gdzie usiedli na kanapie. Szeptali o czymś, gdy reszta z nas się przyglądała. Ramiona Leviego opadły, gdy przysłuchiwał się słowom mamy. Co jakiś czas kiwał głową i mówił: Tak, proszę pani. Jednak przeważnie patrzył w podłogę, ocierając czasem oczy.

Kiedy skończyli, Levi wstał i podziękował mamie, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł.

Pospieszyłam za nim.

– O co chodziło? – zapytałam, podbiegając do okna, by zobaczyć, jak zgarbiony Levi odchodzi z rękami wciśniętymi w kieszenie.

– Biedak. – Mama pokręciła głową, po czym wróciła do jadalni.

– Nie chcę widzieć u ciebie żadnych chłopaków, Ario! A zwłaszcza chłopaka związanego z Kentem Myersem! Słyszysz, co do ciebie mówię?

Mama minęła, skubiąc ucho, przy czym powiedziała:

– Daj jej spokój, Adamie. Zachowujesz się jak osioł.

Nie odpowiedział, może dlatego, iż wiedział, że to prawda.

– O co chodziło? – zapytałam mamę, która usiadła w jadalni i zaczęła jeść, jakby nie wydarzyło się nic dziwnego. Serce tłukło mi się w piersi, gdy zastanawiałam się, o czym mogła rozmawiać z Levim.

– To osobista sprawa, Ario. Nie mogę o tym mówić.

– Ale... – Zrobiłam kilka kroków, pociągnęłam za brzeg swetra. – Wszystko w porządku? Coś jest z nim nie tak?

Mama obdarowała mnie spiętym uśmiechem i powiedziała, że nie będzie zagłębiać się w ten temat. Zastanawiałam się, czy nie iść do Leviego, by zapytać, co się dzieje, ale wiedziałam, że ojciec wpadłby w szal, gdyby się dowiedział o tym spotkaniu.

Następnego ranka budzik zadzwonił o piątej pięćdziesiąt. Włożyłam spodnie od dresu i bluzę, po czym wsunęłam buty i wyszłam przez okno.

Poranne powietrze było rześkie i chłodne. Przeszłam chodnikiem aż na skraj lasu. Miałam nadzieję, że zastanę tam Leviego, skradającego się w zaroślach, by nakarmić jelenia. Mój żołądek fiknął koziołka, gdy naprawdę go zobaczyłam. Byłam zaskoczona, że stoi ode mnie zaledwie kilka kroków, chociaż mówił mi, że każdego ranka przychodzi, by spróbować nakarmić to zwierzę.

Trzymał w dłoni jagody i opierał się o pień drzewa, jednak nic nie wskazywało na to, by w pobliżu był jakiś jelen.

– Hej – powiedziałam, podchodząc do niego. Objęłam się ramionami, próbując się rozgrzać. Levi uniósł głowę i lekko się uśmiechnął. Odchrząknęłam i oparłam się o pobliskie drzewo. – Jesteś chory czy coś?

– Dlaczego pytasz?

– Zastanawiam się tylko.

– Zmartwiłabyś się, gdybym był? – zapytał.

– Tak.

– Nawet jeśli dopiero się poznaliśmy?

– Tak. – *Tak i tak.*

– Nie jestem chory – odpowiedział. – Mój tata ma raka.

Westchnęłam głęboko.

– Przykro mi.

– Mnie również.

Niezbyt wiele wiedziałam o raku. Parę lat temu ciotka Simona miała nowotwór, ale od dłuższego czasu czuła się już dobrze. Pamiętałam jedynie, jak mama Simona mówiła, że rak wysysa życie zarówno z chorego, jak i z jego najbliższych. Pomysł przechodzenia przez to samotnie mnie zasmucał, przerażał, a jednak był dziwnie znajomy.

– Może z tym walczyć – powiedziałam, z nadzieją, że go pocieszę.

– Jeśli będzie chciał – odpowiedział oschle Levi. – Nie sądzę za to, by chciał mnie – powiedział ostrzejszym tonem. Zawsze wydawał się być radosny i szczęśliwy, więc ten jego widok mnie przygnębił. – Nie dlatego, że ma raka czy coś. On mnie tu po prostu nie chce.

Staliśmy w ciszy, przyglądając się wchodzącemu słońcu. Zza pobliskiego wielkiego drzewa powoli wychylił się jeleń. Wydawał się być lekko spłoszony, patrzył na nas okrągłymi oczami. Levi szepnął, bym się nie ruszała, kiedy rzucił kilka jagód na ziemię. Udawałam, że jestem częścią drzewa, objęłam je, kiedy jeleń podszedł i zaczął jeść jagody.

– Przychodzi za każdym razem – wyjaśnił Levi. – I za każdym razem staje się odważniejszy.

– Nazwałeś go jakoś?

Pokręcił głową. Jeleń zjadł jagody i wrócił do lasu. Levi uśmiechnął się. W jakiś sposób przyglądanie się temu wielkiemu zwierzęciu jedzącemu owoce uspokoilo go.

Był tak odmienny.

Tak orzeźwiający.

– Jakie jest twoje ulubione słowo? – zapytał.

– Ulubione słowo?

Skinął głową.

– Moje to „nonsensowny”. Mama codziennie nalegała, bym wybierał ze słownika dziesięć słów, a kiedy doszedłem do „nonsensowny”, wiedziałem, że jest wyjątkowe, ponieważ z definicji oznacza „pozbawiony sensu”. Właściwie znaczy „nic nieznaczący”, co w końcu musi coś oznaczać, prawda?

– Może. Chyba tak.

Uśmiechnął się.

– Może.

– „Oksymoron” – odpowiedziałam. – To moje ulubione słowo. I chyba też nic nie znaczy, ponieważ oba człony każdego oksymoronu są ze sobą sprzeczne.

– Och, jakie to nonsensowne! – jęknął Levi, uderzając się w czoło.

– Tak, bardzo nonsensowne! – Roześmiałam się. – Słowo „oksymoron” pochodzi od dwóch greckich słów, które oznaczają „ostry” i „tępy”. Zatem oksymoron sam dla siebie jest oksymoronem.

– To zabawne, że wspomniałaś o takim słowie, kiedy jesteśmy tu sami – powiedział z uśmiechem, mając nadzieję, że odpowiem na to kolejnym oksymoronem.

Zrobiłam to, oczywiście.

– Tak. To słodko-gorzkie.

– To nawet rozkoszne cierpienie.

– O tak, strasznie dobre. – Śmiałam się. On śmiał się razem ze mną. Nasze głosy w jakiś sposób się zsynchronizowały.

Zaraz jednak ucichliśmy.

Całkiem.

Pozostaliśmy tak przez dłuższy czas. Levi był kimś, z kim dobrze się milczało. Jakbyśmy nadal prowadzili rozmowę bez użycia słów.

Głośnie cisza.

Chociaż z upływem czasu wiedziałam, że muszę wracać do domu, by przygotować się do szkoły.

– Aria? – Levi odepchnął się od drzewa. – Mogę cię odprowadzić?

Przeciągnęłam palcami po włosach i przytaknęłam. Suche liście trzeszczały pod naszymi

stopami. Levi szedł obok i mimo że się nie dotykaliśmy, moje serce przyspieszyło na samą myśl o tym, co by mogło się wydarzyć. Z tego chłopaka było jakieś dziwne ciepło, które mnie uspokajało.

Czy Levi Myers był prawdziwy? Istniał naprawdę? A może to moje smutne, ponure serduszko stworzyło go, ponieważ bardzo tęskniło za odrobiną koloru?

Tak czy inaczej byłam szczęśliwa, gdy szedł obok.

ROZDZIAŁ 11

Levi

Kiedy miałem jedenaście lat, przyjechałem na wakacje do ojca. Podczas pierwszych dni pobytu zabrał mnie nad Fisherman's Creek. Wypożyczyliśmy z doku drewnianą łódkę, w której spędziliśmy cały dzień na środku jeziora, piekąc się na słońcu. Nasze haczyki znajdowały się głęboko pod wodą, ale żadna ryba nie wydawała się zainteresowana złapaniem. Tata kupił sobie sześciopak zimnego piwa, a mnie taki sam, tyle że piwa korzennego.

Skarcił mnie, ponieważ nie chciałem zakładać na haczyk prawdziwych robaków, twierdząc, że te sztuczne nigdy nie zdadzą egzaminu, ale mama uczyła mnie, że powinniśmy szanować naturę. Mawiała, że jeśli nie mamy zamiaru zjeść żywej istoty, nie powinniśmy jej krzywdzić.

Siedzieliśmy więc w łódce, popijając nasze napoje i dorabiając się słonecznych oparzeń.

Zawsze będę pamiętał tamtą ciszę panującą na jeziorze. To, jak rzadko poruszaliśmy się w łódce, to, jak woda marszczyła się jedynie, kiedy mącił ją jakiś ptak łaknący łatwego posiłku. Po pięciu godzinach naszego prażenia się na słońcu moja wędka w końcu drgnęła, a tata skoczył mi z pomocą, kręcąc ze mną kołowrotkiem przy wyciąganiu mojej największej w życiu ryby.

– Ciągnij! – polecił, więc tak robiłem. Ciągnąłem, ciągnąłem i ciągnąłem.

W końcu nadeszła chwila prawdy, a kiedy ryba miała wynurzyć się z wody, roześmialiśmy się. Śmiałem się tam bardzo, iż myślałem, że brzuch mi pęknie, a piwo korzenne wyleci nosem. Okazało się, że moja ryba nie jest rybą, ale butem. Kiedy tata zaczął się śmiać, ja poszedłem w jego ślady. Tata przechylił się przez burtę i powiedział:

– Dzisiaj kolacja będzie smakowała podeszwą, Levi. – Śmialiśmy się nieustannie, ja trzymając się za brzuch, a on chichocząc z mojego wycia.

To był ostatni raz, kiedy śmialiśmy się razem. To był ostatni raz, gdy razem byliśmy szczęśliwi.

Zastanawiałem się, co się stało.

Co się zmieniło i sprawiło, że przestał mnie kochać?

Teraz tamte chwile wspólnej wesołości przypominało jedynie wieczorne oglądanie czarno-białych komedii na telewizorze w salonie. Nigdy nie prosił, bym do niego dołączył, nawet mogłem stwierdzić, że był lekko poirytowany, gdy siadałem w pobliżu. Zatem chowałem się co wieczór w holu, tuż za rogiem, by nie mógł mnie widzieć ani słyszeć. Gdy się śmiał, ja również się śmiałem.

Było tak, jakbyśmy niemal potrafili odtworzyć relację ojca z synem, która zagubiła się gdzieś w czasoprzestrzeni.

Nigdy wcześniej ani później tak bardzo nie lubiłem czarno-białych komedii.

ROZDZIAŁ 12

Levi

popularny | przymiotnik

1. Powszechnie znany, ceniony.
2. Ogólnie zrozumiały.
3. Masowo używany lub szeroko rozpowszechniony.

Nie wiedziałem, jak dostosować się do popularnych dzieciaków. Siedziałem przy ich stoliku, słuchałem, jak nawijają o imprezach, i robiłem, co mogłem, by się uśmiechać, jednak prawda była taka, że nie łączyło nas nic. Pochodzili z rodzin posiadających pieniądze i żyli w luksusie. Ja pochodziłem z drewnianej chaty w lesie. Oni uprawiali sporty i mieli wiele zajęć pozaszkolnych. Ja miałem mamę i nie należałem do żadnych klubów znajdujących się poza lasem. Miałem jedynie skrzypce, na których mama uczyła mnie grać.

Żaden z tych chłopaków nie grał na instrumentach, a choć dziewczyny mówiły, że gra na skrzypcach jest seksowna, tak naprawdę nie chciały rozmawiać o najstłynniejszych skrzypkach, tak samo jak nie interesował ich temat łączenia klasycznego brzmienia z muzyką nowoczesną.

Większość rozmawiała o seksie, piciu alkoholu i następnej planowanej imprezie.

Szkoła średnia mnie wkurzała. Odkąd się tu pojawiłem, zostałem zaszufadkowany i wrzucony do jednego pudełka z rzeczami, których nie robiłem. Zostałem przypisany do grupy, która wcale nie chciała mnie poznać, ponieważ koncentrowali się jedynie na powierzchowności. Mój wygląd im pasował, jednak wewnątrz byłem odmieńcem.

Nieco niepokojące było to, że wśród nich wszyscy ze wszystkimi spali, jakby to było coś normalnego. Stacy umawiała się z Brianem, który kręcił z Jessiką, która uprawiała seks z Jasonem, który ssał palce u stóp Victorii, która zrobiła laskę Ericowi, po tym jak przespał się ze Stacy, która chodziła z Brianem. To było jak dziwaczna, pokręcona, zamknięta grupa, gdzie wszystko zostawało w rodzinie.

Do tego, bazując na definicji popularności, ci ludzie byli jej całkowitym przeciwieństwem. Byli przesiąknięci złem. W porównaniu do większości szkolnej populacji, byli nazbyt zwarci. Jasne, wszyscy się kochali, jednak pozostali uczniowie szkoły średniej z Mayfair Heights równo ich nienawidzili.

niepopularny | przymiotnik

1. Niecieszący się popularnością.

2. Nieakceptowany przez ogół.

Patrząc na drugą stronę stołówki, zawsze zauważałem Arię śmiejącą się z Simonem. Aria nie uśmiechała się zbyt często, a jej śmiech należał do rzadkości, jednak jej przyjaciel potrafił go z niej wykrzesać.

Od tamtego poranka, kiedy staliśmy oparci o drzewa i rozmawialiśmy o oksymoronach, raku i innych nonsensownych rzeczach, nie potrafiłem przestać myśleć o jej śmiechu.

O wiele bardziej podobał mi się tamten poranek niż rozmowy o seksie, piciu i imprezach.

Lubiłem naturę, jelenia oraz Arię Watson – która w jakiś sposób była dziewczyną smutną i szczęśliwą jednocześnie.

Czasami nasze spojrzenia krzyżowały się nad stołami i żadne z nas nie chciało spuścić głowy. Przybierało to rozmiary walki. *Kto pierwszy się obróci?*

Nigdy nie przegrałem. To ona zawsze skupiała się na czymś innym.

Pewnej nocy, o trzeciej czterdzieści pięć, rozdzwoniła się moja komórka. Jęknąłem i sięgnąłem przez łóżko, by ją odebrać.

– Halo? – powiedziałem sennie ochryplym głosem.

– Mam pewien pomysł, który chcę z tobą przedyskutować. Myślałam o otworzeniu w mieście sklepu muzycznego, więc chciałam, byś wrócił do domu i poprowadził go ze mną. Może być nasz, Levi. Możemy w nim sprzedawać same najlepsze płyty winylowe i takie tam. Załóżę się, że jest w mieście jakiś stary magazyn, który moglibyśmy wynająć. I...

Brzmiała tak, jakby była zupełnie oderwana od rzeczywistości. Wolałbym nie znać tego dźwięku. Jednak te same myśli i słowa kazały mi się przenieść z Alabamy do Wisconsin.

– Mamo, jest prawie czwarta nad ranem.

– Och, spałeś? Ja siedzę teraz w internecie i szukam w mieście jakichś sklepów do wynajęcia. Zaczęłam nawet projektować w Photoshopie logo, które moglibyśmy umieścić nad drzwiami. Co myślisz o zestawieniu niebieskiego i fuksji? Musimy wymyślić jakąś nazwę. Wiem, że ludzie w mieście zawsze gadają o tym, jaka jestem nieudolna i jak mi nigdy nic nie wyjdzie...

– Nikt tak nie myśli, mamo.

– Wiem, co myślą inni, Levi. Zawsze ich słyszę. Och! I nagrałam nową piosenkę. Chcesz posłuchać?

Nie dała mi szans powiedzieć, że rano muszę wstać do szkoły. Mówiła nieprzerwanie. Po godzinie jej bezsensownej paplaniny położyłem sobie komórkę na brzuchu i zamknąłem oczy. Mogłem się założyć, że przestała brać lekarstwa.

Jej późnonocny telefon był doskonałym przypomnieniem, dlaczego zdecydowałem się zamieszkać z tatą zamiast z nią.

Potrzebowałem od niej odpocząć.

ROZDZIAŁ 13

Aria

Z powodu porannych mdłości i kiepskiego samopoczucia opuściłam tydzień zajęć. Kiedy w końcu wróciłam w czwartek do szkoły, poprosiłam nauczyciela od historii, pana Fieldsa, o możliwość skorzystania z łazienki tuż po wysłuchaniu półgodzinnego nudnego wykładu na temat rzeczy, które wydarzyły się setki lat temu. Miałam zgałę po zjedzeniu taco na lunch. Miałam wrażenie, jakby ktoś podpalił moje wnętrze i ścisnął mi serce. Wiedziałam, że jeśli zostanę w sali, słuchając monotonnego głosu pana Fieldsa opowiadającego o Napoleonie choćby przez jeszcze jedną chwilę, zapewne zasnę z nudów.

Przeszłam przez korytarz i dostrzegłam, że moja szafka znów jest czymś pokryta. Tym razem były to ulotki na temat ciąży i prezerwatywy. Musiałam przyznać, że stanowiło to świetne ostrzeżenie, chociaż trochę się z nim spóźnili.

– Nienawidzę swojego życia – mruknęłam do siebie, wyrzucając część z tego do śmieci.

– Liceum jest do dupy.

Natychmiast obróciłam się na te słowa i zobaczyłam stojącą niedaleko mnie Abigail.

Wszyscy w szkole nazywali ją Dziwaczką Abigail, ponieważ była wyrzutkiem. Wiedziałam, że ja sama też nim byłam, jednak jeśli chodziło o dziwaków, Abigail uplasowała się na szczycie listy.

Codziennie nosiła ortalionowe spodnie i starą bluzę z nadrukiem Pink Floydów. Jednak na nogach zawsze miała szpilki, w których chodziła tak, jakby sprawiało jej to ból. Przemieszczała się bardzo szybko, przez co szeleściła, bo nogawki jej ortalionowych spodni ocierały się o siebie. Jej szpilki stuknęły, jej spodnie szeleściły. Jeśli nie spieszyła się na kolejne zajęcia, cytowała jakieś przypadkowe osoby. Jej brwi i włosy wyglądały jak utleniane na blond; do tego Abigail była przeraźliwie biała. Nie uznawała przestrzeni osobistej, o czym właśnie się przekonałam, ponieważ pomagała mi zrywać prezerwatywy z drzwiczek szafki, właściwie dysząc mi w kark.

– Tak – zgodziłam się. – Jest.

– Więc nie pozwól im się dopaść. Liceum nie jest wieczne. „Badaj biegi gwiazd, jakbyś sam w nich brał udział”. Wiesz, kto to powiedział? Marek Aureliusz.

– Nie wiem, kto to jest.

– Google, Aria. Internet pełen jest ludzi, którzy powiedzą ci coś, czego nie wiesz. Chociaż się nie rozpędzaj. Większość to rządowa propaganda, przez którą srasz ze strachu, a oni w tym czasie kradną ci pieniądze – powiedziała, po czym odeszła.

Nie wiedziałam, że Dziwaczka Abigail przeklina.

Czwartkowe popołudnia nie należały do moich ulubionych. Mama chciała wiedzieć, czy wszystko ze mną dobrze, ale nie była pewna, jak sprawić, bym się przed nią otworzyła. Nie planowałam się przed nią otwierać, więc może w tym tkwiła przyczyna jej niepewności. Skoro nie chciałam rozmawiać z nią na temat okoliczności mojego zajścia w ciążę, wierzyła, że powinnam przynajmniej porozmawiać z kimś innym.

Tata skutecznie raczej taktykę udawania, że nie istnieje.

Chciałabym, aby mama była w tym odrobinę do niego podobna.

Nazwisko doktora Warda[3] kojarzyło mi się z oddziałem szpitala psychiatrycznego. Trzy ściany w jego gabinecie były śnieżnobiałe, za to czwarta błękitna. Meble zrobione były z ciemnego drewna, z wyjątkiem błękitnej kanapy stojącej pod jedną ze ścian, błękitnej miseczki wypełnionej cukierkami i błękitnych długopisów leżących na jego biurku. Mogłam się założyć, że doktor Ward nauczył się, jak wykorzystywać kolory na zajęciach z podstaw psychologii. Niebieski ponoć uspokajał, wiele osób uważało, że niesie ulgę i koi.

Osobiście przypominał mi o okresie błękitnym Picassa, który był dla niego dość depresyjny, chociaż jedne z jego największych dzieł pochodziły właśnie z tego czasu.

Kolejny oksymoron: świetność okresu błękitnego Picassa.

– O czym myślisz, Ario? – zapytał doktor Ward swoim terapeutycznym tonem. Lekarz wydawał mi się stary, mimo że był jeszcze młody, prawdopodobnie trochę po trzydziestce. Stary na tyle, by być terapeutą, choć nadal zbyt młody, by wyglądać na profesjonalistę. Nie miałam pojęcia, dlaczego mama wybrała akurat jego, by spróbował zgłębić tajniki mojego umysłu. Doktor Ward nie mówił dużo, jednak kiedy się odzywał, zawsze pytał o moje myśli, uczucia i obecny nastrój.

– O Picassie – odpowiedziałam, sięgając po cukierka do błękitnej miseczki.

– O Picassie? – zapytał wyższym tonem.

– W tysiąc dziewięćset pierwszym roku Picasso przechodził przez okres błękitny. Używał jedynie niebieskiej, czasem tylko zielonej farby. Mawiają, że popadł wtedy w głęboką depresję, jednak w tym czasie stworzył jedne ze swoich najlepszych dzieł. Na przykład *Starego gitarzystę*, który jest jednym z moich ulubionych obrazów. To dziwne, że podczas najmroczniejszego okresu życia stworzył niektóre ze swych najwybitniejszych dzieł.

– Hmm – mruknął doktor, lekko uderzając się błękitnym długopisem w usta. – A co sprawiło, że pomyślałaś w tej chwili o Picassie?

– Pana gabinet.

– Mój gabinet?

– Tak. Jest depresyjny i duszny.

– Myślisz, że jest taki ze względu na jego faktyczny wygląd, czy ze względu na twój aktualny stan ducha?

Nie odpowiedziałam; nie byłam pewna odpowiedzi.

Może sama przechodziłam przez okres błękitny?

– Czujesz się przygnębiona, Ario?

Nie odpowiedziałam. Grałam rolę zbuntowanej nastolatki. Wydawało się, że jemu to nie przeszkadza.

– Jak spotkanie? – zapytała mama w drodze do domu.
– Świetnie – skłamałam. – On jest super.
– To dobrze. – Skinęła głową, uśmiechając się. – To dobrze, bardzo dobrze. Cieszę się, że masz z kim porozmawiać.

Tak, zdecydowanie.

Mama musiała wracać do pracy w szpitalu, a tata pracował do późna, więc na moich barkach spoczywało odebranie Grace i KitKat z domu sąsiadki i dopilnowanie, by zjadły kolację. Parówki z frytkami były jedynym daniem, jakie udało mi się dzisiaj wymyślić, ale moje siostry nie miały nic przeciwko. Obie uwielbiały frytki oraz to, z czego zrobione były parówki.

Siedzieliśmy wspólnie przy stole, przy czym Grace cały czas patrzyła na mój brzuch.

– Już robisz się gruba – powiedziała, wkładając do ust parówkę umoczoną w ketchupie.

– Zamknij się, Grace.

– Powinnaś pomyśleć o dziecie. Inaczej twoje dziecko będzie miało prawie sto kilo.

Dziecko pani Thompson było dość grube.

– Nikogo nie obchodzi dziecko pani Thompson.

– To nie było miłe! – krzyknęła, a ketchup wylądował na jej kolorowej koszulce. Ubrania Grace zawsze wyglądały tak, jakby moja siostra przeszła w nich przez fabrykę landrynek, po czym wykąpała się w tęczy. Od kolorowych bransoletek do tęczowych skarpetek, przez co można było pomyśleć, że była równie urocza i pogodna jak jej ubrania. Nic bardziej mylnego. – Już nie jesteś miła.

– Ale mówienie siostrze, że jest gruba, też takie nie było.

– Jesteś marudna.

Jestem zmęczona.

– Jedz, głąbie.

– A twoje dziecko ma tatę? – zapytała Grace, najwyraźniej postanawiając nie dać mi odetchnąć.

– Grace... – powiedziałam podniesionym głosem, ostrzegawczo, by nie ciągnęła tematu.

– Pewnie powinien wiedzieć, że jego dziewczyna jest w ciąży i że będzie miał dziecko.

Miała to durne przeświadczenie, że jedynie ci, którzy się pobrali lub są parą, mogą mieć dziecko. *Gdyby tylko była to prawda.* Nie odpowiedziałam na jej uwagę. Zamiast tego zaczęłam kroić jedzenie.

– Założę się, że kiedy urodzisz dziecko, ono będzie miało twarz jak tyłek. I będzie wyglądało tak. – Zrobiła najbrzydszą minę na świecie, przez co mimowolnie się roześmiałam.

I przy okazji pociekły mi łzy.

Pieprzony emocjonalny rollercoaster.

ROZDZIAŁ 14

Levi

W zasadzie zamiłowanie do muzyki odziedziczyłem po mamie, ale to tata, kiedy miałem siedem lat wprowadził mnie w intensywnie piękną umiejętność gry na gitarze powietrznej i śpiewania z playbacku. Każdego dnia, gdy siedziałem w domku na drzewie, wracało do mnie coraz więcej wspomnień o nim. Pamiętałem pierwszą piosenkę, której nauczył mnie grać na gitarze powietrznej. To było jedno z moich najlepszych wspomnień.

Siedzieliśmy razem w domku na drzewie, on ze zwykłym piwem, ja z piwem korzennym. Z niezapalonym papierosem w zębach zgniótł pierwszą pustą puszkę i odrzucił na bok. Zrobiłem tak samo.

– Nauczę cię czegoś, dzięki czemu w przyszłości poderwiesz dziewczynę, Lee. W ten sam sposób zwróciłem uwagę twojej mamy – powiedział, zapalając papierosa. – Sztuka symulacji.

Nie wiedziałem, o co mu chodziło. Obrócił się na lewo, gdzie obok starego futerału na gitarę stało radio.

– Grałeś kiedyś na gitarze powietrznej? Albo śpiewałeś z playbacku? – zapytał.

– Nie.

Zaciągnął się kilka razy dymem, po czym powiedział:

– No dobrze. Musisz uważnie patrzeć, bo to coś poważnego i wymaga poświęcenia.

Myślisz, że będziesz potrafił się poświęcić, by nauczyć się grać na tym instrumencie?

Roześmiałem się i skinąłem głową, kiedy obserwowałem jak jego palce zaczynają dotykać strun niewidzialnej gitary. Wcisnął guzik odtwarzania w radiu i muzyka wypełniła domek; tata przesuwał palcami po powietrznym instrumencie i poruszał ustami do słów, choć nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. More Than a Feeling zespołu Boston zabrzmiało, gdy „grał” i „śpiewał” każdą nutę, cały czas kołysząc głową.

– Wow – mruknąłem, gdy skończyła się piosenka.

Uśmiechnął się.

– Tak. Mam coś dla ciebie, chwileczkę. – Odwrócił się, otworzył futerał i wyjął z niego gitarę powietrzną. – Mój stary dał mi to, gdy byłem gówniarzem, a teraz ja przekazuję ją tobie. Dbaj o nią.

Patrzyłem na swoje puste ręce, zaraz jednak ułożyłem je tak, jakbym trzymał w nich cały świat.

– Wow – mruknąłem ponownie.

– No dobrze. Gotowy? Nauczę cię piosenki, którą właśnie zagrałem. – Znów wcisnął

przycisk odtwarzania. Spędziliśmy wieczór, śmiejąc się, pijąc swoje piwa i ucząc się, jak zostać profesjonalnymi wykonawcami.

– Co dzisiaj robisz? – zapytał tata w środę rano. Musiałem się upewnić, że mówi do mnie, mimo że byliśmy w domu tylko we dwóch. Właściwie to cud, że staliśmy w tym samym pomieszczeniu. Przez większość czasu, kiedy mnie widział, ojciec odwracał się w przeciwnym kierunku.

– Ja?

– Głupi jesteś? A do kogo mówię? – mruknął, otwierając lodówkę.

Odkąd dowiedziałem się o jego raku, zacząłem kłaść się później spać, poszukując informacji i ucząc się o tej konkretnej odmianie nowotworu. Postanowiłem też o gburowatą osobowość ojca oskarżyć to schorzenie – w ten sposób nie będę miał poczucia, że to ja jestem przyczyną jego nastroju.

– Muszę iść do szkoły.

Wymamrotał coś pod nosem, jakby nie mógł się zdecydować.

– Myślisz, że mógłbyś nie iść? Lekarz powiedział, że nie powinienem prowadzić po chemii, a nie mam nikogo, kto mógłby mnie zawieźć. Normalnie robi to Lance, ale pojechał na jakiś hipisowski festiwal czy inne gówno.

To był pierwszy raz, odkąd dowiedziałem się, że jest chory, i kiedy tak naprawdę przyznał, że coś mu dolega. Z jakiegoś powodu stało się to dla mnie bardziej realne.

Rzeczywiście był chory. Rzeczywiście walczył o życie.

– Mogę z tobą pojechać. – Skinąłem głową. *Zrobię wszystko.*

Uniósł brwi i nalał do kubka soku pomarańczowego. Podał mi go. Podziękowałem.

– Wiesz, jak obsługiwać manualną skrzynię biegów? – zapytał.

– Oczywiście.

Oczywiście nie wiedziałem, jak się to robi. Ciotka Denise pomogła mi zrobić prawo jazdy w Alabamie, ale nauczyła mnie jeździć automatem. Za każdym razem, gdy samochodem szarpało, tata przeklinał.

– Jezu, Levi! Myślałem, że wiesz, jak się tym jeździ. Zmień bieg – polecił.

– Nie wiem.

– Co?

– Po prostu nie chciałem, żebyś jechał sam – powiedziałem.

Szarpięcie. Znak stopu. Piętnaście centymetrów za linią. Szarpnięcie. Stop.

JezusMariawcholeręumrzemyyy...

– Ale to głupie. Powinieneś wiedzieć, jak to działa. Czego, u licha, matka cię tam uczyła?

– Podrapał się po podbródku. – Najwyraźniej będę musiał ci pokazać, bo teraz gówno potrafisz. Póki co postaraj się mnie nie zabić, zanim zrobi to rak.

– Spoko – powiedziałem, kiwając głową. – Chciałbym, żebyś mnie nauczył. – Zapewne nigdy by tego nie przyznał, ale wydawało się, że jemu również podobał się ten pomysł.

Pielęgniarka posadziła tatę na otwartej sali i zaczęła go podłączać do maszyny, która

miała pompować do jego ciała jakiś płyn. Zaklął siarczyście, gdy nie trafiła w żyłę, zwyzywał od idiotek, jednak ona niewzruszona kontynuowała swoje czynności. Usiadłem obok na krześle, zastanawiając się, czy to coś da, czy te chemikalia go uratują. Potem przypomniałem sobie, co mama Arii mówiła o czwartym stadium raka płuc, i starałem się jak mogłem nie rozbudzać w sobie nadziei.

Podobało mi się to, że pani Watson była ze mną szczerą i że jednocześnie starała się mnie pocieszyć.

Obok na niewielkim stoliku stały krakersy i kartoniki z sokiem, więc się poczęstowałem. Tata skarcił mnie, mówiąc, że to przekąska dla chorych, chociaż siostra Maggie stwierdziła, że rodzina również może z nich korzystać.

Jakieś pół godziny później do sali weszła matka z dziewczyną z naszej szkoły. Domyślałem się, że jest w podobnej do mnie sytuacji, pomaga mamie, jednak kiedy to ona została podłączona do maszyny, uświadomiłem sobie, że moje położenie ani trochę nie jest podobne.

Jej skóra była upiornie blada, jednak dziewczyna nie wyglądała na smutną. Nawet się nie bała. To samo można było powiedzieć o jej matce. Chociaż wyglądała na przerażoną, gdy trzymała córkę za rękę.

– Wszystko dobrze, mamó – powiedziała dziewczyna i uśmiechnęła się szeroko. – Po tym mi się poprawi.

To ona pocieszała bliską osobę, jednocześnie sama przechodząc przez najczarniejsze chwile w życiu.

Starałem się nie przyglądać, jednak rzucałem co jakiś czas okiem w jej kierunku.

– Gdzie byłeś wczoraj? – zapytała Aria następnego ranka na przystanku. Normalnie Simon stał pierwszy, ale dzisiaj nigdzie go nie było. Miałem jednak pewność, że niedługo się zjawi.

Uśmiechnąłem się do dziewczyny i poprawiłem szelkę plecaka.

– Tak bardzo za mną tęskniłaś?

– Nie – prychnęła, kopiąc w kółko jakiś kamyk. – Mieliśmy wczoraj pracować nad naszym projektem „Art&Soul” na zajęciach ze sztuki i wymyślić, co będziemy chcieli zaprezentować, to wszystko. Teraz przez ciebie mamy dzień w plecy.

– Hola, hola, panienko. Ja nie wywoływałem w tobie wyrzutów sumienia, gdy opuściłaś cały tydzień.

– To było co innego – szepnęła, nieruchomiejąc. – Byłam chora, a ty mogłeś iść do biblioteki i poczytać o abstrakcjonizmie w malarstwie.

– To się przypadkiem nie nazywa „poranne mdłości”? – zapytałem.

– Odmawiam odpowiedzi na to pytanie – rzuciła, pocierając palcem brew. Nie miała dzisiaj makijażu i wyglądała idealnie. Gdybym jej nie znał, pomyślałbym, że udaje.

– Dlaczego? – Nie mówiła za wiele o sobie, więc uznałem, że to nie fair. Często zastanawiałem się, kto jest ojcem dziecka, ale nie miałem prawa zapytać. Gdyby chciała, żebym wiedział, powiedziałaby mi. Chociaż może nie zdawała sobie sprawy, że chciałbym słuchać. – Możesz mi mówić o... no wiesz... o ciąży, jeśli chcesz z kimś pogadać. Nie jestem pewien, czy w ogóle o tym mówisz, ale chciałbym, byś wiedziała, że jeśli będziesz chciała z kimś pogadać, moje uszy są chętne do słuchania.

Zmarszczyła nos i uderzyła się ręką w czoło, w tej samej chwili podjechał autobus.
– Rany, Levi! Jest ledwie siódma rano, a ty już mnie drażnisz. Oby tak dalej, a nie będziemy mieć udanego dnia.

Uśmiechnąłem się do niej promiennie. Była taka słodka, kiedy się wkurzała.

– Za wcześnie na rozmowę o dzidziusiu?

– Dużo, dużo za wcześnie. Całe wieki za wcześnie. Tak za wcześnie, że gdybyśmy umarli, wrócili do życia, ponownie umarli, znów wrócili do życia i zrobili tak jeszcze dwa razy, nadal byłoby za wcześnie, abym o tym mówiła. Rozumiesz?

– Rozumiem doskonale.

– To dobrze.

– Dobra, to... przesuniemy rozmowę o dziecku do lunchu.

– Dlaczego jesteś taki świrnięty?

– Mama mnie tak wychowała – odpowiedziałem, puszczając ją w drzwiach autobusu. –

Co prowadzi do mojego kolejnego pytania: mogę zjeść lunch z tobą i z Simonem? To znaczy wiem, że normalnie mamy jakieś zawody w patrzeniu na siebie przez całą stołówkę, ale pomyślałem, że moglibyśmy się na siebie gapić, siedząc przy tym samym stole.

– Ciężko mi się na ciebie złościć, kiedy używasz tego swojego śmiesznego akcentu. – Uśmiechnęła się zaczepnie. Lubiłem ją taką.

– Mogę częściej tak mówić, jeśli chcesz. – Przełączyłem się na najlepszy akcent ze środkowego zachodu. – Co powiesz na smażonego corn doga, a kiedy zeżjemy dziada, łykniemy se kranówy?

– O rany, smażony corn dog brzmi znakomicie. – Przrzekam, że zaczęła się ślinić na tę myśl. – Z sosem czosnkowym.

Nie wiedziałem, czy to ciężowa zachcianka, czy jakieś dziwne zwyczaje kulinarne z Wisconsin, choć była spora szansa, że i jedno, i drugie.

Kiedy zgodziła się, bym zjadł z nimi lunch, odtańczyłem taniec szczęścia, po czym Aria powiedziała mi, że bym już nigdy tego nie powtarzał.

Co oczywiście powtórzyłem, nim obok niej usiadłem.

– Co robisz? – zapytała.

– Ponieważ nie widzę nigdzie Simona, pomyślałem, że nie ma przeszkód, bym usiadł obok ciebie w autobusie.

– Przełazisz dzisiaj, Levi. Chcesz siedzieć ze mną na lunchu i w autobusie?

Przytaknąłem.

– Ale również dlatego, byśmy mogli popracować nad naszym projektem. Pomyślałem, że jeśli chcemy, by ten projekt był jak najlepszy, musimy zacząć oswajać cię z dobrą muzyką. – Wyciągnąłem z plecaka discmana, po czym podałem jej jedną słuchawkę.

– Co to? – zapytała z wyrazem zdumienia w oczach.

– Discman – odpowiedziałem, zmieszany jej zmieszaniem.

– Ludzie nie używają już discmanów, Levi. To dziwaczne.

– Ee... może normalni ludzie tego nie robią, ale musisz wziąć pod uwagę, że jestem skończonym hipsterem, a myślę, że tak właśnie robią współcześni hipsterzy. Starzy hipsterzy słuchają winyli, co, nie oszukujmy się, samo w sobie jest zarąbiste, chociaż uciążliwe, by ciągnąć ten cały sprzęt po mieście. Staromodny discman nadal jest fajny i sprawia, że hipster czuje się dobrze i nie musi targać ze sobą odtwarzacza płyt. Zatem mówię ci, że kopnął cię zaszczyt doświadczenia magii w uszach. To będzie jak eksplozja kolorów.

– Zawsze rano jesteś taki pobudzony? – zażartowała.

– Codziennie.

Włożyła słuchawkę do ucha, więc poszedłem w jej ślady. Wcisnąłem play.

– Co to za płyta? – zapytała.

– Składanka, którą zrobiłem w weekend u wujka. Są tu moje ulubione kawałki. Pierwsza piosenka to *Open Rhythms* zespołu Bodies Of Water. – Podniosłem nogi, opierając podeszwy o siedzenie przed nami.

Kiedy muzyka zaczęła grać, rozluźniłem się na siedzeniu, przygotowałem palce i zacząłem grać na gitarze powietrznej, wywołując chichot dziewczyny.

Nic już nie powiedziała, więc musiałem zgadywać po subtelnych wskazówkach jej ciała, które zawsze wysyła osoba ciesząca się dobrą muzyką.

Zaczęła wystukiwać rytm stopą.

Zaczęła się kołysać.

Zamknęła oczy i się uśmiechnęła.

Zatraciła się w piosence, przez co nie mogłbym być szczęśliwszy.

Po pierwszej lekcji, czyli matematyce, podszedłem do Arii i zabębniłem palcami o jej ławkę.

– Myślę, że to miłe, że śmiałaś się z kiepskich żartów pana Jonesa. – Uśmiechnąłem się.

– O czym ty mówisz? Żarty pana Jonesa są zarąbiste. Nie chcę być widywana z osobą, która nie potrafi docenić dobrego matematycznego dowcipu.

Uniosłem brew.

– Więc to cię kręci? Kiepskie matematyczne żarciki? Serio?

Skinęła głową.

– Nie każdy może być tak fajny jak pan Jones – powiedziała, wkładając książki do plecaka, po czym wstała. Zawsze odprowadzałem ją do szafki i przez jakiś czas marudziła z tego powodu, jednak później wydawało mi się, że to polubiła.

Odchrząknąłem i wypiąłem pierś.

– Zatem posłuchaj: Staram się być otwarty jak kąt rozwarty, a ty i tak jesteś cięta jak kąt ostry.

– Rany, Levi, przestań. To było okropne. – Roześmiała się.

– Nie wiem, czy jesteś w moim promieniu, ale z chęcią zabrałbym cię do swojego okręgu.

– Ponowiłem kiepski matematyczny żarcik, przez co jeszcze bardziej zaczęła się śmiać.

– To było koszarne, proszę, przestań. Idź już sobie.

Z szerokim uśmiechem złapałem za paski plecaka. Zacząłem iść tyłem, nie odrywając od niej oczu.

– Dobra, idę. Ale chciałbym, żebyś wiedziała, że między nami zachodzi działanie. Nie ma słów, by opisać to nasze nowe równanie, Aria. To jak dzielenie przez zero... tego się nie da zdefiniować.

Kilkoro ludzi rzuciło pod moim adresem kąśliwe uwagi, ponieważ nie jadłem lunchu przy stoliku popularnych. Nie miało to jednak dla mnie znaczenia, ponieważ Aria uśmiechnęła się do mnie, kiedy do niej podszedłem.

– Prestidigitator – powiedziała, zabierając się za posiłek.

– O, wow, dzięki. Ty też całkiem nieźle wyglądasz – odpowiedziałem, siadając naprzeciwko niej.

– Co?! – Zarumieniła się. Ilekroć była zdenerwowana, gryzła kciuk i spuszczała wzrok.

– Przepraszam, ale zawsze zakładałem, że kiedy ładna dziewczyna używa wielkich słów, oznacza to flirt.

– Najwyraźniej nie.

– Tak sobie tłumacz. Dobra, powiedz to jeszcze raz.

– Prestidigitator – powtórzyła. – Wczoraj ściągnęłam sobie nowy słownik na telefon, który ma funkcję „słowo dnia”.

– A znaczenie?

– Iluzjonista. Magik.

– Dobra, mam trzy rzeczy do powiedzenia w tym temacie. Po pierwsze, to zarąbiste słowo. Po drugie, zarąbista definicja. A po trzecie, to seksowne, że masz w telefonie aplikację ze słownikiem.

Zarumieniła się jeszcze bardziej, co mi się szalenie podobało.

– W każdym razie, codziennie będę miała nowe słowo.

– Pokaż. – Podała mi komórkę. Poklikałem, po czym zacząłem pisać.

– Co robisz?

– Zapisuję ci mój numer, żebyś mogła do mnie napisać, jeśli znajdziesz jakieś genialne słowo, kiedy nie będziemy razem. A teraz zapamiętuję twój numer, żebym mógł wypisywać do ciebie swoje genialne myśli, a także całość wiedzy o świecie.

– Och, nie mogę się doczekać dogłębnego wyjaśnienia na temat tego, dlaczego kura przeszła przez ulicę. – Nim zdążyłem odpowiedzieć na jej sarkastyczny komentarz, do stolika podszedł Simon i niczym zombie opadł na krzesło.

– Dobrze się czujesz, Simon? – zapytałem. Aria popatrzyła na niego z takim samym niepokojem.

– Opuściłem pierwszą lekcję – mruknął.

Aria złapała się za serce.

– O nie!

Parsknąłem śmiechem, po czym ugryzłem coś, co było śliskie i szare; bufetowe starały się nam to wcisnąć jako indyk z sosem, ale nie dałem się nabrać. Czy to były pomyje dla świń?

– Ja opuściłem cały dzień, a Aria tydzień.

– Byłam chora! – powiedziała. Posłałem jej słaby uśmiech. Kąciki jej ust nieco się uniosły.

– Nie... nie rozumiecie. Opuściłem pierwszą lekcję – powiedział Simon, nakrywając dłońmi twarz.

– Simon nigdy, przenigdy nie opuścił żadnego dnia w szkole. Ani nawet jednej lekcji. Ma stuprocentową frekwencję – wyjaśniła Aria.

– Miał – poprawił. – Miał. Miał. Miał!

Jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona ze złości i nawet jeśli wiedziałem, że to niewłaściwy czas, by pytać, musiałem się dowiedzieć, dlaczego się spóźnił.

– Zaspaleś czy coś?

– Co? Nie. Nigdy. Ustawiam cztery różne budziki. Ale kiedy rano byłem w kuchni,

miałem skurcz w ręce, a trzymałem karton soku. Wpadł mi i sok wszędzie się rozlał.

– O nie! – powiedziała Aria, nakrywając dłonią usta. Nie rozumiałem. Zachowywali się tak, jakby Simon opowiadał, że z zimną krwią kogoś zadźgał.

– No właśnie. – Simon skinął lekko, po czym zwiesił głowę, unikając jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego. – Pociękł wszędzie. Tata wyszedł już do pracy, a mama miała wizytę u lekarza.

– Mogłeś do mnie zadzwonić – skarciła przyjaciela Aria. *Dla... rozlanego soku...?*

– Nie mogłem. Zacząłem od razu ścierać.

– To naprawdę nic takiego. Po co się przejmować? – powiedziałem, po czym jednym haustem wypilem mleko czekoladowe.

– Nic takiego? – zapytał Simon, unosząc głos o oktawę. – Nic takiego?! Miałem stuprocentową frekwencję! Perfekcyjnie czysty dziennik! A teraz... – Oparł czoło na stoliku i jęknął. – Teraz już nie jestem idealny.

Nie potrafiłem stwierdzić czy Simon żartuje, czy jednak nie. Nie umiałem sobie wyobrazić, żebym miał się rozkleić z powodu opuszczenia jednej lekcji. Cholera, właściwie cieszyłbym się, nie musząc iść na matkę.

Wróciłem do jedzenia niezidentyfikowanego lunchu, natomiast Aria nadal pocieszała swojego zdenerwowanego przyjaciela. Po chwili uniosłem głowę i zobaczyłem tę samą dziewczynę, którą wczoraj widziałem w szpitalu. Była jeszcze bledsza, ale jak zwykle szła szybko z tacą w ręku.

– Hej, kim jest ta dziewczyna? – zapytałem, wskazując ją ruchem głowy.

– Chodzi ci o Dziwaczkę Abigail? – rzucił Simon.

Uniosłem brwi.

– No?

– To Dziwaczka Abigail. Jest najbardziej pokręconą dziewczyną w szkole – odpowiedział, stukając palcami o blat. – Całkowita świruska.

Zastanowiłem się, czy wiedział, jak ironiczne było to, że nazywał ją dziwną, podczas gdy połowa szkoły określała jego samego w taki sam sposób. Pomachałem do Abigail.

– Hej, Abigail.

– Cholera, Levi! Co robisz?! – syknął Simon. – Nie możesz jej tu zawołać! To społeczne samobójstwo, mój status już i tak jest zagrożony.

– Wydaje się być fajna – powiedziałem, nadal do niej machając.

Kiedy podeszła do nas z tacą, zastukała głośno szpilem o podłogę.

– Co jest? Dlaczego mnie wołasz? Wydawało mi się, że mnie wołasz.

– Wołałem – powiedziałem. – Jestem Levi. Chciałem tylko zapytać, czy zjesz ze mną i moimi przyjaciółmi lunch.

Popatrzyła gwałtownie na Arię i Simona.

– Chcesz, żeby z wami zjadła? Oni nigdy wcześniej nie chcieli tego zrobić, a znam ich od szóstej klasy.

Była dość śmiała, co mi się podobało.

– Tak, ale jestem pewien, że dzisiaj zmienili zdanie, prawda? – Aria i Simon milczeli. Szturchnąłem Arię pod stołem. – Prawda?

Aria uniosła brew, patrząc na mnie, ale skinęła głową.

– Prawda. Siadaj Dziw... Abigail.

Abigail spojrzała na wielki zegar na ścianie stołówki, po czym na swój zegarek.

– Mogę z wami posiedzieć jedynie trzy minuty.

– Brzmi świetnie – powiedziałem. Położyła tacę obok mojej, po czym cała nasza czwórka

zatonęła skrępowana w ciszy, zerkając niepewnie po sobie.

– Wygooglowałaś to, Ario? – zapytała Abigail.

– Co miałam wygooglować? – rzuciła Aria.

– Marka Aureliusza. Pamiętasz? Mówiłam ci, żebyś poszukała jego cytatów w Internecie.

– A, tak... Ale nie miałam jeszcze czasu.

– W okresie renesansu ludzie poznawali nowe języki, uczyli się gry na instrumentach, malowali, budowali, a także walczyli ze śmiertelnymi chorobami. To, że nasze pokolenie ma trudności ze spojrzeniem na kilka cytatów, jest dość przygnębiające, ponieważ tak naprawdę nie robimy w życiu nic ważnego. – W ciszy przyglądaliśmy się Abigail, która znów spojrzała na zegarek. – Mam jeszcze minutę, by z wami posiedzieć.

No, no. Podobała mi się jej śmiałość.

– Podasz jakiś przykładowy cytat z Marka Aureliusza? – zapytałem. Abigail zerknęła na mnie i posłała mi lekki uśmiech.

– „Celem życia nie jest trwanie po stronie większości, lecz odnalezienie siebie w szeregach obłąkanych” – zacytowała.

Spojrzała mi w oczy, jakby chciała powiedzieć: „znam twoją tajemnicę”.

Przesunąłem się na krześle i obdarowałem ją ledwo widocznym uśmiechem.

– Dlaczego wybrałaś akurat ten?

– Nie wiem. – Wstała i wzięła tacę. – Tak po prostu. Muszę już iść. Wiecie, czas nie czeka na nikogo.

Już miała odejść, ale jeszcze obróciła się do Simona.

– Podoba mi się twój sweter, Simon. Bordowy podkreśla kolor twoich oczu. – Zarumieniła się i odeszła ku swej nowej przygodzie.

– Czy na południu nie wierzycie w społeczne samobójstwo? Poważnie... wszystkich nas skazujesz na los odmieńców – stwierdził Simon, patrząc na mnie wilkiem.

– Wydaje mi się, że się jej podobasz – powiedziałem do spanikowanego rudzielca.

Otworzył usta, by zacząć się kłócić, ale pospiesznie je zamknął. Wydawało się, że nad tym rozmyśla, przez jego twarz przemykały wątpliwości. Błyskawicznie poderwał się z miejsca.

– Idę po coś do jedzenia.

Siedząca naprzeciwko Aria popatrzyła na mnie zmrużonymi oczyma.

– O co ci chodzi? Po co cała ta sytuacja?

Nie odpowiedziałem, ponieważ sam nie byłem pewien.

– Mam dla ciebie dwa słowa, stary. Społeczne. Samobójstwo – wyjaśniał mi w szatni Connor, gdy przebieraliśmy się przed szóstą lekcją na WF. – Nie możesz jadać lunchu z tymi dziwakami, jeśli chcesz być zapraszany na najlepsze imprezy.

Jakim cudem mam aż tyle zajęć z tym koleśkiem? Poza tym już zaproszono mnie na „najlepsze imprezy”, tylko że nie znalazłem powodu, żeby na nie pójść. Wołałem siedzieć w domu i być ignorowany przez ojca, który mnie nie chciał.

– Mówię ci, jeśli chcemy, by miauczały dla nas kotki, musimy unikać pewnych rzeczy. Włącznie z Dziwaczką Abigail. Nie ma gorszej rzeczy niż ona.

– Ona nie jest rzeczą, Connor. Jest osobą – powiedziałem, zakładając koszulkę przez głowę.

– Tylko ci mówię, stary. Rozumiem, że to zapewne sprawka południowej gościnności, ale

przyhamuj nieco.

Do szatni wszedł Simon i otworzył swoją szafkę. Nigdy z nikim nie rozmawiał na WF-ie, jednak dobrze wiedziałem, że nie lubił wychowania fizycznego, ponieważ połowa chłopaków mu dokuczała i zawsze był wybierany jako ostatni, jeśli graliśmy w coś drużynowo.

Connor nawijał dalej o jakichś głupotach, ale udało mi się go ignorować. Wolałbym już siedzieć w pierwszym rzędzie na matmie i być opluwany przez pana Jonesa.

Graliśmy na szkolnym boisku w hokeja na trawie. Pan Jenson był najgrubszym nauczycielem WF-u w Mayfair Heights i z pasją szykanował uczniów, którzy nie odnosili sukcesów w sporcie. Na szczęście nie byłem kiepski, jednak sposób, w jaki on zwracał się do niektórych, wydawał mi się obrzydliwy. Zastanawiałem się, czy był w jakiś sposób spokrewniony z Connorem.

– Alabama – zawołał do mnie pan Jenson. Ksywka przyłgnęła do mnie bardziej, niż bym tego chciał. – Jesteś kapitanem. Jason, ty również.

– Zajebicie! – krzyknął Connor, podchodząc do mnie, jakbym go wybrał.

– Wybieram Simona – powiedziałem, przez co Connor zamarł.

– Co? – zdumieni się równo Simon i Connor.

– Powiedziałem: Simon. Grasz ze mną.

Wszyscy wokół zaczęli się śmiać, jakbym żartował; jednak warto było to zrobić, ponieważ na ustach Simona pojawił się niewielki uśmiech. Chłopak nie został wybrany na końcu i nie liczyło się to, że tamtego dnia cała moja drużyna dostała po tyłku.

ROZDZIAŁ 15

Aria

Październik nastał wraz z deszczem, chmurami i rosnącym brzuchem. Byłam w piętnastym tygodniu ciąży, która zaczynała być widoczna.

Na niedzielny obiad Mike zaprosił Jamesa i Nadine, by uniknąć kłótni przy stole i ojca przewracającego oczami z powodu rozczarowania. Mama przygotowała ulubione jedzenie Grace: kurczaka w parmezanie i fasolkę.

Wcześniej, ilekroć James i Nadine do nas wpadali, dziewczyna kończyła w moim pokoju, kiedy chłopaki grali na konsoli. Rozmawialiśmy o moich obrazach i jej tańcu. Teraz czułam się ekstremalnie dziwnie, mając ich oboje zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od siebie.

Robiłam, co mogłam, by nie zerkać przez stół na Jamesa, ale czułam, że on patrzył na mnie.

To takie niezręczne.

Dlaczego uważał, że może przyjść do naszego domu na rodzinny obiad? Dlaczego myślał, że może przyprowadzić ze sobą dziewczynę? Dlaczego czułam się bardziej samotna niż kiedykolwiek, za każdym razem, gdy trzymał ją za rękę?

– Dostałem się do Duke – powiedział James, biorąc talerz z grzankami czosnkowymi. – Jesienią będę grał w Blue Devils.

Tata rozpromienił się, jakby był to sukces jego własnego syna.

– Serio? Dostaniesz stypendium?

James skinął głową. Będzie grał w futbol w Duke i byłam pewna, że Nadine już martwiła się o związek na odległość, skoro sama szła na miejscową uczelnię, znajdującą się zaledwie o godzinę drogi od Mayfair Heights. Mimo to uśmiechała się, jakby była tak dumna jak mój tata.

Nawet jeśli James nie dostałby sportowego stypendium, byłam pewna, że dostałby jakieś inne. Był najlepszy w klasie, dobry tak samo w sporcie, jak i w nauce. On i Mike byli podobnie zdolni, jeśli chodziło o grę w futbol – właściwie Mike był nawet lepszy, kiedy jednak przychodziło do nauki, nie można ich było nawet odrobinę porównywać.

Ale to nie tak, że Mike był głupi. Po prostu nie przykładał się do nauki. Prawda była taka, że nigdy nie musiał. Ludzie go uwielbiali. Dziewczyny zawsze zabiegały o jego uwagę, a chłopaki chcieli się z nim przyjaźnić. Nauczyciele pozwalali mu prześlizgiwać się na „w miarę dobrych” stopniach, by nie został wyrzucony z drużyny futbolowej. Zatem nigdy nie musiał się uczyć. Było tak, dopóki nie okazało się, że kiepsko zdał ACT[4], co wiązało się z brakiem satysfakcjonujących ofert stypendialnych. Wiedziałam, że rodzice obawiali się, że Mike nie dostanie pomocy finansowej, podczas gdy wcześniej takowej się spodziewali. Wstrzymywali również oddech, czekając na list stwierdzający przynajmniej przyjęcie na studia.

– To świetnie, James. Ciężko na to pracowałeś. Zasługujesz na sukces – powiedziała mama.

James uśmiechnął się i podziękował.

– Mam nadzieję, że ten osioł dołączy tam do mnie – powiedział, szturchając Mike’a w ramię. Co jakiś czas czułam, jak spojrzenie Jamesa prześlizguje się po mnie, jednak nie reagowałam.

– W tej chwili będziemy zadowoleni z jakiegokolwiek uczelni – prychnął tata. Widziałam, jak zirytowany Mike zacisnął usta. Zastanawiałam się, czy tata wiedział, jak ciężko mu było ostatnimi czasy.

– Jestem pewien, że listy niedługo przyjdą. Mike jest najbystrzejszą osobą, jaką znam, może oprócz siedzącej tu piękności. – James przysunął się do Nadine i pocałował ją w policzek. Patrzył na nią, jakby nie istniał nikt inny, nawet jeśli przekonałam się, że było inaczej. Ciekawe, jak bym się czuła, gdyby ktoś patrzył tak na mnie.

Po obiedzie Nadine wpadła do mojego pokoju, kiedy chłopaki poszli pograć. Usiadła na moim łóżku, przerzuciła kilka kartek w moim szkicowniku, po czym powiedziała, że mam wielki talent. Żałowałam, że nie wiedziała, jak bardzo powinna mnie nienawidzić.

– W szkole słyszałam plotki na twój temat. Rozpowiadają je kretyni – powiedziała, odkładając szkicownik na materac. – Ja uważam, że jesteś dzielna, że chcesz mieć to dziecko.

– Za każdym razem, gdy nazywano mnie zdzirą lub dziwką, zastanawiałam się nad tym wyborem.

– Nie rób tego. To odważne. – Zwiesiła głowę. – Przechodziłam z Jamesem przez to samo, ale poroniłam. – Wytrzeszczyłam oczy, słysząc to wyznanie. – I tak nie chciał, bym urodziła. Powiedział, że ma plany na przyszłość, jakbym ja też ich nie miała. Chociaż kiedy poroniłam, płakał. Nadal jednak nie wiem, czy ze szczęścia, czy ze smutku.

– Też nie mam pojęcia.

Pokręciła głową.

– Nikt tego nie wie. To właśnie dlatego w wakacje zrobiliśmy sobie przerwę. Gdybym jednak miała okazję, tobym je urodziła. Pieprzyć wszystkich w szkole i ich małe rozumki. Nie daj się i rób swoje, a w gorsze dni pamiętaj, dlaczego to robisz.

– Dzięki, Nadine. – *Rany*. Ona naprawdę, naprawdę nie powinna tak ze mną rozmawiać. Uśmiechnęła się, po czym wyszła.

Chwilę później do mojego pokoju zawitał James, szybko zamykając za sobą drzwi.

– Cześć – powiedział. Wcisnął ręce do kieszeni i kołysał się w przód i w tył. –

Przepraszam za tę wizytę, ale Mike błagał, byśmy przyszli. Nie chciałem się dziwnie wykręcać, więc pomyślałem, że powinniśmy przyjść.

– To było dziwne. To jest dziwne.

Westchnął.

– Powinniśmy porozmawiać.

– O?

– Twój brat powiedział, że postanowiłaś urodzić. To prawda? – zapytał nieśmiało.

Zacisnęłam zęby i wpiłam się palcami w materac.

– Powiedziałaś mi, że zerwaliście, bo cię źle traktowała. Mówiłeś, że czekają was zupełnie różne życiowe drogi.

– Byliśmy... – Zwiesił głowę, niczym szczeniak przyłapany na targaniu poduszki.

– Pominąłeś tylko to, że była w ciąży.

– Ario...

– Przyszedłeś do mnie, twierdząc, że Nadine traktuje cię jak śmiecia. Zrobiłeś z niej potwora. Mówiłeś, że zawsze ci się podobałam. Głaskałeś mnie po włosach, twierdząc, że jestem piękna. Mówiłeś, że jestem urocza, kiedy mnie dotykałeś. Całowałeś mnie w szyję i w brzuch.

Ale właśnie się dowiedziałam, że twoja dziewczyna nigdy nie była dla ciebie niedobra. Kochała cię. Nadal cię kocha.

– Byłem wtedy w nieodpowiednim miejscu – szepnął, nadal na mnie nie patrząc.

– Mówiłeś, że ci na mnie zależy. Wciskałeś mi kit, żeby mnie przelecieć?

– Nie. Oczywiście, że mi na tobie zależało, Aria. Jesteś młodszą siostrą mojego najlepszego przyjaciela. – *Młodszą siostrą. To brzmiało protekcyjnie.* – Tamtego wieczora piliśmy z Mike’iem. Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, i nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Skrzywdzić?

– James, przeleciałeś mnie, w wyniku czego zaszłam w ciążę. Po czym przez wiele tygodni udawałeś, że ze mną nie spałeś i wróciłeś do Nadine, no wiesz, tej drugiej dziewczyny, którą przeleciałeś i która w wyniku tego zaszła w ciążę. Szczerze mówiąc, masz najbardziej wytrwałe plemniki na świecie.

Nie odpowiedział. Nie podobało mi się, że zrzucił to na karb upojenia alkoholem. Nie podobało mi się również to, że zerwał z Nadine, ponieważ postanowiła urodzić. Oraz to, że chodził do szkoły, udając, że nic między nami nie zaszło.

To niesprawiedliwe.

– Co jest między tobą a Levim Myersem? – zapytał zniechęcony. – Coś was łączy?

Coś?

Ja i Levi?

Nie odpowiedziałam, ponieważ on nie miał prawa o to pytać.

James i ja byliśmy w zupełnie innej sytuacji, nawet jeśli oboje mieliśmy udział w tej ciąży. Z tym że jego szafki nikt nie niszczył. Nikt nie nazywał go dziwką. W Mayfair Heights miał opinię dobrego chłopaka.

– Przepraszam – mruknął, kręcąc głową. – Jest w nim coś takiego, co mi się nie podoba. Nie powinnaś spędzać z nim tyle czasu. Nie chcę, by cię skrzywdził.

Zaśmiałam się.

To zabawne.

– Możesz już iść, James. I gratulacje z powodu stypendium w Duke. Będzie z ciebie fantastyczny zawodnik.

W poniedziałek ósmą godzinę spędziliśmy z Levim na wyklócaniu się na temat tego, jak powinien wyglądać ostateczny kształt naszego projektu „Art&Soul”. Używając całej swojej siły, starałam się nie myśleć nad niedzielnym obiadem i słowami Jamesa o tym, z kim, według niego, powinnam się spotykać. Jednak z Levim było mi łatwiej. Sprawiał, że potrafiłam nie martwić się Jamesem. Przynajmniej na kilka godzin pomógł mi zapomnieć.

– Powinieneś poczytać te książki, o których ci mówiłam – powiedziałam, wychodząc z klasy po dzwonku.

– Okej. Chcesz iść do biblioteki?

Uniosłam brew.

– Ja już czytałam te książki, rozumiem znaczenie abstrakcjonizmu i to, jak może on zmienić życie. To ty musisz się z nimi zapoznać, bym mogła zacząć kreślić trzy obrazy, które będą mi finalnie potrzebne. Wtedy będziesz mógł zacząć tworzyć jakąś pasującą do nich muzykę.

– Spotkamy się więc w bibliotece za jakąś godzinę? – zapytał.

– Levi. – Westchnęłam. – Znów mnie wkurzasz. – *Tak naprawdę to lubię to.* – Chociaż

jeśli naprawdę chcesz, bym przebrnęła przez to z tobą, to w porządku.

– Dobra. To spotkajmy się za jakąś godzinę w bibliotece. To randka.

– To spotkanie – poprawiłam.

– To spotkanie w ramach randki.

– To spotkanie – powtórzyłam.

– To spotkanie z randką w tle – powiedział i odszedł.

Przygryzłam wargę, starając się uspokoić rozszalałe serce. *To randka.*

W drodze powrotnej siedziałam obok Simona, który nadal był w kiepskim nastroju.

Minęło już kilka tygodni od afery z rozlanym sokiem. Mój przyjaciel gapił się przez okno, a ja wiedziałam, że w tej historii chodziło o coś więcej.

– Wiesz, możesz ze mną porozmawiać – powiedziałam. Zmarszczył brwi, ale się nie odezwał. Na świecie istniały rzeczy, które naprawdę były do bani, a przyglądanie się smutnemu przyjacielowi było najgorszą z nich. – Simon?

– Nie udało się – powiedział, nadal gapiąc się przez okno. Nieustannie stukał palcami w udo. – Mama mówi, że zaprzestaną prób.

Wiedziałam, że mówi o ich próbach poczęcia kolejnego dziecka. Przez ostatnie lata mieli z tym problem, a Simon obwinił o to siebie, ponieważ uczestniczył z matką w wypadku. Złapałam się za brzuch i popatrzyłam na Simona, niepewna, co powiedzieć.

– Przykro mi, Si.

Skinął głową.

– Tak. Ale to do bani. Mają syna, który jest dziwakiem. Zaslugują na kogoś lepszego, a z mojej winy nie mogą mieć kolejnego dziecka.

– To nieprawda. To nie jest twoja wina.

Nie odezwał się, ale wiedziałam, że nadal mu nie przeszło.

Życie niesprawiedliwie rozdzielało szanse.

Po powrocie do domu zapadłam w niemal dwugodzinną drzemkę, po której obudziłam się zdezorientowana i spóźniona. Włożyłam klapki i udałam się do biblioteki. Znalazłam Leviego siedzącego na jej schodach. Na mój widok uniósł ręce i uśmiechnął się szeroko.

– Wiesz, jak kiepsko czuje się chłopak siedzący na schodach biblioteki, czekający na dziewczynę, która może nie przyjść? Po czym pojawia się spóźniona czterdzieści pięć minut?

Obdarowałam go sztywnym uśmiechem

– Przepraszam.

Zmarszczył brwi.

– Dobrze się czujesz?

Nie.

Nie mogłam przestać myśleć o Simonie. Wiedziałam już, że w ciąży chce się płakać z wielu powodów, czasami ponieważ świeciło słońce, a czasami dlatego, że dostawca pizzy zapomniał sosu. Innym razem chciało się płakać, ponieważ Simba był taki smutny w *Królu Lwie* i miało się ochotę przytulić to małe lwiątko. Byłam rozchwiana emocjonalnie i nie wiedziałam, jak to zmienić.

– Tak, chodźmy poczytać książki – powiedziałam, uśmiechając się do niego.

– Coś się stało.

– Levi...

– „I o tym pamiętaj, że szczęście życia zawisło od małej liczby warunków”.

Powiedział to Marek Aureliusz.

– Wygooglowałaś Marka Aureliusza? – zapytałam, skubiąc palcami koniec koszulki.

– Tak, na komórce, kiedy na ciebie czekałem. Pomyślałem, że jeśli ludzie renesansu

mogli grać na instrumentach i walczyć ze śmiertelnymi chorobami, ja mogę poszukać czegoś w Googlach.

– Aha. Tak czy inaczej, chodźmy do środka i miejmy to już za sobą.

– Aria, potrzebujesz przytulenia?

– Nie, Levi. Nie potrzebuję się tulić. – Głównie dlatego, że niechybnie bym się rozpląkała. Levi zamknął oczy i dotknął palcami skroni. – Co robisz?

– Nie czujesz? Mocą zmysłów Jedi przyciągam cię do siebie, by cię uściskać.

– Jakoś nie działa – powiedziałam. Od wakacji nie dotykał mnie żaden chłopak i wołałam, by tak pozostało. Po wszystkim, co zaszło, lubiłam swoją przestrzeń osobistą. Oczywiście nikt o tym nie wiedział, bo nikt nie próbował mnie dotykać, dopóki w mieście nie pojawił się Oksymoron Levi. – Bez obrazy, ale naprawdę nie lubię być dotykana.

– O – powiedział, opuszczając ręce i marszcząc brwi. – Przepraszam.

– To nic osobistego.

Wszedł po schodach i przytrzymał drzwi.

– Zaufaj mi, to jest osobiste.

[4] ACT – skrót nazwy American College Testing (obecnie American College Testing Program), ustandaryzowanego testu dla uczniów szkół średnich w Stanach Zjednoczonych. Test ma sprawdzać kompetencje i wiedzę przedmiotową. Podobnie jak test SAT, jest nieobligatoryjnym elementem rekrutacji uczelni wyższych w USA. Nie stanowi odpowiednika polskiej matury, choć bywa – ze względu na ustandaryzowanie – porównywany do egzaminu maturalnego. Wynik testu jest głównym czynnikiem przy selekcji kandydatów na studia [przyp. tłum.].

ROZDZIAŁ 16

Levi

Chciałem poznać Arię, dziewczynę, która rzadko się uśmiechała, dziewczynę, której oczy pozostawały smutne, nawet kiedy jej usta rozciągały się w uśmiechu. Nie była otwarta na ludzi. Nie mogłem jej winić, widząc, jak traktowano ją w szkole. Ja również nie byłem otwarty.

– Dobra, powiedz, od czego mam zacząć – szepnąłem, przysuwając się do niej z krzesłem, lecz zostawiając dość miejsca, by dobrze się czuła.

– Nie mogę ci powiedzieć. Sam musisz do tego dojść. Na tym właśnie polega abstrakcja, dla każdego jest inna.

Skinąłem głową, patrząc na żółcie, zielenie i błękity. Szczerze mówiąc, wyglądały mi na niezły bałagan, jak gdyby dwulatek włamał się do pokoju i w każdym możliwym miejscu rozlał inną farbę.

Ale może właśnie tak niektórzy postrzegali sztukę.

Ja nie mogłem jej dostrzec.

– Jak długo mamy się na to gapić? – zapytałem.

– Tak długo, aż to zobaczysz – odpowiedziała.

– Ale co to jest to „to”?

– Wszystko.

Zrobiłem zeza, zbyt intensywnie gapiąc się w obraz, przez co zacząłem widzieć podwójnie.

– Dobra, teraz twoja kolej – powiedziałem, przesuwając książkę w jej stronę. – Powiedz, co widzisz.

Odetchnęła z ulgą, jakby czekała na to pytanie. Zdjęła gumkę z nadgarstka i związała włosy w kucyk. Przeciągnęła się, nim skrzyżowała nogi w kostkach i przerzuciła strony w książce.

Szukała czegoś i szukała.

Poszukiwała czegoś znajomego.

Czegoś, na co tylko ona patrzyła.

Kiedy to znalazła, uśmiechnęła się. Nie tym swoim zwyczajowym niepełnym uśmiechem, ale szeroko i z zadowoleniem.

Obraz zatytułowany był *Uziemiona mucha*, a Aria patrzyła na niego tak, jakby była jego częścią. Rozchyliła usta i lekko się zakołysała. Popatrzyłem na jej wargi dłużej, niż powinienem, ale sposób, w jaki je uchylila, sprawiał, że chciałem ją pocałować. Zmusiłem się, by unieść wzrok, a kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, kompletnie zapomniałem o czymś, takim jak mruganie.

Nigdy wcześniej nie widziałem, by jej oczy tak się śmiały; zawsze były zagubione i smutne. W tamtej chwili, stała się jakby częścią obrazu, uwolniła się od rzeczywistości, niemal

zapominając o moim istnieniu. Nie odezwała się, ale nie musiała. Kiedy jej się przyglądałem, wiedziałem, co widzi. To, jak jej ciało rozbłysło kolorami pierwszy raz, odkąd ją poznałem, było niesamowite. Chciałem zapytać, jak postrzega tę sztukę, ale bałem się, że jakkolwiek dźwięk może wyrwać ją z transu i przywrócić do teraźniejszości, a jej oczy znów staną się smutne.

Mama mawiała, że szczęście nie trwa wiecznie, więc każdy powinien trzymać się go jak najdłużej zdoła, bez kwestionowania i bez żalu.

Siedzieliśmy tak przez kilka minut, które wydawały się wieloma godzinami spokoju. Aria patrzyła na obraz, a ja na nią. Była piękna. Ale nie mogłem tego powiedzieć. Za każdym razem, gdy obdarowywałem ją komplementem, wzdrygała się speszona.

Jednak często tak o niej myślałem. *Tak cholernie piękna.*

– Widzisz to? – szepnęła, stukając palcami w usta.

– Tak – odszepnąłem. Widziałem. – Aria?

– Tak?

– Czy teraz ja mogę ci coś pokazać?

Zabrałem ją do sklepu Lance'a, gdzie powitała nas Daisy, rozdająca klientom wegańskie ciasteczka.

– Cześć, Levi! Kim jest twoja koleżanka?

– To Aria. Jest moją partnerką na zajęciach ze sztuki, artystką malarką w projekcie „Art&Soul” – powiedziałem, uśmiechając się do Arii. Odpowiedziała uśmiechem. Zawsze kiedy się śmiała, czułem się jak w siódmym niebie.

– Zgaduję, że przyszliście tu w ramach tego projektu? – zapytała Arię.

– Tak, on to Soul.

– A ja jestem Daisy, kochana – powiedziała, wyciągając rękę. – Lance, chodź poznać szkolną partnerkę, Leviego, Art.

Lance przeskoczył przez ladę i stanął pospiesznie za żoną, którą objął w talii.

– Serio masz na imię Art? – zapytał.

– Nie, ale blisko – roześmiała się Aria.

Ten dźwięk również mi się podobał.

Lance uśmiechnął się, nim jego spojrzenie opadło na brzuch Arii. Kiedy ponownie na mnie spojrzał, uśmiechał się jeszcze szerzej. Obrócił się i powiedział tak, żebym tylko ja słyszał:

– Nie chcę być zbyt długo niefajnym wujkiem, ale muszę mieć pewność; Levi, kielkująca fasolka nie jest z gatunku Myers, co?

Roześmiałem się.

– Nie.

Lance westchnął.

– Dobra, to wracam do bycia spoko wujkiem. – Obrócił się i wyciągnął rękę, by Aria przybiła mu piątkę. – Miło mi cię poznać, Art. Możesz wszystkiego tu dotykać i grać, na czym chcesz. Cokolwiek zepsujesz, zapłaci za to mój bratanek.

– Zatem psujemy wszystko? – zapytała Aria.

– Och, już lubię jej śmiałość – powiedział Lance, dając mi sójkę w bok. – Idź na całość, mała. Ponieważ wyglądasz jak zawodowa rockmanka i masz na sobie koszulkę z zarąbistym kociakiem, sugerowałbym, byś zaczęła z tym całkiem nowym i zaskakująco drogim zestawem perkusyjnym marki Pearl Crystal Beat, który stoi na wystawie. Levi raz próbował na nim grać,

ale brzmiał okropnie, jestem jednak niemal pewien, że tobie pójdzie o wiele lepiej. – Podał Arii pałeczki, po czym wyjaśnił, jak ich używać.

Więc spróbowała.

Grała jak nakręcony rockman na teledysku. Nieustannie waliła w bębny i talerze, odrzucając przy tym włosy w tył, zatracając się całkowicie w tym wyzwalającym akcie.

– Wow – powiedział Lance, patrząc na Arię w zachwycie, gdy przestała grać. Zaczął klaskać, a ja i Daisy dołączyliśmy. – To było tak bardzo... kijowe. Brzmiało tak, jakbyś podeszła do bębnow i powiedziała: „Przy pomocy tych pałeczek zabiję całą radość muzyki”. Nie, serio, czy uszy już mi krwawią? Tak się właśnie czuję – zażartował.

Nie mogłem przestać się śmiać, ponieważ miał rację – jej występ był wręcz żenujący. Aria dostała ataku śmiechu.

– Dobra, ponieważ jestem taka kiepska z perkusją, myślisz, że mógłbyś zagrać dla mnie na skrzypcach? – zapytała, wskazując na instrument. Tyle że to nie były jakieś tam skrzypce; to były skrzypce, które chciałem poślubić. Karl Wilhelm model 64 – najlepsze skrzypce w tym sklepie.

– Nie mogę na nich grać – odparłem. Nie można było tak po prostu wziąć do ręki Karla Willhelma i zagrać. Zwłaszcza gdy widniała pod nim cena trzech tysięcy dolarów.

– Dlaczego nie? – zapytał Lance, zdejmując skrzypce z wystawy. Podał mi je. – Myślę, że masz z tymi skrzypcami wiele wspólnego.

Wziąłem drewniany instrument i uśmiechnąłem się. Lance podał mi smyczek, więc po kilku chwilach strojenia ułożyłem podbródek na miejscu. – Jakies życzenia? – spytałem Arię.

Uśmiechnęła się.

– Zaskocz mnie.

Przeciagnałem smyczkiem po strunach i zagrałem *Poloneza nr 1 D-dur* Henryka Wieniawskiego. Był to najtrudniejszy kawałek, jakiego dotąd się nauczyłem. Częściowo obawiałem się coś spieprzyć i wyjść na idiotę, ale jednocześnie chciałem zaimponować Arii.

Kiedy skończyłem, wszyscy bili brawo, a Aria powiedziała:

– Wow.

Nim wyszliśmy ze sklepu, Aria zdążyła zamordować jeszcze piękno muzyki fortepianowej, gitarowej, a nawet tamburynu.

Odprowadziłem ją do domu, zatrzymałem się na końcu chodnika. Przebierała nerwowo palcami, ale się uśmiechała.

– Dzięki za dzisiejszy dzień. – Uśmiechnąłem się. Nie wiedziała o tym, ale dała mi kilka godzin wytchnienia od rozmyślania na temat mojego nowego zniechęconego słowa: „rak”.

Zaczerwieniła się.

– Zobaczmy się jutro w szkole? – zapytała.

– Tak.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się i odwróciła. Następnie znów na mnie spojrzała i ponownie się uśmiechnęła. – Byłeś niesamowity, grając na skrzypcach. Mam nadzieję, że o tym wiesz. – Weszła na ganek. Znów na mnie spojrzała. – Naprawdę niesamowity. – Cały czas się uśmiechając, odwróciła się raz jeszcze. Podeszła do drzwi, więc już chciałem odejść, ale krzyknęła: – Levi?

– Tak?

Znów przebierała palcami. I uśmiechała się.
– Myślisz, że możemy być przyjaciółmi?
Roześmiałem się w głos, pocierając jednocześnie kark.
– Myślałem, że już jesteśmy.

Gdy wszedłem do swojego pokoju, mój telefon poinformował o nadejściu wiadomości. Wyjąłem go i zobaczyłem na wyświetlaczu imię Arii, więc natychmiast wyświetliłem SMS-a.

Aria: CELEBRYCI – RZECZOWNIK W LICZBIE MNOGIEJ: BOGACI I SŁAWNI LUDZIE, KTÓRZY DEMONSTRACYJNIE UCZĘSZCZAJĄ NA MODNE WYDARZENIA.

Ja: BRZMI EKSKLUZYWNE.

Aria: ZAŁOŻĘ SIĘ, ŻE MAJĄ TAM WYŚMIENITY PONCZ, KTÓRY PIJĄ Z KIELISZKÓW INKRUSTOWANYCH DIAMENTAMI.

Zacząłem przerzucać swój słownik.

Ja: ARTYZM – RZECZOWNIK: UMIEJĘTNOŚĆ TWORZENIA PIĘKNYCH RZECZY ZGODNIE Z ZASADAMI ESTETYKI, CO JEST PRZEJAWEM KUNSZTU TWÓRCY W SZERSZYM NIŻ ZWYKLE ZNACZENIU. PIĘKNO DZIEŁA SZTUKI.

Aria: PODOBA MI SIĘ.

Ja: MYŚLĘ, ŻE TY JESTEŚ JAK ARTYZM.

Nie odpowiedziała. Odrobiłem zadanie domowe, udawałem, że rozumiem analizę matematyczną, i sprawdziłem telefon. Porozmawiałem z mamą. Rozłączyłem się i sprawdziłem wiadomości. Odgrzałem sobie jakieś niedobre danie, zjadłem je całe i sprawdziłem telefon. Posiedziałem w holu, śmiejąc się z czarno-białych komedii, po czym znów sprawdziłem skrzynkę odbiorczą.

Ostatni raz zerknąłem na SMS-y, gdy gasiłem światło; potem wskoczyłem do łóżka.

Kiedy leżałem w ciemnym pokoju, komórka odezwała się pojedynczym piknięciem i ekran rozświetlił sypialnię na niebiesko.

Aria: DOBRANOC, LEVI.

Uśmiechnąłem się w mroku.

Dobranoc, Art.

ROZDZIAŁ 17

Aria

Następnego dnia w szkole Simon trzasnął przede mną i Levim swoją tacą z lunchem. Wydawało się, że nadal jest wkurzony, choć najwyraźniej postanowił skupić się na zupełnie innym problemie.

– Nie będziemy więcej zapraszać do naszego stolika Dziwaczki Abigail! Zabraniam! – Ostatnimi czasy Abigail podchodziła do nas, siadała na dwie minuty, nawet trzy, jeśli się nie spieszyła, rzucała jakieś przykładowe cytaty, komplementowała Simona, po czym spieszyła gdzieś dalej. To właściwie stało się dziwną atrakcją każdego mojego dnia.

– Dlaczego nie? Jest świetna – powiedział Levi.

Zawsze gdy się odzywał, patrzyłam na jego usta.

Mógłby powiedzieć „kupa”, a byłoby to romantyczne.

Przestań, Aria.

– Świetna? Świetna?! Tylko popatrz! – Wyciągnął z plecaka dwie zamknięte torebki. W jednej znajdowały się dwa płyny do dezynfekcji rąk, a w drugiej ciasteczka. – Widzicie?! – powiedział, a jego blada twarz stała się czerwona z emocji.

– Płyn dezynfekujący do rąk i ciasteczka? – zapytałam zdezorientowana.

– Domowej roboty ciasteczka! Tak, właśnie! Dziwaczka Abigail zatrzymała się przy mojej szafce! I powiedziała: „Hej, Simon. Widziałam wczoraj przy lunchu, że kończy ci się płyn, więc przyniosłam ci dwa nowe. Do tego upiekłam ci ciasteczka”. Po czym wręczyła mi te dwa woreczki i poszła!

– Miło – powiedział Levi.

– Miło?! To szalone! A jeśli ktoś nas widział?! A co, jeśli ktoś pomyśli, że jest między nami... jest między nami... coś?!

– A co w tym złego? – zapytał Levi.

Simon parsknął śmiechem, w którym brzmiała złość.

– To... To Dziwaczka Abigail!

– Tak? – powiedziała Abigail, stając za Simonem.

Jego twarz poczerwieniała jeszcze trochę, kiedy obrócił się i popatrzył jej w oczy.

– O, cześć. – Posłał jej szeroki, nieszczerzy uśmiech.

Ale Abigail uśmiechnęła się jeszcze szerzej niż on.

– Masz doskonały uśmiech. Białe, perłowe. Szkoda, że w którejś chwili będą musieli wyrwać ci ósemki, ponieważ one też pewnie byłyby idealne. Chciałabym z wami zjeść, ale... – Spojrzała na zegarek. – Dzisiaj jestem już spóźniona. Do zobaczenia później. Simon, ta żółta koszulka ci pasuje. Myślałam, że bordo było w porządku, ale żółty jest jeszcze lepszy. To na razie, pa.

Odeszła, szeleszcząc ortalionowymi spodniami, zostawiając Simona z otwartymi ustami

i konsternacją w oczach.

– Nie może więcej z nami jadać!

– Jeśli tak bardzo ją lubisz, umów się z nią – powiedział Levi, wgrzyzając się w kurczaka.

– Myślisz, że lubię Abigail? Abigail?! Jasne. – Roześmiał się Simon. – Tylko dlatego, że jest dziwna i w pewien sposób piękna, i okazuje się, że potrafi dobrze piec i ma niewielki dołeczek w prawym policzku zaraz obok pieprzyka w kształcie serca, i czasami cytuje naprawdę interesujące rzeczy, i jest zabawna, i dziwna, i zapewne świetnie całuje, ponieważ zawsze porusza ustami, przez co miałem ochotę pocałować ją cztery razy z rzędu, to wcale nie oznacza, że ją lubię i chcę jej ciasteczek! – wykrzyczał.

Razem z Levim siedzieliśmy w ciszy, wytrzeszczając oczy, kiedy Simon wypowiedział najbardziej pokręcony, osobisty i dziwaczny monolog w historii ludzkości. Popatrzyliśmy na Abigail, która wróciła i stała nieruchomo bardziej czerwona niż burak, trzymając dwa woreczki z ciastkami. Simon obrócił się i spojrzał na Abigail. Zamrugał. Ona również zamrugła.

On znów zamrugał.

Ona zrobiła to ponownie.

Kilka chwil i speszonych mrugnięć później powiedziała:

– Zapomniałam dać Arii i Leviemu ciasteczka, które upiekłam. – Podała je nam, po czym zamarła, patrząc intensywnie na Simona.

Simon znów zamrugał.

Abigail również.

– Muszę już iść – powiedziała.

– Tak, chyba tak – zgodził się Simon.

Odeszła, stukając szpilkami i szeleszcząc ortalionem.

Simon opadł na krzesło i zakrył twarz dłońmi.

– Myślicie, że słyszała?

– Nie ma szans – uśmiechnął się Levi. – Myślę, że nie musisz się przejmować.

Kiedy nie byłam z Levim w szkole, rozmyślałam o nim więcej niż powinnam, a za każdym razem, gdy dostawałam od niego wiadomość, mój żołądek fikał koziołka.

Levi: ESTETYCZNY – PRZYMIOTNIK: PIĘKNY, GUSTOWNY.

Ja: MOŻESZ ZASTOSOWAĆ TEN WYRAZ W ZDANIU?

Levi: WYGLĄDAŁAŚ ESTETYCZNIE, KIEDY PRZYSZŁAŚ DZISIAJ NA MATEMATYKĘ W NIEDOPASOWANYCH SKARPETKACH.

Ja: WARIAT.

Nie odpisał.

Zrobiłam siostrom kolację i sprawdziłam komórkę. Zdrzemnęłam się, obudziłam i ponownie sprawdziłam wiadomości. Zważyłam się, popatrzyłam w lustrze na swój brzuch i znów spojrzałam na komórkę. Posłuchałam kłótni rodziców na temat mojej nauki w domu w przyszłym semestrze i ponownie zerknęłam na telefon.

Dochodziła siódma wieczór.

Levi: NIE ZNOSZĘ TEGO SŁOWA. TO MOJE DRUGIE NAJBARDZIEJ ZNIENAWIDZONE SŁOWO.

Ja: KTÓRE?

Levi: WARIAT.

Ja: DLACZEGO?

Znów kazał mi czekać.

Nie dostałam odpowiedzi przez kolejne czterdzieści minut.

Levi: PONIEWAŻ TAM, GDZIE POPRZEDNIO MIESZKAŁEM, MOJĄ MATKĘ
NAZYWANO WARIATKĄ.

ROZDZIAŁ 18

Levi

wariat | rzeczownik, rodzaj męski

1. Człowiek chory psychicznie.
2. Osoba postępująca nieobliczalnie, niekonwencjonalnie lub bezsensownie.
3. Osoba zwariowana, nierozważna.

Moja mama była najlepszą matką na świecie. Oprócz chwil, w których nią nie była. Nienawidziłem jej w ten sam sposób, w który ją kochałem: głęboko. Obydwa uczucia występowały falami. Kiedy ją kochałem, było to porywające, a kiedy nienawidziłem, nie mogłem na nią patrzeć.

Chociaż ona nigdy mnie nie nienawidziła i może w tym tkwił problem. Być może za bardzo mnie kochała. Trudno było być kochanym za bardzo, ponieważ z upływem czasu taka miłość zaczyna dusić. Nazbyt martwiłem się, by jej nie zawieść lub rozczarować, ponieważ gdybym to zrobił, załamałaby się. Panikowała, gdy czuła się niekochana. Wariowała.

Bycie kochanym przez kogoś takiego było trudne do zniesienia i nie każdy chciałby znaleźć się w takiej sytuacji.

Nie zawsze zdawałem sobie sprawę, że moja mama była niestabilna.

Wychowując się w środku lasu, jedynie z nią i z przyrodą wokół, nie wiedziałem, że coś było z nią nie tak. Bawiliśmy się razem, śmialiśmy się i śpiewaliśmy, graliśmy także na instrumentach.

Kiedy przejeżdżała moja ciotka Denise, dużo się śmiały, piły wino, które przywoziła ciocia. Potem Denise zniknęła na wiele tygodni, a my z mamą wracaliśmy do naszej rutyny. Denise przez długi czas była jedyną osobą, którą widywałem, dopiero później, jeżdżąc do miasta na zakupy, poznałem innych ludzi, którzy szeptali o mamie i o mnie.

– To genetyczne? – pytali.

– On też jest wariatem? – zastanawiali się na głos.

Wykorzystywałem całą swoją siłę, by nie uderzyć ich w twarz za mówienie o mojej mamie. Nie znali jej. Nie znali nas. Trzymaliśmy się naszego szczęśliwego, małego świata. Dlaczego w ogóle się do niego wtrącali? Dlaczego uważali się za lepszych?

Wracałem do domu zirytowany ich nienawiścią w stosunku do nas, choć nawet nie wiedzieli, kim jesteśmy; jednak mama, gdy nie popadała w te swoje nastroje, potrafiła mnie uspokoić.

– Słowa, Levi. Słowa. To puste, nieznaczące nic słowa pochodzące od pustych, nic

nieznaczących ludzi.

Dopiero jeżdżąc na wakacje do taty, uświadomiłem sobie, że może nasze życie nie jest normalne. Może szeptu ludzi z miasta coś jednak znaczący.

Okazywało się, że mycie okien podczas burzy nie jest czymś normalnym. Chociaż mama uważała, że można je dokładnie wyczyścić, używając jedynie deszczu. A gdybym je umył niedokładnie, uważałaby, że nie kocham jej dostatecznie mocno.

I wpadłaby w panikę.

Zaczynała mówić o głosach w głowie, twierdziła, że są prawdziwe. Zaczynała widzieć rzeczy, których naprawdę nie było.

Dopiero później Denise powiedziała mi, że nazywano to zaburzeniami schizofrenicznymi. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale brzmiało wystarczająco strasznie, bym zaczął się martwić.

Mama dostała leki, które miały jej pomóc z myślami, i przez długi czas był spokój. Nie obawiała się już wszystkiego. Znow była moją mamą – tak jakby. Dużo mniej się uśmiechała, ale mówiła, że głosy odeszły.

W końcu przestała brać leki, bo wydawało jej się, że wyzdrowiała.

Ale tak nie było.

Dowiedziałem się również, że nie było normalne to, że nie miałem przyjaciół. Gdzieś w okolicach moich dziewiątych urodzin tata zapytał, czy miałem w zeszłym roku przyjęcie urodzinowe, a ja, odpowiedziałem, że tak. Kiedy zapytał, ilu przyjaciół na nim było, odpowiedziałem, że dwoje, mama i Denise. Gdybym zapytał mamę, czy mogę dołączyć do jakiejś drużyny sportowej, stwierdziłaby, że jej nie kocham. Pielęgnowała w sobie to pokręcone przekonanie, że jeśli znajdę sobie przyjaciół, to ją zdradzę.

Więc panikowała.

Później przez chwilę brała leki, aż ponownie wydawało jej się, że wyzdrowiała.

Jednak znow tak nie było.

Kiedy po raz pierwszy zapomniałem zmówić wieczorną modlitwę, miała napad paniki. Powiedziała, że umiera, ponieważ nie podziękowałem Bogu. Powiedziała, że Bóg do niej przemówił i był zły, i zemści się na niej, ponieważ nie dotrzymałem powinności. Pamiętałem, że płakałem, błagałem, by oddychała. *Oddychaj, mamo*. Wybrałem numer alarmowy, a kiedy przyjechali sanitariusze, już zdążyła się uspokoić.

To jedno z pierwszych wspomnień dotyczące mamy, jakie posiadam.

Oddychaj, mamo.

– Mamo, uspokój się. – Westchnąłem do telefonu, siedząc na dachu domu taty. Nie byłem w nastroju na rozmowę z nią, ponieważ po jej głosie wnioskowałem, że nie była całkowicie stabilna. Słyszałem wypowiedziane przez nią słowa, ale to nie była do końca ona. Była tak od siebie daleka, że zastanawiałem się, czy moja prawdziwa mama kiedykolwiek do mnie wróci.

– Tęsknisz za mną, Levi? Dlaczego nie chcesz wrócić do domu?

Ponieważ nie chcę widzieć cię w takim stanie.

– Wiesz, że muszę pouklądać sobie wszystko z tatą – skłamałem. – Zaczynamy się do siebie zbliżać – ponownie uciekłem się do kłamstwa.

Tata zaczął pić po południu i do teraz nie przestał. Wcześniej odebrał telefon z pracy i wywnioskowałem, że nie to spodziewał się usłyszeć, ponieważ zaraz po rozmowie zaczął wlewać w siebie alkohol. Nigdy wcześniej nie widziałem go pijanego. Obecnie znajdował się na podwórku, mamrotał coś do siebie pod nosem z piwem w ręce, kopiąc krzesła ogrodowe i wszystko, co znalazło się na jego drodze. Był zalany w trupa.

Wcześniej powiedziałem mu, że prawdopodobnie nie powinien tyle pić, skoro jutro ma

sesję chemioterapii, ale kazał mi się odwalić i nie wtrącać w jego sprawy. Zgadywałem, że nie zamierza uczyć mnie jeździć.

– Wróć do domu – łkała mama do telefonu. – Nie jesteś rozsądny.

– Co tam u Denise? Zagląda do ciebie? – zapytałem, zmieniając temat. Już i tak znałem odpowiedź na to pytanie. Denise dzwoniła do mnie w tym tygodniu i powiedziała, że martwi się o mamę, ponieważ ta nie bierze leków. Sam mogłem to stwierdzić, ponieważ późnonocne telefony nasilały się. Denise chciała, by mama pojechała na kilka tygodni na terapię do jakiegoś ośrodka zajmującego się zdrowiem psychicznym, ale mama odmówiła. Wierzyła, że nic jej nie jest. Czasami zastanawiałem się, czy kiedykolwiek otrzyma potrzebną pomoc. Denise stwierdziła, że możemy się jedynie modlić, jednak ja modliłem się, odkąd skończyłem pięć lat, i nic to za bardzo nie dało.

– Ona dalej jest z tą szumowiną, Brianem. Możesz uwierzyć? Nie lubię go – powiedziała mama, wrywając mnie z zamyślenia.

Oczywiście, że go nie lubiła. Jedynym lubianym przez nią przedstawicielem płci męskiej byłem ja.

– Nie chcę dalej być tu sama, Levi – szepnęła, przez co poczułem się źle.

– Mamo, bierzesz leki?

– One już na mnie nie działają. A teraz, kiedy ciebie nie ma, jestem samotna. Wiedziałeś o tym? Jestem samotna.

Skręcił mi się żołądek, więc ucisnąłem nasadę nosa. Oczywiście, że nie brała leków.

– Nie mów takich rzeczy.

– Dlaczego nie?

– Bo to mnie wkurza, wiesz o tym. – Może. Może o tym wiedziała.

– Levi Myersie, nie mów tak do mnie. Coraz mniej jesteś sobą.

Czyli jestem coraz bardziej normalny?

Rozmawialiśmy dalej o nieistotnych sprawach, aż powiedziałem, że muszę kończyć.

– Levi?

– Tak, mamo?

– Kocham cię po wszystkie czasy.

Powtórzyłem te słowa, ale zrobiło mi się przykro, ponieważ czasami myślałem, że lepiej by było, gdyby koniec nadszedł wcześniej niż później. Może ze mną również było coś nie tak.

Nie trwało długo, nim ojciec, zataczając się, wrócił do domu i skierował się wprost do łazienki. Wymiotował tak głośno, że słyszałem go przez drzwi mojego pokoju, więc postanowiłem zanieść mu tabletki przeciwwymiotne i szklankę wody. Kiedy dotarłem do łazienki, drzwi były otwarte, a tata klęcząc przed toaletą, wymiotował gwałtownie.

Usiadł i oparł się o ścianę, po czym otarł usta chusteczką.

– Proszę, tato – powiedziałem, podając mu pastylki i wodę. – To powinno pomóc.

– Wypieprzaj stąd – mruknął, machając na mnie ręką.

– Lekarz mówi, że to pomaga na żołądek. Proszę. – Wyciągnąłem rękę w jego kierunku.

– Nie chcę tego – prychnął.

– To na nudności, ta...

– Powiedziałem, cholera, że tego nie chcę! – wrzasnął, wyrwał mi szklankę z ręki i rzucił nią o ścianę, przez co roztrzaskała się na drobne kawałki. – Wynoś się!

Wyszedłem z łazienki, ale przystanąłem. Zacisnąłem dłonie w pięści i opuściłem ręce po bokach.

– Staram się! – krzyknąłem, odwracając się w stronę ojca. – Staram się pomóc. By było ci łatwiej. By zbudować z tobą jakąkolwiek relację! – Wiedziałem, że wyładowuję się na nim.

Wyładowywałem gniew na mamę. Na raka. Na życie. Rzuciłem w niego tabletkami. – Jak chcesz, to je wywal, ale kiedy jutro pojedziesz na chemię, będziesz żałował, że ich nie zażyłeś.

– Nie będę robił tego gówna.

– Czego?

– Chemii, skończyłem z tym.

– Skończyłeś? Co masz na myśli? W kalendarzu są zapisane jeszcze cztery sesje.

– Nie pojedę.

– Tato – powiedziałem, kiedy mój gniew zmienił się w obawę. – Nie bądź głupi, potrzebujesz chemioterapii, by wyzdrowieć.

Wyciągnął nogę i kopniakiem zatrzaskał drzwi.

Wróciłem do swojego pokoju i wyjąłem pudełko po butach wypełnione wspomnieniami z przeszłości, którą dzieliłem z tatą. Miałem tu wszystkie świąteczne pocztówki, wszystkie samoprzylepne karteczki z notkami i inne drobiazgi, o których on postanowił nie pamiętać.

Nie powinienem ich przeglądać. Nie powinienem otwierać tego pudełka. Powinienem uciec do lasu ze skrzypcami, jednak tego nie zrobiłem. Przerzucałem liściki i kartki, mając nadzieję, że w tej chwili śni mi się koszmar, a kiedy się obudzę, tata znów będzie mnie kochał – a przynajmniej lubił.

Czas.

Kończył nam się czas.

Wesołych Świąt, Lee.

Kocham Cię, synku.

~ Tata

Wszystkiego najlepszego z okazji siódmych urodzin.

Uczymy je w lecie.

~ Tata

Brakowało mi Ciebie przy starym potoku.

~ Tata

Może w przyszłym roku spędzimy razem święta.

Kocham Cię, Levi.

~ Tata

Kiedy przyjedziesz mnie odwiedzić,

będziemy karmić jelenia w lesie.

~ Tata

Kocham Cię, synu.

~ Tata

Całą nos szczypałem się po rękach, próbując obudzić się z tego koszmaru. Byłem zmęczony. Takie zmęczenie w wieku siedemnastu lat raczej nie było normalne. Męczyło mnie udawanie w szkole szczęśliwego. Męczyło mnie zamartwianie się o mamę, czy przypadkiem czegoś sobie nie zrobi, ponieważ ją zostawiłem. Męczyło mnie zastanawianie się, czy kiedy pewnego dnia się obudzę, taty już nie będzie.

Byłem zmęczony koszmarem mojego życia, więc chciałem się już z niego obudzić.

Następnego ranka, o piątej pięćdziesiąt osiem, w lesie pojawiła się Aria. Byłem wkurzony i zmęczony z powodu mamy i taty. Cały byłem obolały i niemrawy. W ogóle nie spałem.

Aria zatrzymała się w pewnej odległości i zamarła.

Zmarszczyła brwi.

– Dobrze się czujesz? – zapytała bezgłośnie.

Chciałem się do niej uśmiechnąć, ale nie potrafiłem. Każdego innego obdarowałbym szerokim uśmiechem i kłamstwem, ale przy niej nie czułem, by było to konieczne. Przy niej czułem się w porządku, będąc w rozsypce. Pokręciłem głową.

– Nie – odpowiedziałem również bezgłośnie i oparłem się o drzewo.

Skinęła głową na znak, że rozumie, i podeszła do mnie. Oparła się o drugie drzewo i popatrzyła na mnie. Włożyłem ręce w kieszenie dresowych spodni i tak patrzyliśmy na siebie w kompletnej, ale jednak wymownej ciszy.

Po raz pierwszy pokazałem Arii prawdziwego siebie. Ujawniłem jej prawdę.

Widziała samotność w moich oczach, którą się z nikim nigdy nie dzieliłem. Widziała ból w mojej duszy, który ukrywałem za uśmiechem i kłamstwami.

– Możesz ze mną rozmawiać – powiedziała. – Jeśli chcesz.

Ucisnąłem nasadę nosa, zastanawiając się, czy chcę o tym mówić. Rozmowa sprawiała, że rzeczy stawały się prawdziwe. Jednak może to realizmu potrzebowałem najbardziej.

– Moja mama nie radzi sobie za dobrze. Chciałem od niej uciec jak najdalej, co oznaczało zamieszkanie z ojcem. Wiesz, myślałem, że łatwiej mi będzie, jeśli tu zostanę. Jednak tata odmawia kontynuowania chemioterapii, a ja nie wiem, jak sobie z tym poradzić.

– Rany, Levi. Przykro mi. To dużo – szepnęła. – To zbyt wiele.

Przytaknąłem.

– Co mam niby zrobić, kiedy on nie chce się leczyć? Jak przekonać kogoś, że jego życie

warte jest ocalenia, kiedy ten ktoś nie ma pragnienia, by sam siebie ocalić?

– Nie możesz tego zrobić – powiedziała, uśmiechając się ze smutkiem. Był to smutny uśmiech, nie nonsensowny. – Takie właśnie jest życie. Wszyscy jesteśmy w nim z kimś związani, choć jednocześnie bardzo samotni.

– Najgorzej jest być samotnym.

Skinęła głową.

– Tak, ale czasami bycie z kimś, jednocześnie będąc samotnym, jest jeszcze gorsze.

– Chociaż nie w tej chwili.

– Nie. Teraz jest w porządku. Teraz jest dobrze.

Już się więcej nie odzywaliśmy.

Nie próbowała mnie pocieszać. Nie chciałem być teraz szczęśliwy i Aria to rozumiała.

Oparła się jedynie o drzewo i popatrzyła na mnie ze współczuciem.

Z wyrazem całkowitego zrozumienia.

Jakby mówiła: „Widzę cię, Levi Myersie. Też jestem samotna”.

Tamtego ranka stanęła bliżej mnie na przystanku autobusowym, nasze ramiona niemal się ze sobą stykały. Wyobraziłem sobie, jakby to było trzymać ją za rękę lub przynajmniej za mały paluszek. Zastanawiałem się, czy jej skóra jest ciepła, czy zimna. Czy jest miękka. Kojąca. *Kto sprawił, że nie można cię dotknąć?*

– Dlaczego nie powiedziałeś, że jesteś nieszczęśliwy? – zapytała, patrząc pod nogi, kopiąc jakieś kamyczki.

– Nie wiedziałem, że mogę.

Moi rodzice byli wystarczająco zniszczeni, więc myślałem, że ja nie mam prawa się załamywać.

Kiedy przestała ruszać stopą, spojrzałem w jej duże, łagodne oczy.

– Przy mnie możesz być smutny – powiedziała. – Nie musisz się chować.

Odchrząknąłem i skinąłem głową.

– Dzięki, Art.

– Proszę, Levi.

Podjechał autobus, więc Aria odsunęła się, ale otarła się o mnie ramieniem. Oboje mieliśmy na sobie koszulki i kurtki, ale to muśnięcie wystarczyło, bym wiedział, jaka jest w dotyku.

W jakiś sposób jednocześnie była zimna i ciepła, jak słońce, które rankiem wschodzi nad zimowym lasem.

Czułem się tak jedynie wtedy, gdy grałem na skrzypcach i byłem w stanie uciec na chwilę od rzeczywistości. Wcześniej tylko zamykając oczy, czując, jak smyczek prześlizguje się po strunach, potrafiłem odnaleźć ciepło; a potem Aria na mnie spojrzała. Patrzyła na mnie tak, jakby naprawdę widziała mnie, tego prawdziwego mnie, i było to dla niej w porządku. Patrzyła, jakbym zasługiwał na zadowolenie. Na takie prawdziwe szczęście.

Tego wieczora tata znów się upił. Zamiast patrzeć, jak się zatacza po domu, poszedłem do Lance'a i Daisy, zjadłem tofu o smaku podeszwy i zostałem na noc na ich rozkładanej kanapie.

Aria: PO POŁUDNIU POLICZYŁAM, ŻE DZIECKO MA JUŻ SZESNAŚCIE TYGODNI I JEST WIELKOŚCI AWOKADO. ODROBIŁAM ZADANIE Z MATEMATYKI, TROCHĘ MALOWAŁAM, PO CZYM ZGRAŁAM NA IPODA CAŁĄ PŁYTY MUMFORD&SONS. A TY CO ROBIŁEŚ?

Uśmiechnąłem się.

Ja: ZJADŁEM TOFU.

Aria: TYLKO TYLE?

Ja: MIELIŚMY ZADANIE DOMOWE Z MATMY?

Aria: NIGDY NIE SKOŃCZYSZ SZKOŁY.

Ja: MYŚLĘ, ŻE JESTEŚ PIĘKNA.

Aria: NIE GADAJ.

Ja: TWOJE AWOKADO TEŻ JEST FAJNE.

Aria: ZAŁOŻĘ SIĘ, ŻE MÓWISZ TO KAŻDEJ CIĘŻARNEJ W SZKOLE.

Nie przestawałem się uśmiechać.

Wyobraziłem sobie, co robi. Kiedy komuś nie wolno dotykać osoby, którą chciał dotykać, zaczyna zauważać każdy drobiazg. Kiedy Aria była zadowolona – naprawdę szczęśliwa – w jej policzkach pojawiały się dołeczki. Kiedy była zawstydzona, wkładała sobie do ust rąbek kołnierzyka. Kiedy była smutna, przygryzała dolną wargę – jednak robiła to też, gdy była zdenerwowana lub głęboko zamyślona, więc musiałem uważnie patrzeć, by określić jej emocje. Czasami było to trudne. Chociaż z dużą łatwością się na nią patrzyło.

Miałem nadzieję, że teraz miała na policzkach dołeczki. Miałem nadzieję, że choć trochę ją uszczęśliwiłem.

Ja: JAKA JEST NAJOKRUTNIEJSZA WARTOŚĆ W MATEMATYCE?

Aria: WARTOŚĆ BEZWZGLĘDNA. JESTEŚ KUJONEM. CHOCIAŻ JA JESTEM JESZCZE WIĘKSZYM, BO ZNAŁAM ODPOWIEDŹ NA TEN KIEPSKI MATEMATYCZNY ŻARCIK.

Nadal się uśmiecha.

Ja: DOBRANOC, ART.

Aria: DOBRANOC, SOUL.

ROZDZIAŁ 19

Aria

W każdy czwartek doktor Ward patrzył na mnie z taką samą troską w oczach, jak tydzień wcześniej. Denerwowało mnie to, jak udawał, że go cokolwiek obchodzi. Zastanawiałam się, jak bardzo by się mną przejmował, gdyby mama nie wypisywała mu tłustego czeku.

Tym razem miseczkę wypełniała czarna lukrecja, co było niepokojące. Każdy, kto sądził, że czarna lukrecja to słodczyce, powinien mieć własnego terapeutę.

Nasze rozmowy stały się banalne, każda przypominała poprzednią. Za każdym razem doktor Ward zaczynał od tych samych pytań; potem ja opowiadałam o malarzach, następnie on znów o coś pytał.

– O czym myślisz, Ario? – zapytał.

– O Banksym – odpowiedziałam.

– Kim jest Banksy?

– Niesamowitym ulicznym artystą, którego graffiti wyraża jego kontrowersyjne postrzeganie świata. Jego prace aż krzyczą przekazem, a jednocześnie są ciche. Nikt tak naprawdę nie wie, kim jest autor, ale wszyscy go znają. Najbardziej podoba mi się jego *Dziewczynka z balonikiem*, ponieważ zawiera szeroki przekaz.

Doktor uniósł brwi, jakby nie rozumiał, o czym mówię.

Westchnęłam. Już miałam powiedzieć: „Niech sobie pan wygoogluje, to pan zrozumie”, ostatecznie jednak zaczęłam wyjaśniać, ponieważ lubiłam mówić o sztuce. Była to jedyna rzecz, którą rozumiałam, jedyna, która była znacząca.

– To mała dziewczynka sięgająca po czerwony balonik w kształcie serca, jednak on jej ucieka.

– Czujesz się tak, jakbyś czasami uciekała, Ario?

Tak.

Często.

Cały czas.

Nie powiedziałam tego na głos. Milczałam, a doktor nigdy nie naciskał na wyjaśnienia.

W poniedziałkowy poranek uśmiechnęłam się, widząc na przystanku autobusowym Simona trzymającego cztery balony z napisem „WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO”.

– Wszystkiego najlepszego! – wykrzyknął i podał mi balony.

– Dzięki. – Roześmiałam się.

Podszedł do nas Levi; na widok balonów zmarszczył brwi.

– Nie wiedziałem, że masz urodziny. – Przeczesał włosy palcami. – Nic dla ciebie nie mam.

– Nieistotne. To nic takiego.

– A właśnie, że tak! – wykrzyknął Simon. – Ponieważ ty, moja przyjaciółko, nie masz już szesnastu lat. Co oznacza, że nie jesteś już szesnastolatką w ciąży, co oznacza...

Zdecydowanie wiedziałam, co to oznacza.

– Nie łapię się już w statystyki! Cóż, nadal należę do grona ciężarnych nastolatek, ale nie nadaję się już do serialu emitowanego na MTV, gdzie biorą tylko do szesnastego roku życia.

– Myślę, że trzeba to uczcić tańcem – powiedział Simon.

– Z *Thrillera*?

– Nie. Myślę, że to czas M.C. Hammera. – Odtworzyliśmy dziwaczny taniec na chodniku, śmiejąc się z siebie nawzajem. Levi patrzył na nas tak, jakby nas nawiedziło, po czym do nas dołączył.

Mogłabym przysiąc, że w tamtej chwili moje serce odrobinę urosło.

– Wszystkiego najlepszego, wszystkiego najlepszego, wszystkiego najlepszego – powiedział Levi, gdy wyszliśmy z lekcji matematyki. Odkąd dowiedział się rano o moich urodzinach, zdążył powiedzieć to już przynajmniej ze trzydzieści razy.

– Możesz już przestać mieć wyrzuty sumienia. Wiem, że się starasz. – Śmiałam się.

– Powinnaś. Słyszałaś, jak matematycy zapraszają na piwo?? – zapytał, kiedy zatrzymaliśmy się przy mojej szafce. – Chodź, zamienimy procenty na promile.

Kiepskie matematyczne żarty opowiadane przez dziwnego chłopaka z południa.

Urodziny zaliczone.

Nim poszliśmy na szóstą lekcję, podał mi karteczkę. Rozłożyłam ją; nie potrafiłam zapanować nad motylami podrywającymi się do lotu w moim brzuchu.

Wszystkiego najlepszego, Art!

życzy Soul

Był tam nawet okropny rysunek mnie jedzącej tort czy coś podobnego. Levi okazał się tak kiepski w rysowaniu, jak ja w graniu na perkusji.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział stojący za mną James, przez co wszystkie motyle odleciały.

– Dzięki – mruknęłam, zamykając szafkę i odchodząc.

James pospieszył obok mnie, zdecydowany zniszczyć moje urodziny, które świętowałam

jeszcze kilka minut temu.

– Słuchaj, nie chciałem ci tego mówić, ale uznałem, że powinnaś wiedzieć o plotkach niosących, że Levi kręci z Heather Randall. Pomyślałem, że powinnaś być tego świadoma.

– Dlaczego tak bardzo interesujesz się Levim? – zapytałam, przewracając oczami. Widziałam zazdrość, jaką czuł James z powodu mojej przyjaźni z Levim. Mało powiedzieć, że mnie to denerwowało.

– Nie chcę, byś cierpiała.

– Ależ ty jesteś opiekuńczy, co?

Nim zdążył odpowiedzieć, podeszła do nas Nadine i objęła Jamesa z pasie.

– Cześć! Co robicie?

James oderwał ode mnie wzrok i uśmiechnął się do swojej dziewczyny.

– Nic. Tylko sprawdzałem, co słyhać u Arii.

Nadine uśmiechnęła się do mnie.

– Jest taki kochany. A właśnie... co jest między tobą a tym słodkim Casanovą z południa, Ario? Jest uroczy!

James roześmiał się nerwowo.

– Nie sądzę, by chodzenie na randki było jej teraz w głowie. Poza tym plotka niesie, że on kręci z Heather.

O rany, jak bardzo chcę kopnąć cię w krocze!

Zamiast tego posłałam Nadine sztuczny uśmiech.

– Z Levim tylko się przyjaźnimy.

James westchnął, jakby mu ulżyło. To też mnie wkurzyło.

– Mhm. Ja tylko mówię, że na twoim miejscu, kiedy nie masz ojca dla dziecka, nie odpychałabym uwagi Leviego Myersa. Do tego on patrzy na ciebie zupełnie inaczej niż na jakąkolwiek inną dziewczynę w szkole – powiedziała Nadine z uśmiechem, po czym pociągnęła Jamesa na kolejną lekcję.

To prawda? Levi patrzył na mnie inaczej?

Spojrzałam na mój brzuch i pogłaskałam go lekko.

To nie ma znaczenia.

Nie miało znaczenia to, jak Levi na mnie patrzył. Nie mogłam myśleć o nim w żaden inny sposób, jak tylko o przyjacielu. Za kilka miesięcy urodzę dziecko i moje życie na zawsze się zmieni.

ROZDZIAŁ 20

Levi

W środę Simon zaprosił mnie do siebie na, jak to nazwał, „męski wieczór”. Poszedłem do niego na skróty, drzwi otworzyła jego mama.

– Witam, o co chodzi? – Uśmiechnęła się.

– Dobry wieczór. Jestem Levi, przyjaciel Simona. Mieliśmy spędzić razem trochę czasu. Jej twarz rozpoznała się, kobieta oparła dłonie na biodrach.

– Jesteś przyjacielem Simona?!

– Tak, poznaliśmy się w szkole i...

– Kto przyszedł? – Do holu wszedł mężczyzna.

– To Levi, nowy przyjaciel Simona.

Twą twarz mężczyzny również się rozpoznała.

– Przyjaciel Simona?

– Tak! Czy to nie cudownie?! Wejdz, Levi – powiedziała kobieta, po czym złapała mnie za rękę i wciągnęła do środka. – Ja jestem Keira, a to mój mąż, Paul. Si, zejdz, masz gościa, i to nie jest Aria!

Wydawać by się mogło, że jego rodzice zachowywali się dziwnie i niegrzecznie, ale tak naprawdę byli zachwyceni z powodu tego, że Simon miał nowego przyjaciela.

Simon wybiegł ze swojego pokoju i jęknął.

– Nie musicie go straszyć. Co tam, Levi? Możemy iść do mnie.

– Zamówię pizzę! – krzyknęła jego mama. – I upiekę czekoladowe ciasteczka! Levi, lubisz ciasteczka?

– Mamooo, wyluzuj. Pogramy trochę na konsoli.

Keira obróciła się do Paula.

– Słyszałeś?! Planują grać na konsoli!

– Uwielbiam ciasteczka czekoladowe – wciąłem się. Mądry człowiek nigdy nie zaprzepaszcza szansy na darmowe słodkości.

Simon przewrócił oczami i roześmiał się, po czym poprowadził mnie korytarzem do swojego pokoju. Na ścianach zauważyłem rodzinne zdjęcia; jedna rzecz nie pasowała mi w historii osoby, którą coraz lepiej zaczynałem poznawać. Kiedy znaleźliśmy się w jego sypialni, Simon pospiesznie zamknął za nami drzwi.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie przyjmuję wielu gości?

– To nic takiego.

– Nic takiego? Moi rodzice właśnie przeżyli atak serca, bo ktoś do mnie przyszedł.

W każdym razie, cieszę się, że jesteś, ponieważ potrzebuję twojej opinii.

Rozejrzałem się po jego ekstremalnie czystym pokoju. Wszystko było na swoim miejscu. Ubrania w garderobie wisiały poukładane kolorami. Pudełka z grammi stały alfabetycznie na półce.

Simon miał więcej przyborów do sprzątanania niż kiedykolwiek widziałem.

Wszedł do garderoby.

– Możemy pograć i takie tam, ale tak naprawdę poprosiłem, żebyś przyszedł pomóc przy O.Z.D.A.

– Tak, oczywiście. Tak właśnie myślałem. – Skinąłem głową i usiadłem na jednej z wielkich poduch. – A tak w ogóle, co to jest O.Z.D.A.?

Wyszedł z garderoby z tablicą z papierowymi arkuszami. Przerzucił kilka stron i zobaczyłem rysunek przedstawiający dziewczynę i cztery różne zapisane kartki.

– Operacja Zdobyć Dziwaczkę Abigail.

– To rysunki przedstawiające Abigail? – Przechyliłem głowę na bok i zmrużyłem oczy.

Simon nerwowo bawił się palcami.

– Niezbyt wyszedł mi jej nos.

– I trochę pokręciłeś proporcje ciała. Nie to, żeby Abigail była gruba, ale jest nieco większa niż na twoim rysunku.

– Tak, nie jest typem patyczaka, Levi. Ale to Aria jest malarką, ja jestem tylko jej rudym kumplem.

– No dobra, dobra. Przepraszam, ale myślałem, że kiedy ostatni raz o tym rozmawialiśmy, byłeś przeciwny Abigail.

– Ale potem zjadłem jej ciasteczka.

– I smakowały ci – stwierdziłem z uśmiechem.

– Rozpływały się w ustach. – Westchnął ciężko i usiadł na łóżku. – Uwielbiam jej ciasteczka.

– To wyjaśnia, dlaczego musimy przeprowadzić O.Z.D.A. Co jest na tych kartkach?

– Różne scenariusze na temat tego, jak zaprosić ją na randkę.

Podszedłem, by z bliska przyjrzeć się tablicy.

– Skok ze spadochronem? Wycieczka górską? Lot balonem? To twoje pomysły na randkę?

– Tak! Pomyśl o tym. Wyskakujesz z samolotu, spadasz, spadasz, spadasz, minuty dzielą cię od śmierci, ponieważ zaciął ci się spadochron, patrzysz w te jej niebieskie oczy i mówisz: „Dziwaczko Abigail, jeśli bezpiecznie wylądujemy na ziemi, pójdziesz ze mną na shake’a?”. Powinna się zgodzić, po czym oczywiście żylibyśmy długo i szczęśliwie.

– No chyba że, no wiesz, zginąłbyś od uderzenia w ziemię.

Uśmiechnął się.

– No tak, to możliwe.

– A nie myślałeś, no nie wiem, by po prostu zapytać, czy się z tobą umówi?

– Ale tak osobiście?

– Tak.

– Oko w oko?

– Aha.

Zaczął śmiać się histerycznie, coraz bardziej czerwieniejąc na twarzy. Po chwili jednak śmiertelnie spoważniał.

– Wiesz, że to... to może się udać. – Zamknął tablicę. – Gramy?

Roześmiałem się.

Pograliśmy w strzelanie, po czym w zabijanie, po czym w strzelanie i zabijanie.

Kiedy byliśmy w trakcie misji, podczas której odstrzeliliśmy głowy zombie, jak gdyby nigdy nic powiedziałem:

– Widziałem w korytarzu wasze rodzinne zdjęcia.

Simon odchrząknął.

– Tak. Mama jest uzależniona od fotografowania.

– Nie wiedziałem, że miałeś młodszą siostrę.

Patrzył na telewizor, kiedy odpowiedział:

– Kiedy miałem pięć lat, błagałem, by wzięła nas z Lizzy na lody, chociaż była zmęczona, bo przygotowywała obiad. Po drodze mieliśmy wypadek, przez który przez wiele tygodni Lizzy była w śpiączce. Lekarze powiedzieli, że jak na trzylatkę walczy dzielnie, ale nie da rady. Po czym pewnego dnia odeszła.

– Boże. Przykro mi, Si.

Dalej grał, ale myślami był gdzie indziej.

– Rodzice później dowiedzieli się, że w wyniku tego wypadku mama będzie mieć problemy z zajściem w ciążę, więc przez lata starali się temu zaradzić.

– Obwiniasz się o to?

– A ty byś się nie obwiniął? Gdybym się nie upierał, moja siostrzyczka nadal by żyła. Rodzice mogliby mieć więcej dzieci i nie przechodziliby kilkanaście lat przez piekło. Ja jestem powodem ich spieprzonego życia.

– Stary, byłeś tylko dzieciakiem. Nie spowodowałeś wypadku.

– Nie? Nie powinniśmy wychodzić z domu. Powinniśmy... – Widziałem wyrzuty sumienia w jego oczach, kiedy cztery razy przycisnął guzik z trójkątem na padzie, po czym przeniósł palec i równie mocno cztery razy nacisnął ten z kwadratem. – Zmienimy temat? – zapytał, nie chcąc już mówić o siostrze. Nie grzebałem w jego życiu. Zawróciłem rozmowę na inne tory.

– Tak się zastanawiałem na temat Arii...

– A to nowość. – Uśmiechnął się. Znow był sobą.

– Co to miało znaczyć?

– Och, no nie wiem. Może to, że każdego dnia robisz do niej maślane oczy?

– Stary, nie gadaj. Nie robię. W każdym razie, potrzebuję pomysłu na prezent urodzinowy.

Simon uniósł brwi.

– I prosisz mnie o radę? – Przytaknąłem. – Podaruj jej cokolwiek związanego ze sztuką. Właściwie to mówiła o jednej takiej rzeczy, ale to dość kosztowne.

– A co to?

Powiedział mi; gdy usłyszałem cenę, aż się skrzywiłem. Od dawna nie widziałem takich pieniędzy, ale był to prezent idealny, więc nie miałem wyjścia.

– Potrzebuję osiemdziesiąt dolarów – powiedziałem do Lance'a, kiedy pewnego dnia zmieniał wystrój witryny. Ilekroć ojciec nie chciał, bym kręcił się po domu, szedłem do sklepu muzycznego Lance'a, gdzie bawiłem się instrumentami.

– Na co?

– Na szkolny projekt.

– A dlaczego szkolny projekt wymaga płacenia osiemdziesięciu dolarów?

– Nie wiem. Publiczna szkoła jest dziwna. Czasami wymagają, byśmy jedli krowie flaki.

– Pamiętam, że kiedy ja tam chodziłem, wymagali, byśmy jedli świńskie flaki. Widzę, że teraz są bardziej zuchwali. To właśnie problem twojego pokolenia. Przywykliście do jedzenia jak

królowie. – Oparł się o pudło i popatrzył na mnie, mrużąc oczy. – A tak naprawdę, po co ci ta kasa?

– Chcę gdzieś z kimś pójść.

– Z kim? – zapytał, unosząc brew.

– Z kimś bez imienia.

– Z dziewczyną?

– Z kimś bez płci.

– Chodzi o tę konkretną dziewczynę, prawda?

– Jaką dziewczynę?

– O Art. Laskę, która kaleczy grę na perkusji i jest powodem twojego głupkowatego uśmiešku za każdym razem, kiedy o nią pytam.

– Aaa, ona?

– Tak, ona.

– Tak – odpowiedziałem. – Chodzi o nią.

– Ponownie muszę wejść w rolę nefajnego wujka: naprawdę uważasz, że to dobry pomysł, biorąc pod uwagę tego zombiaka rosnącego w jej brzuchu?

– Myślisz, że urodzi zombie? – Tydzień wcześniej Lance zmusił mnie do oglądania z nim *The Walking Dead*. Nie mogłem po tym spać, ale kurde, ten serial był wciągający.

– Do diabła, może to naprawdę zombie. Kiedyś wziąłem LSD i widziałem po nim dość dziwaczne rzeczy. Ale poważnie, Levi. Ludzkie serca są właśnie takie. – Wziął talerz z wegańskimi ciasteczkami Daisy. – Są idealne, gdy patrzysz na nie z dystansu, ale kiedy się do nich zbliżysz... – Wziął ciastko i zaczął je kruszyć. – Lubią się łamać. Jesteście bardzo młodzi. Ona ma wiele na głowie. Ty również. Oboje powinniście chronić swoje serca.

Powoli skinąłem głową.

– Ale... à propos tych osiemdziesięciu dolarów...

Przewrócił oczami.

– Wynieś śmieci, umyj podłogę, a potem pogadamy.

Co w dużej mierze oznaczało „tak”.

ROZDZIAŁ 21

Levi

- W piątek Connor znów wkurzał mnie na WF-ie.
- Jutro wieczorem musimy iść na tę imprezę. Nie rozumiesz, jakie to ma znaczenie – mówił, kozłując piłką do koszykówki. – Imprezy Tori Eisenhower są jak wycieczka do posiadłości Playboya. Tyle cycuszków.
 - Byłeś już na jakiejś imprezie Tori? – zapytałem.
 - Nie, ale o nich słyszałem. A ona ciebie zaprosiła?! – Pokręcił głową z niedowierzaniem.
- Tylko najlepsi z najlepszych dostają zaproszenia na jej imprezy. Musimy iść.
- Przykro mi, stary. Nie jestem zainteresowany.
- Connor westchnął, po czym pokazał mi środkowy palec i odszedł. Podszedł za to Simon z piłką.
- Zostałeś zaproszony na weekendową imprezkę Tori? Tori Eisenhower?
 - Tak, ale nie idę.
 - Nie ma mowy. Musisz iść. I musisz wziąć mnie ze sobą – powiedział z nadzieją w oczach.
 - Co? A co się stało z O.Z.D.A.?
 - Zaprosiłem ją na randkę, ale odmówiła, więc poczułem się jak frajer. Dlatego właśnie muszę iść na imprezę do Tori.
 - Odmówiła? – Byłem zszokowany. Mogłem przysiąc, że Abigail leciała na Simona. – Dlaczego? Podała jakiś powód?
- Skrzywił się.
- Nie rozmawiajmy już o niej. Nie chciała iść, więc odmówiła. Zamiast tego chodźmy na imprezę.
 - Nie sądziłem, że lubisz takie rzeczy.
 - Nie sądziłeś, bo nie dostałem zaproszenia. No weź, będzie fajnie. To umocni naszą męską więź – zażartował. Rzucił piłką do kosza, ale spudłował o kilometr. Poprawił okulary, po czym odchrząknął i wskazał na tablicę. – Chyba wiatr za mocno zawiał.

W sobotę wieczorem Simon był na maksa nakręcony.

– Nie mów o tym Arii – powiedział, kiedy staliśmy na progu domu Tori. Wyznał, że zwędził rodzicom butelkę wina. – Nie zauważą, że jej nie ma. W domu mamy tego mnóstwo.

– Simon, jesteś pewien, że chcesz tam wejść? – zapytałem. Wiedziałem, że ta impreza to nie jest dobry pomysł.

Obrócił się ku mnie z butelką w ręce i zaczął błagać:

– To moja jedyna szansa, by zbliżyć się do Tori, Levi. Nie każ mi się teraz wycofywać. Proszę. Potrzebuję tego.

To żalose spojrzenie podpowiedziało mi, że nie powinniśmy tego robić, ale i tak zadzwoniłem do drzwi.

Otworzyła mi Tori, ubrana w stanik od bikini i spodenki.

– Alabama! – pisnęła, chwiejąc się na nogach. Podejrzywałem, że nie potrzebuje już wina Simona. – Cieszę się, że przyszedłeś!

– Przyszliśmy – poprawiłem, kiedy szturchnąłem uśmiechniętego od ucha do ucha Simona. – Też się cieszymy, że mogliśmy przyjść.

– Kto zaprosił Czwórkę? – zapytała, patrząc na mojego towarzysza. Byłem pewien, że chłopak zaraz zemdleje z ekscytacji, ponieważ znajdował się od niej zaledwie o kilka centymetrów.

– Myślałem, że mogę przyprowadzić przyjaciela. – Błysnąłem uśmiechem.

Zachichotała.

– Nieważne. Wejdźcie! Napijmy się!

Przeprowadziła nas przez dom, gdzie wszystkie popularne dzieciaki śmiały się, piły i imprezowały. Simon przysunął się do mnie.

– Słyszałeś, co powiedziała? Nadała mi ksywkę.

– Co?

– Nazwała mnie Czwórką.

– A... to był komplement?

– Wiem, że ludzie jak ty z łatwością dostają ksywkę już pierwszego dnia po przyjeździe, Alabama, ale tacy jak ja... Możemy tylko o tym pomarzyć! Siedzimy w kącie i praktycznie błagamy kolegów, by nas jakoś nazwali. – Poklepał mnie po plecach. – A teraz wybacz, muszę się upić. – Pomachał trzymaną w ręce butelką, po czym mruknął: – Ja pierdzielę. Jestem w domu Tori Eisenhower.

– Patrzcie, patrzcie. Czy to nie Alabama na imprezie, na której miało go nie być? – Skrzywiłem się, gdy usłyszałem głos Connora. – I pomyśleć, że zabrałeś ze sobą dziwaka.

– Co tam, Connor? – zapytałem, obracając się do niego. Wnosząc po rozbieganym spojrzeniu, był już nieźle wstawiony.

– Co tam, Connor? – powtórzył, szturchając mnie w ramię. – Uwierzysz w to, Matt? Powiedział „co tam”. – Popchnął chłopaka stojącego obok, który również nie trzymał za dobrze pionu, po czym znów zwrócił się do mnie: – Słuchaj, Alabama, wiem, że starasz się, aby wszyscy widzieli cię ze mną na tej imprezie, bo jestem kimś, ale jest już za późno. Nie możesz się ze mną kumplować, mam nowego towarzysza. Poznaj Matta. Jest nowy. Pochodzi z innego kraju, nie mówi w naszym języku, a laski nie mogą oderwać od niego wzroku.

– Gościu, jestem z Kanady. – Westchnął Matt. – I całkowicie cię rozumiem.

– Nie, jeśli zamierzasz zaliczyć jakąś panienkę – skarcił go Connor. – Przykro mi, Alabama. Jesteś już starym nowym.

– To oksymoron – mruknąłem.

– Co?

- Stary nowy. Nie można być jednocześnie starym i nowym. To głupie.
- Connor zmarszczył brwi i poklepał mnie po plecach.
- Byłeś wcześniej spoko kolesiem, a teraz zaraziłeś się dziwaczością. Żegnaj, Alabama.
- Żegnaj. – Odeszli obaj w kierunku Simona, który stał w kuchni, w otoczeniu ludzi, którzy ustawiali przed sobą po cztery kieliszki i krzyczeli:
- Cztery dla Czwórki! Cztery dla Czwórki!

Cały wieczór zastanawiałem się, czy Simon wie, że się z niego naśmiewają, czy może jest tak napruty, że go to nie obchodzi. Przez większość imprezy stałem w salonie, rozmawiając o nieistotnych rzeczach z przypadkowymi ludźmi, pilnując jednocześnie Simona, by nie zalał się w trupa. Obecnie przetrząsał szafki kuchenne, upewniając się, że wszystko w nich jest pogrupowane czwórkami. Jakieś palanty nagrywały go komórką, prosząc, by wyjaśnił znaczenie kolorystycznej organizacji ubrań. Jednak Simon dobrze się bawił, więc postanowiłem nie interweniować, no chyba, że okazałoby się to całkowicie niezbędne.

Znikąd pojawił się obok mnie pijany chłopak z puszką piwa w dłoni i poklepał mnie po ramieniu.

– Nie sądzę, byśmy się poznali – powiedział. – Jestem James Martin – wybełkotał. –
A ty?

– Levi Myers – odparłem, obdarowując go moim wyćwiczonym sztucznym uśmiechem.
– Chodź, znajdziemy ci coś do picia, Levi – zaproponował, popychając mnie w stronę kuchni. Pokręciłem głową.

– Ja nie piję.
– Nie pijesz. – Roześmiał się i wziął łyk piwa, po czym rzucił puszkę na ziemię. – Zabawny jesteś. Podoba mi się to. Ale wiesz, co mi się nie podoba? Nie podoba mi się to, że bawisz się uczuciami Arii. Widzisz tamtego chłopaka? – Wskazał jakiegoś gościa z dziewczyną na kolanach. – To mój przyjaciel, Mike. Jest dla mnie jak brat. A ponieważ jest bratem Arii, to sprawia, że ona jest dla mnie jak siostra. Jeśli ją skrzywdzisz... – Szturchnął mnie w pierś. – ...skopię ci dupę.

– James – powiedziała jakaś dziewczyna, stając za nim. – Jesteś pijany. – Westchnęła ciężko.

Obrócił się do niej i uśmiechnął szeroko.

– Oczywiście, że jestem pijany, Nadine. To pieprzona impreza. Tylko frajerzy nie piją na imprezach.

Nadine uśmiechnęła się do mnie przepaszająco.

– Może powinienes się przewietrzyć, James – zaproponowała.

Parsknął.

– I mam cię tu zostawić z Casanową? Tak go nazwałaś, prawda? Casanova z południa? Jakbyś nie miała już chłopaka – bełkotał jak jakiś dupek.

– Zachowujesz się jak kretyń – szepnęła.

– Jak chcesz. Może ty też powinnaś się napić. Nie byłabyś taką samą frajerką jak Casanova. – Zatoczył się na drugą stronę pokoju, gdzie stała beczka z piwem.

Nadine zaczerwieniła się zawstydzona.

– Przepraszam za niego. Nie zawsze jest taki. Tylko kiedy pije.

– Nic się nie stało. Czasami alkohol najfajniejszych ludzi potrafi zmienić w debili.

Zmarszczyła brwi.

– Tak. Przeważnie. W każdym razie, podoba mi się to, jak traktujesz Arię.

– Jest wyjątkowa. – Przytaknąłem, żałując, że jestem na tej imprezie, zamiast z nią.

– Jest. Ale właściwie przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że Simonowi zaraz urwie się film. –

W przeciwieństwie do reszty, nie nazwała go Czwórką.

Spojrzałem w stronę kuchni, w której Simon stał na blacie; trzymał w dłoniach cztery talerze, które jeden po drugim upuszczał na podłogę, przez co tłukły się na kawałki.

– Opa! – krzyczał.

Na miłość boską!

Do północy Simon był kompletnie narąbany. Pogiął okulary, rozlał na siebie kilka drinków i bełkotał tak, że ledwo go rozumiałem.

– Uwie... rzysz w too...? Odmówiła! Dziwa... czka Abbb... igail odmówiła! – krzyczał. Zamiast podbijać do Tori, większość nocy spędził, gadając o Abigail. – Ale terasss mam lepsze rze... czy do roboty – czknął. – Jestem po... po... popularny! – Stojący obok ludzie nagrywali jego bełkotliwy wywód. – Jestem zarąbiście popularny!

– Dobra, panie Popularny. Idziemy – mruknąłem, podtrzymując go, gdy przechodziliśmy przez dom.

Ludzie nagrywający Simona szli za nami przez całą drogę, aż ktoś krzyknął:

– Bójka!

Pospiesznie wróciliśmy do salonu; jakiś chłopak przeleciał właśnie przez całe pomieszczenie i wylądował na ławie. Inny skoczył na niego i zaczął go okładać pięściami, podczas gdy wszyscy kibicowali głośno, łącznie z Simonem.

– Bójka! Bójka! Bójka! – wydzierał się Simon, podskakując. – Skop mu dupę, Mike! – krzyczał do walczącego.

Cholera.

Brat Arii wyprowadzał ciosy, ale sam też oberwał kilka razy w twarz.

– Jeszcze raz nazwij moją siostrę dziwką! Na Boga, zrób to, kretynie! – wrzeszczał, uderzając gościa w szczękę.

Pospieszyłem i ściągnąłem Mike'a z tamtego chłopaka.

Popatrzył na mnie z wściekłością, po czym się uspokoił. Simon zaczął klaskać, podekscytowany szaleństwem na imprezie, po czym zgął się wpół i zwymiotował mi na buty.

Zarąbisty wieczór.

W poniedziałek byłem szczęśliwy, że piekło weekendowej domówki dobiegło końca. Simon napisał do mnie, że to była impreza jego życia, co obrałem za dobry omen. Dziwnie było tyle o nim wiedzieć, łącznie z tym, że obwinił się o śmierć siostry, dlatego cieszyłem się, że mogłem przyczynić się do tej jego nocy wolności.

Przez następne trzy dni Simon nie przestawał nawijać o imprezie, starając się nie wysypać przy Arii, wiedziałem jednak, że prędzej czy później coś mu się wymknie.

– Nie idziemy dzisiaj do szkoły, Art – powiedziałem w czwartek, kiedy Aria dołączyła do mnie w lesie o piątej pięćdziesiąt pięć nad ranem. Nadal przecierała zaspane oczy i ziewała; miała na sobie bluzę i spodnie od piżamy.

Niemal każdego dnia, kiedy nie miała porannych mdłości, przychodziła karmić ze mną jelenia. Za każdym razem, gdy się nie zjawiała, zostawiałem jej na parapecie solone krakersy.

– Spiełeś mi przyjaciela w weekend? – zapytała i ziewnęła.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Posłała mi znaczący uśmiezek.

– Dobra. Może udało mu się w weekend upić i może tak się złożyło, że przy tym byłem. – Uśmiechnąłem się. – Miał złamane serce, ponieważ Abigail mu odmówiła, więc poprosił, bym zgodził się na męski wieczór.

– Myślałam, że on się jej podoba.

– Ja też. Ach te kobiety, mówię ci.

Zmrużyła oczy.

– Uważaj. Jest tu jedna i to w ciąży. – Zaśmiała się.

– Jakiś chłopak myślał, że bawię się twoimi uczuciami, i niemal skopał mi tyłek.

– Co? Kto taki?

– James Martin. Stwierdził, że jeśli cię skrzywdzę, to on skrzywdzi mnie, bo jesteś dla niego jak siostra. Później powiedział mi, że kręcę z jakąś Heather, co mnie zaskoczyło, bo nigdy takowej nie widziałem.

Arii opadła szczeka.

– Poważnie? Powiedział, że jestem dla niego jak siostra?

– Tak. Wydawało się, że naprawdę się o ciebie troszczy. Za co nie mogę go winić. –

Uśmiechnąłem się.

Jednak ona nie odwzajemniła uśmiechu. Sapnęła.

– O mój Boże. Zabiję go.

– Założę się, że te twoje mordercze skłonności to również wynik hormonów ciążyowych.

– Nie. To nie hormony. Tak po prostu będzie. Zabiję go.

– O. W takim razie trochę się boję i jednocześnie jestem też trochę nakręcony tą twoją ciemną stroną. Jeśli planujesz go zabić, to w porządku. Tylko nie dzisiaj. Dzisiaj wagarujemy.

– O czym ty mówisz? – zapytała, wyjmując z małego wiaderka trochę jagód dla jelenia.

– Idziemy dzisiaj na wagary – powtórzyłem wolniej.

– Nie wygłupiaj się – odparła, opierając się o drzewo. Ja oparłem się o drugie.

– Nie wygłupiam się.

– Wygłupiasz.

– Kto tak twierdzi?

– Ja.

- Dziewczyna idąca dzisiaj na wagary?
- Nie, dziewczyna, która idzie dziś do szkoły, bo i tak ma już wiele nieobecności.

Westchnąłem.

- Pomogę ci z zadaniem domowym – zaoferowałem.
- Ledwo potrafisz odrobić swoje.
- Zadania domowe są przereklamowane.
- Może.

Może.

- Będę smutny, jeśli nie pójdziemy dzisiaj na wagary – powiedziałem.
- A dlaczego w ogóle mielibyśmy na nie pójść?

Wyjąłem z kieszeni bilety. Aria natychmiast na nie spojrzała.

- To twój prezent urodzinowy.

Wyrwała mi je z ręki.

- Nie gadaj!

Nie odezwałem się.

- Masz bilety na wystawę Jacksona Pollocka?

Nie odpowiedziałem.

- Są prawdziwe?

Nadal milczałem.

- Dlaczego nic nie mówisz?

- Bo mi zabroniłaś.

- Dobra, to teraz mów.

- Dobrze. Mam dla nas bilety na tę wystawę, ale dzisiaj jest jej ostatni dzień.

Zmarszczyła brwi.

- Ale to w Richman. To dwie godziny jazdy pociągiem.

- Więc lepiej będzie, jeśli wcześniej wyjedziemy.

- Mam po szkole umówione spotkanie z terapeutą.

- Więc lepiej będzie, jeśli wcześniej wrócimy.

- Naprawdę chcesz iść na wagary? – zapytała z niewielką nadzieją w głosie.

Tylko jeśli ty tego chcesz.

- Tak.

Nie zdecydowała od razu. Patrzyła na bilety, a ja patrzyłem na nią. Próbowałem policzyć piegi na jej nosie, ale się zgubiłem i zacząłem od nowa.

- Nigdy celowo nie wagarowałam.

- Jest coś podniecającego w robieniu czegoś pierwszy raz.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Dobra, olejemy dzisiaj szkołę.

Miałem ochotę zatańczyć, ale wzięłaby mnie za osła.

Choć w zasadzie już miała mnie za osła, więc niepotrzebnie się martwiłem.

- Ale z ciebie osioł.

Zatańczyła ze mną.

Była jedyną osobą, która nazywała mnie osłem i jednocześnie sprawiała, że czułem się jak superbohater.

ROZDZIAŁ 22

Aria

Levi zadzwonił do szkoły, udając mojego ojca i mówiąc, że jestem chora. Piętnaście minut później zadzwonił, udając własnego ojca i twierdząc, że Levi nie przyjdzie na lekcje, ponieważ nagle jest potrzebny w domu.

– To bardzo przekonujący akcent ze środkowego zachodu, panie Myers.

Uniósł niewidzialnego Oskara.

– Chciałbym podziękować Akademii...

Zachichotałam.

– Dobra, mamy jakieś pół godziny marszu do następnego miasteczka, by dostać się na stację kolejową. Dasz radę? – zapytał nieśmiało, zapinając dwa plecaki. – Nie pomyślałem, że to taka wyprawa.

– Wszystko w porządku – odparłam. – Nic mi nie będzie.

Nie powiedziałam mu, że ostatnio bolą mnie plecy i że mam spuchnięte stopy, ponieważ byłam pewna, że odwołałby naszą wycieczkę, a przepuszczenie okazji, by zobaczyć wystawę abstrakcyjnego malarstwa Jacksona Pollocka, było przestępstwem. A przynajmniej być powinno.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, więc uśmiechnęłam się i zmieniłam temat.

– Co jest w tych plecakach?

– Och – powiedział, a jego troska zmieszała się z ekscytacją. – Nasze zestawy artystyczne. Czytałem w Internecie, że fajne dzieciaki zabierają je na wystawy i dzięki nim wpadają w twórczy nastrój.

– A co zawierają?

– Same podstawowe rzeczy. Szkicowniki, długopisy i ołówki, wodę, jakąś świńską gazetę dla mnie i książkę Jane Austen dla ciebie. I Oreo z podwójnym nadzieniem.

Roześmiałam się.

– Brzmi fajnie.

Kiedy dotarliśmy na stację, zdążyłam zjeść całe swoje Oreo oraz dwa ciastka z paczki Leviego. Zaoferował mi wszystkie, ale odmówiłam, twierdząc, że nie jestem łapczywa. Bolały mnie nogi, a stanie było zajęciem z piekła rodem. Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa na widok pociągu wjeżdżającego na stację. Kiedy wreszcie usiedliśmy, zjadłam resztę Oreo Leviego.

Śmiał się z moich czarnych zębów.

W muzeum sztuki chciałam dokładnie obejrzeć każdy obraz i zostać aż do zamknięcia, po czym wkraść się do środka, by posiedzieć przed obrazami Jacksona Pollocka i zatracić się całkowicie, by znów móc siebie odnaleźć.

Osoba, która prawdziwie się nie zatraciła, nie mogła się też naprawdę odnaleźć.

Jedynie sztuka opisywała dobro i zło na świecie. Wyrażała to, czego nie potrafiły słowa.

– Oksymoron – powiedział Levi, gdy w zadumie siedzieliśmy przez obrazem Pollocka. –

Poszarzała tęcza.

– Może to było też jego ulubione słowo. – Obrazy Pollocka były mieszaniną głównie czarnej, białej, szarej i srebrnej farby, jednak na dole płótna znajdowały się niewielkie ślady żółci, zieleni, pomarańczu, błękitu i fioletu. – Rzadko używał pędzli. Posługiwał się kijami i nożami oraz wszelakimi innymi narzędziami do rozchlapywania i rozprowadzania farby.

– Teraz rozumiem, Art. Rozumiem, dlaczego tak uwielbiasz abstrakcję: na początku wydaje się chaosem, jednak ostatecznie nim nie jest. To chaos kontrolowany.

– Tak. – Przytaknęłam. – Tak, tak, tak.

– Właśnie coś takiego powinniśmy zrobić jako pracę końcową. Powinniśmy na żywo stworzyć trzy abstrakcyjne dzieła. Każde z nich byłoby innym oksymoronem. Jako pierwsze, ty malowałabyś głos, a ja grałbym ciszę. Drugie, ty malowałabyś złość, a ja grałbym szczęście. A jako trzecie, ty namalowałabyś miłość, a ja grałbym nienawiść. I mogłabyś tworzyć, używając patyków, kamieni i liści z lasu, stwarzając własną wersję Pollocka.

Obróciłam się do niego, nie mogąc przestać się uśmiechać.

Genialne.

Levi nie patrzył na mnie, tylko intensywnie wpatrywał się w obraz artysty.

– Podoba mi się sposób, w jaki pracuje twój umysł, Levi.

– Myślałem o pocałowaniu ciebie – wypalił, nadal patrząc na płótno. – Często o tym myślę. A potem czuję się źle, ponieważ przechodzisz przez trudny okres i, do diabła, ja też nie mam teraz lekko, i nie potrzebujesz wiedzieć, że myślę o całowaniu ciebie, bo to nieistotne. To nonsensowne, ale bardzo, bardzo prawdziwe. Choć to nie jest wszystko, o czym myślę.

– A o czym jeszcze myślisz?

– O tym, że masz czterdzieści dwa piegi na nosie i że chciałbym pocałować każdy przynajmniej czterdzieści dwa razy. O tym, że jako jedyna śmiejesz się z kiepskich matematycznych żarcików pana Jonesa, a ilekroć słyszę twój śmiech, również się śmieję. O tym, jak dotykasz swojego brzucha i uśmiechasz się, kiedy wydaje ci się, że nikt nie patrzy. To jakby twoja tajemnica, że to dziecko cię uszczęśliwia, ale zachowujesz ją dla siebie. Czuję się źle, gapiąc się wtedy, ponieważ wydaje mi się, że to twój sekret. A jednak wciąż mimowolnie to robię.

Z trudem przełknęłam ślinę i potarłam ręce, gdy ciągnął dalej:

– Myślę o tym, jaka jesteś piękna, kiedy jesteś smutna, i złościę się, kiedy jesteś zła. Nie podoba mi się to, że ktoś sprawił, iż nie można cię dotykać, ponieważ bardziej niż cię pocałować chciałbym móc cię tulić. Lubię cię, Ario. Wiem, że z wielu powodów nie powinienem nic do ciebie czuć, ale mam to gdzieś. Lubię cię i mam nadzieję, że to okej, ponieważ nie wiem, jak przestać. Nie proszę cię o nic. Przysięgam, nie. Po prostu proszę... nie postępuj pochopnie, to

wszystko.

Moje serce stanęło, zatańczyło, fiknęło koziołka i miałam ochotę wręcz krzyknąć z radości.

Levi przez chwilę milczał, po czym powiedział:

– Mam nadzieję, że podoba ci się prezent urodzinowy. Przykro mi tylko, że się z nim spóźniłem.

Jednak się nie spóźnił. Zrobił to na czas.

Nasze ręce spoczywały na ławce, gdy tak siedzieliśmy, patrząc na *Poszarzałą tęczę*.

Powoli przesunęłam mały paluszek w kierunku jego dłoni.

Powoli on przysunął do mnie swój.

Powoli, nerwowo i w ciszy zaczepiliśmy o siebie małe palce.

Tak, tak, tak.

Udało nam się dotrzeć na stację z zapasem dwóch godzin przed końcem lekcji. Oznaczało to, że po półgodzinnym spacerze ze stacji do naszego miasteczka będę mogła spędzić kolejne osiem godzin z Levim, pracując nad naszym projektem.

Przede wszystkim chciałam spędzić trochę czasu z nim.

Przebywanie w jego towarzystwie było jak znajdowanie się obok osoby, która widzi twoje bliźny i mówi, że są piękne, kiedy ty widzisz jedynie popełnione błędy.

– Wiesz, że twój brat w sobotę uczestniczył w bójce? – zapytał Levi.

– Mike? Tak, no cóż. Kiedy jest z kumplami, zawsze zachowują się jak idioci.

– Chodziło o ciebie – powiedział Levi, po czym zamilkł. – Ktoś nazwał cię dziwką, a twój brat dosłownie skopał mu dupę.

– Myślałam, że mnie nie znosi – szepnęłam, ruszając z miejsca.

– Wręcz przeciwnie. – Spojrzał pod nogi. – Masz spuchnięte stopy – powiedział, kiedy szliśmy w stronę Mayfair Heights.

– Nic im nie jest.

– Możemy zrobić przystanek – zaoferował. Nie zgodziłam się. – O, zanim zapomnę, proszę. – Zatrzymał się i rozpiął plecak. Wyciągnął trzy paczuski owinięte gazetą. – To dla ciebie, to dla Awokado...

– Mango – poprawiłam. – Teraz już jest wielkości mango.

– Co?! – Wyjął z plecaka długopis, skreślił słowo „Awokado” i zapisał „Mango”. – Musisz mnie na bieżąco informować o takich rzeczach, Art. Rany. Tak czy inaczej, to dla dziecka, to dla ciebie, a tym musicie się podzielić.

Otworzyłam tę wspólną i uśmiechnęłam się, gdy zobaczyłam nowego discmana i słuchawki.

W pozostałych dwóch były płyty ze składankami.

– Twoja ma więcej rapu, ale starałem się, by nie był wulgarny. Na płycie Mango jest sporo klasyki granej na skrzypcach. Możesz przytknąć słuchawki do brzucha, by dziecko posłuchało. Może dzięki temu wyrośnie na muzycznego geniusza.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? – zapytałam nieco zdezorientowana.

Nim Levi zdążył odpowiedzieć, za nami rozległ się głos:

– Co ty tu, do cholery, robisz?!

Obróciłam się i zobaczyłam tatę siedzącego w firmowej furgonetce. Jego twarz była

czerwieńsza niż kiedykolwiek.

– Tato! Co ty tu robisz?

– Co ja tu robię?! Dlaczego, do diabła, nie jesteś w szkole?!

Levi zrobił krok w przód.

– Przepraszam, panie Watson, to moja wina... ja...

Tata zatrzymał się na środku drogi, otworzył drzwi i ruszył w naszym kierunku.

– Oczywiście, że musiałeś ją gdzieś wyciągnąć, gówniarzu. Nie zbliżaj się do mojej córki.

– Tato! – krzyknęłam, widząc, jak zbliża się do Leviego. – To nie jego wina, ja...

– Mówiłaś, że dzieciak nie jest jego! – wrzasnęła na mnie tata, zaciskając pięści. –

Przysięgam na Boga, że jeśli ponownie złapię cię z moją córką, dopilnuję, żebyś poszedł siedzieć.

– Proszę pana – powiedział Levi, unosząc ręce w geście poddania, ale tata na to nie zważał.

– Wsiadaj do samochodu, Aria – polecił. Złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

– Aua, tato! Puść mnie! – krzyknęłam. Levi odruchowo zrobił krok w przód, a tata zwolnił chwyt.

– Zrób jeszcze jeden krok, a pożałujesz tego, chłopcze. Aria, do samochodu.

Natychmiast! – Otworzył drzwi od strony pasażera i zmusił mnie, bym wsiadła. W ciągu kilku sekund wskoczył za kierownicę i pognął ulicą, zostawiając Leviego w oddali.

– Co się z tobą dzieje?! – załkałam, uderzając w jego sztywne ramię. – Nie wierzę, że zrobiłeś coś takiego!

– Nie wierzysz w to, co ja zrobiłem?! Uważaj, Aria, bo jesteś bardzo blisko...

– Czego?! Wkurzenia cię? Sprawienia, byś mnie ignorował? Nienawidził? Bo jestem pewna, że już to wszystko zrobiłam. Popełniłam jeden błąd, pierwszy w całym życiu, a ty zdecydowałeś się mnie wyprzeć?!

Nadal kurczowo ścisnął kierownicę.

– Zatem tak to widzisz? Dlatego wagarujesz, wyjeżdżasz z miasta z jakimś opryszkiem i zachowujesz się jak pięciolatek? Dlatego, że się do ciebie nie odzywałem?! Jezu. Dorośnij.

Łzy spłynęły mi po twarzy, gdy krzyknęłam:

– On nie jest opryszkiem!

– Gówno prawda, znam jego ojca. Wiem, co za gnojek może pochodzić z domu Kenta Myersa. Do tego James powiedział mi, jak ten dzieciak odnosi się do ciebie w szkole! – Co?! – To są śmiecie, nie ludzie, więc nie chcę cię widzieć w pobliżu tego chłopaka. A jeśli to do ciebie nie dotarło, to powiem wprost: nie wolno ci się umawiać na randki, Ario!

Do końca drogi milczał, a ja nie potrafiłam zatamować potoku łez.

Kiedy wjechaliśmy na nasz podjazd, wybiegłam z furgonetki.

– Nienawidzę cię! – wrzasnęłam przez łzy, po czym popędziłam do domu i wpadłam na zdezorientowaną mamę trzymającą na rękach KitKat.

– Co się tu u licha dzieje? – zapytała. – Aria, co ty tu robisz?

Zignorowałam ją i pobiegłam do siebie. Trzasnęłam drzwiami. Pospiesznie napisałam do Leviego, by upewnić się, że wszystko z nim w porządku, ale nie odpisał. Nawet zza zamkniętych drzwi i przy dźwiękach własnego szloch słyszałam kłótnię rodziców.

– Co się dzieje, Adamie? Co robisz z Arią?

– Złapałem ją na wagarach z tym dzieciakiem.

– Jakim dzieciakiem?

– Synem Kenta Myersa! Przysięgam na Boga, że zabiję ich obu, starego też.

Nadal się kłócili – ponownie: mama mówiła tacie, że ten musi się uspokoić, a tata

krzyczał, że mama musi przestać mnie niańczyć.

– Jeśli jeszcze raz zobaczę tego gówniarza w pobliżu Arii, to niech mnie ręka boska...

– Adamie, zachowujesz się niedorzecznie!

– Nie, Camilo. Musisz przestać. Dobrze wiesz, co myślę o tym śmieciu. Mam już dość tego, że zachowujesz się tak, jakby to, że nasza córka jest w ciąży, nie miało znaczenia!

– Wiem, że ma to znaczenie. Zajmowałam się nią, kiedy ty wymyślałeś wymówki, by nie wracać do domu, i szukałeś powodów, by na nią nie patrzeć. Nie przyjechałeś nawet na jej urodziny.

Nie przestawali przez godzinę. Aż dziw, że nie ochrypli.

– Nieważne. Muszę zawieść Arię do terapeuty, nim pojedę do pracy.

– Tak, bo to się świetnie sprawdza. Kto przypilnuje KitKat, kiedy ciebie nie będzie? Ja też muszę wracać do pracy. Przez ten syf jestem spóźniony z robotą.

– Zabiorę ją ze sobą, dobrze? A ty rób, co potrafisz najlepiej, po prostu zniknij.

Trzasnęły drzwi i w domu zapadła cisza.

– Aria, zabieram KitKat do samochodu, czekam na ciebie.

Otarłam oczy i pospieszyłam na dół.

– Mamo, przepraszam. Mogę wyjaśnić...

Nie chciała mnie słuchać.

– Dzisiaj po twoim spotkaniu musimy się pospieszyć, Ario – powiedziała, kiedy wsiadłam i zapięłam pas. – Mam zmianę w szpitalu, a tata powiedział, że musi pracować do późna, więc będziesz musiała popilnować sióstr, ponieważ Mike ma trening. – Mówiła dalej, dlaczego muszę posiedzieć z Grace i KitKat, ale nie słuchałam. Wiedziałam, że jest na krawędzi załamania, ponieważ ciągnęła się za ucho, a ja wiedziałam, że to przeze mnie. – Nie chciałam, byś musiała się nimi zajmować, bo wiem, że jesteś zmęczona, ale tak wiele się dzieje, a twój ojciec tego nikomu nie ułatwia. I wagary, Ario? Serio? To przecież... To nic dobrego. Do tego muszę wypełnić dokumenty, żebyś w przyszłym semestrze mogła się uczyć w domu, muszę jechać na zakupy i upiec ciasteczka na zajęcia dla Grace, muszę umówić cię z ginekologiem i, i, i...

Wzięła głęboki wdech, po czym skryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Nigdy nie widziałam, by płakała. Było coś przerażającego i rozdzierającego w obserwowaniu, jak odwieczna superwoman rozpada się na kawałki. Odpięłam pas, przysunęłam się i objęłam ją.

Czasami łatwo było zapomnieć, że dorośli to dzieci w większych ciałach i że ich serca łamią się dokładnie tak samo, jak nasze.

ROZDZIAŁ 23

Levi

Odrzewałem ojcu zupę, gdy rozległo się pukanie. Wszedłem do salonu, kiedy tata otworzył drzwi. Na progu stał pan Watson. Podeszedłem pośpiesznie.

– Trzymaj swojego gówniarza z dala od mojej córki – nakazał pan Watson.

Tata popatrzył na mnie zdeorientowany, nim zamrugał i z przebiegłym uśmiechem obrócił się do gościa.

– Adamie, lepiej będzie, jeśli wyniesiesz się w cholerę z mojej posesji.

– Mówię serio, Kent. Wiem, jak żyjesz i nie widzę potrzeby, żeby moja córka się w to angażowała.

– Masz na myśli swoją ciężarną córkę? – Uśmiechnął się tata. – Wygląda na to, że wpadła w kłopoty bez pomocy mojego syna. A teraz wypieprzaj z mojego domu.

Pan Watson oddychał pośpiesznie, wypuszczając powietrze przez usta. Popatrzył na mnie.

– Mówię poważnie. Odwal się od mojej córki.

– Tak, tak, tak. – Zaśmiał się tata. – Pozdrów ode mnie Camilę.

– Ani słowa o mojej żonie.

– Dlaczego nie? Ona o mnie nie mówi? – drwił tata.

Pan Watson pokazał tacie środkowy palec i poszedł do furgonetki, po czym odjechał. Tata przestał się śmiać, kiedy na mnie spojrzał.

– Dlaczego, u diabła, włóczęsz się po mieście z ciężarną dziewczyną?

– Przyjaźnię się z nią.

Na jego czole pojawiła się zmarszczka.

– Bądź realistą, dzieciaku. Daj sobie z nią spokój, dobrze? Camila i tak ma już aż nadto na głowie i nie potrzebuje, by ten fajfus robił jej afery, ponieważ mój głupi syn lubi ciężarne laseczki. Zostaw ją, zrozumiałeś?

– Ale...

– Powiedziałem, zostaw ją! – nakazał.

– Dobra.

Mamrotał pod nosem, przechodząc koło mnie:

– I przestań oglądać te cholerne komedie w holu. W salonie jest wystarczająco dużo miejsca.

Nie wiedziałem, jak zareagować. Po raz pierwszy tata zaprosił mnie do wspólnego oglądania filmów, ale jednocześnie nakazał mi zerwać kontakt z Arią. Wygrałem, przegrywając.

Kiedy siedzieliśmy w salonie, tata oznajmił, że zamienił swój stary samochód na inny, z automatyczną skrzynią biegów. Wręczył mi dodatkowe kluczyki i powiedział, że czasami mogę go używać. Zacząłem się zastanawiać, czy to nie forma przeprosin za to, że zrezygnował z chemioterapii. Jeśli tak, wołałbym, żeby zabrał sobie te kluczyki.

ROZDZIAŁ 24

Aria

Czasami rodzice patrzyli na mnie, jakby w oczekiwaniu, że wyznam, że noc spędzona z Jamesem była wypadkiem nie z mojej winy, że nie miałam w tej kwestii nic do powiedzenia. Jednak miałam. Pozwoliłam, by nieustannie mnie dotykał. Zgodziłam się, by mnie bez przerwy całował, czując się tak, jakby był jedynym, którego pragnęłam i potrzebowałam.

Ale on przestał mnie całować. Każdego ranka odtwarzałam sobie to wspomnienie, stojąc przed lustrem w łazience i dotykając brzucha.

Czasami patrzyłam w swoje odbicie, próbując wmówić sobie, że ta noc była wypadkiem, że nie miałam nic do powiedzenia. Ale miałam. Pragnęłam go.

I przez kilka minut głupio myślałam, że on też mnie pragnie.

Doktor Ward miał dzisiaj w miseczce kolorowe i miękkie owocowe cukierki, co było znacznie lepsze niż czarna lukrecja.

– O czym myślisz, Ario?

– O Salvadorze Dalim. Salvador znany jest z obrazu, na którym namalował rozplywające się zegary, *Trwałość pamięci*. Wie pan, że miał brata, który zmarł dziewięć miesięcy przed jego narodzinami? Brat również miał na imię Salvador. Rodzice dali mu imię, by uczcić zmarłego członka rodziny. Czy to nie szalone? Wierzyli, że Salvador był reinkarnacją swojego brata. A on sam mówił: „Mój brat był jedynie pierwszą wersją mnie samego, poczętą na zbyt niedostępnych wyżynach absolutu”. Niech pan sobie wyobrazi tę presję. Nigdy nie móc żyć własnym życiem.

– Czujesz presję, Ario? Czujesz, że zawiodłaś rodziców?

Zamrugalam, przypominając sobie ich kłótnię, która odbyła się niecałą godzinę temu.

– Czy istnieje jakaś granica?

– Granica czego?

– Rodzicielskiej miłości. Czy istnieją różnego rodzaju błędy, przez które rodzice mogą przestać kochać swoje dziecko? Na przykład dzieciak zaczyna brać narkotyki lub jest skłonny do przemocy. Lub nie uczy się, chodzi na wagary. Lub...

– Zachodzi w ciążę.

– Tak. Czy to granica miłości?

– Twoi rodzice nadal się o ciebie bardzo troszczą – powiedział doktor Ward.

– Ale to nie to samo. Wcześniej tata co wieczór zaglądał do mojego pokoju i opowiadał o jakichś wydarzeniach sportowych, o których nie miałam zielonego pojęcia. Wtedy ja mówiłam mu coś o sztuce, o czym on nie miał pojęcia, następnie całował mnie w czoło i wychodził.

– A teraz?

– Teraz te wspomnienia coraz bardziej się rozmywają.

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytał.

– Nie.

Nie naciskał na szczegóły. Zaczynałam go za to lubić.

Wróciłam do domu i sprawdziłam, czy Levi mi odpisał.

Levi: PRZEPRASZAM, ŻE NAROBILEM CI KŁOPOTÓW.

Ja: W PORZĄDKU. TO NIE BYŁA TWOJA WINA.

Nie odpisał aż do kolacji.

Levi: LEPIEJ BĘDZIE, JEŚLI NIE BĘDIEMY ROZMAWIAĆ POZA LEKCJAMI SZTUKI. NIE CHCĘ DENERWOWAĆ TWOJEJ RODZINY.

Ja: CO? TO GŁUPIE.

Levi: PRZYKRO MI, ART.

Ja: NIE MOŻESZ ZERWAĆ PRZYJAŹNI Z CIĘŻARNĄ DZIEWCZYNĄ PRZEZ SMS-A PO TYM, JAK WYZNAŁEŚ, ŻE JĄ LUBISZ. TO PODŁE. I GŁUPIE.

Nie odpisał aż do kąpieli KitKat.

Levi: WIEM. PRZEPRASZAM.

I tyle? „Przepraszam”?

Ja: WYSŁAĆ CI ZNACZENIE SŁOWA „DUPEK”?

Nie odpisał.

ROZDZIAŁ 25

Levi

Następnego ranka na przystanku autobusowym Aria na mnie nie patrzyła, wyjaśniła mi jednak, co oznacza słowo „dupek”.

– Dupek: głupia, okrutna lub mająca pogardliwy stosunek osoba. Tak mówię, gdybyś nie wiedział.

Wiedziałem.

Tuż przed lunchem Simon poinformował mnie, że zapewne powinienem usiąść przy innym stoliku, ale powiedział też, że może ze mną rozmawiać na WF-ie. Westchnąłem, wziąłem tacę i znalazłem pusty stolik na tyłach stołówki.

Usiadłem w kącie i zjadłem okropny posiłek.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Abigail, gdy do mnie podeszła. – Zatrzymałam się przy Simonie i Arii, ale powiedzieli, że już z nimi nie jadasz.

– Tak.

Usiadła obok.

– Jeśli chcesz, mogę posiedzieć z tobą kilka dodatkowych minut. Jutro zapewne też kilka wyczaruję.

Uśmiechnąłem się.

– Dzięki, Abigail.

– Nie ma sprawy. – Popatrzyła na swoje dłonie. – Dlaczego nie powiedziałeś Simonowi czy Arii o moim raku?

– Dlaczego pytasz?

– Wiem, że mnie widziałeś w szpitalu dzień przed tym, kiedy poprosiłeś, bym z wami usiadła.

– A, tak. Nie wiedziałem, czy mam prawo do dzielenia się tą informacją.

– Ale to dlatego zawołałeś mnie, bym z wami usiadła, prawda? Ponieważ zrobiło ci się mnie żal?

– Nie. Zaprosiłem cię, ponieważ przez twój uśmiech wszyscy wokół są szczęśliwi.

Postukała palcami w stół.

– Kiedy do mnie pomachałeś, właśnie szłam do łazienki, by sobie popłakać, ponieważ nie był to mój najlepszy dzień. Więc... dziękuję.

– Polecam się na przyszłość.

Potarła dłońmi ramiona i spojrzała przez stołówkę na stolik, przy którym zwykle jadaliśmy.

– Simon jest na mnie zły? Nie chce ze mną rozmawiać ani nawet na mnie patrzeć.

Była szczerze zaskoczona nagłym dystansem Simona.

– Podobasz mu się, Abigail.

– Och, wiem. On też mi się podoba – powiedziała, jedząc kanapkę.
– Nie, mam na myśli, że podobasz mu się, bo cię naprawdę lubi.
– Ja też go naprawdę lubię. – Uniosła brwi. – Myślałam, że to jasne. Dałam mu dodatkowy woreczek ciastek.
– Ale nie chciałaś się z nim umówić.
– Nie chciałam.
– Dlaczego?
– Ponieważ dziewczyny w mojej sytuacji nie mogą mieć chłopaków. – Zmarszczyła brwi. Siedziała ze mną dłużej niż kiedykolwiek. – Chociaż za jakiś tydzień wszystko się pozmienia – mruknęła bardziej do siebie, nim powiedziała głośniej: – Tym razem też powinnam mu upiec ciasteczka?

ROZDZIAŁ 26

Aria

– Trzymaj się z daleka od mojego życia! – powiedziałam teatralnym szeptem do Jamesa, kiedy podeszłam do jego szafki. Nie mogłam uwierzyć, że nie tylko miał czelność grozić Leviemu na imprezie, lecz także że nakłamał mojemu tacie na jego temat, jakby go znał. – I nie wtrącaj się w sprawy Leviego. On nic ci nie zrobił.

– Przepraszam – szepnął, rozglądając się po korytarzu i upewniając się, że nikt na nas nie patrzy. – Przepraszam, że dbam, by nie kręcił się obok ciebie byle kto.

– Przestań, James. To nie twoja sprawa. Nie masz prawa mówić mi, z kim mogę rozmawiać. Nadine jest twoją dziewczyną. Nie ja. A ty tylko wkurzasz ciężarną laskę.

Wyciągnął rękę, by złapać mnie za ramię, ale się odsunęłam.

– I serio? Jestem dla ciebie jak siostra? Bo to bardzo niepokojące i obleśne – wytknęłam z sarkazmem.

– Już jej nie kocham – wypalił, przez co poczułam ucisk w żołądku.

– James...

Staął przede mną.

Odsunęłam się.

– Zawsze o tobie myślę. Robię to nawet, kiedy nie powinienem. Kiedy jestem z nią, to mam przed oczami ciebie.

– Zapewne dlatego, że czujesz się winny w stosunku do niej.

– Nie. – Pokręcił głową. – To znaczy tak, ale nie o to chodzi. Myślę tylko, że ona i ja...

– Niech zgadnę, nie dogadujecie się? Gdybym dostawała centa za każdym razem, gdy to słyszę...

– Aria, chcę ci pomóc. Chcę ci jakoś ulżyć. To niesprawiedliwe, że sama musisz przez to przechodzić, więc pomyślałem, że pomogę.

– Dobra. To powiedz wszystkim w szkole, że jesteś ojcem – rzuciłam.

Zacisnął usta. Zaraz zwiesił głowę.

Tak właśnie myślałam.

– Zostaw mnie w spokoju, okej?

Skinął głową.

– Ale mówiłem prawdę. Już jej nie kocham.

– Kogo kochasz, a kogo nie, to nie jest moja sprawa. Tak jak Levi nie jest twoją.

Zostawiłam go oniemiałego. Chciałabym, by ojcem dziecka był jakiś nieznajomy. Codzienny widok Jamesa mieszał mi w głowie.

Zastanawiałam się, jak można się odkochać. James sprawiał wrażenie, że to było całkiem proste. Ale czy miało na to wpływ pojedyncze wydarzenie, które zmieniało bieg uczuć, czy raczej milion denerwujących drobnostek, które narastały z czasem? Ostatnio mama z tatą nieustannie się kłócili, ale starałam się w to nie wnikać. Zakochanym ludziom czasami zdarzają się sprzeczki.

Za każdym razem, gdy któreś z dzieci nakrywało ich na tym, milkli. Rozmawiali później o jakichś przyziemnych rzeczach, o pogodzie czy polityce. Udawali szczęśliwych zawodowo, nawet jeśli wszyscy inni wiedzieliśmy, że jest inaczej. Kiedy wychodziliśmy z pomieszczenia, kłótnia wybuchała na nowo.

Jednak pewnego dnia nastąpiła zmiana. Kłótnie ustały. Oboje się zmęczyli. Czasami szeptali do siebie, a czasami się mijali, jakby to drugie nie istniało.

Zatęskniłam za kłótniami.

– Przeczytałem coś interesującego – powiedział doktor Ward, rozpierając się w fotelu. Zaskoczyła mnie zmiana w naszym spotkaniu.

– Gdzie miseczka z cukierkami? – zapytałam.

– Och. Nie ma dzisiaj cukierków.

Nie podobało mi się to. Nie lubiłam zmian. Długopisy na jego biurku nie były już niebieskie. Były czerwone. To też mi się nie podobało. Kanapa miała nowe żółte poduszki. Jego gabinet był taki sam, a jednak... inny.

– Jak już mówiłem – ciągnął dalej. *Nie. Miał pan powiedzieć tylko dwie rzeczy.* – Po naszej ostatniej rozmowie poszukałem wiadomości na temat Salvadora. Stworzył obraz, który nazwał *Portret mojego zmarłego brata*. Wiesz, że to tak naprawdę pop-art?

Oczywiście, że o tym wiem.

– Oczywiście, że o tym wiesz. W każdym razie, Salvador powiedział coś, co mnie poraziło. „Każdego dnia zabijam wizerunek mojego biednego brata... Morduję go regularnie, ponieważ »Boski Dali« nie może mieć nic wspólnego z tym wcześniejszym ziemskim bytem”.
Interesujące, co?

Przesunęłam się na fotelu, niezbyt zachwycona tym cytatem.

– Proszę mnie zapytać, o czym myślę – poleciłam.

Pokręcił głową.

– Nie dzisiaj.

Dlaczego? Dlaczego akurat dzisiaj musiał stwarzać takie problemy? Dlaczego musiał niszczyć normalność, którą wypracowaliśmy?

Dlaczego wszystko musi się zmieniać?

– Jesteś w mniej więcej szesnastym tygodniu ciąży, tak?

Do oczu nabiegły mi łzy, ponieważ on mnie widział, mimo że bardzo starałam się być niewidzialna.

– W siedemnastym.

– Nie jesteś tą samą osobą, którą byłaś kilka miesięcy temu, prawda? Tamta dziewczyna odeszła, mam rację?

Znów skinęłam głową.

– Ale może to dobrze. Może to w porządku nie być osobą, którą myśleliśmy, że mamy

być. Może okej jest być osobą, którą jesteśmy teraz, i trzeba to zaakceptować.

– Ale nawaliłam. Spieprzyłam przyszłość mojej rodziny.

– Problem z przyszłością, a nawet z przeszłością polega na tym, że one teraz nie istnieją.

Jeśli zbyt mocno skupimy się na tym, co było, lub zbyt intensywnie będziemy myśleć o tym, co będzie, przegapimy nasze obecne pragnienia, rzeczy, które chcemy tu i teraz.

Pierwszy raz rozplakałam się w jego gabinecie, załamując się, że już nie byłam tą samą osobą co kiedyś. Byłam kimś nowym, kimś, kogo nie kochał tata i nad kim litowała się mama; osobą, która zbyt martwiła się o przyszłość.

Doktor Ward podał mi chusteczki, więc wydmuchałam nos.

Skrzyżował ręce na piersi, przyglądając się mojemu załamaniu.

– Czego chcesz, Ario? – zapytał.

– Co?

– Czego chcesz? – powtórzył, jakby to było najprostsze na świecie pytanie.

Rozplakałam się jeszcze bardziej, ponieważ wiedziałam, czego chcę, ale sądziłam, że zrobi to ze mnie okropną osobę.

Chciałam urodzić to dziecko.

Ale nie chciałam go zatrzymać.

– Jak spotkanie? – zapytała mama, wyjeżdżając z parkingu doktora Warda.

– Straszne – jęknęłam. – On jest koszmarny. Nigdy nie chcę do niego wracać.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się i skinęła głową. – Dobrze, dobrze, dobrze. Cieszę się, że masz z kim porozmawiać.

Ja też.

ROZDZIAŁ 27

Levi

Nie rozmawiałem z Arią i z Simonem od tygodnia. Kiedy pracowałem z nią nad naszym projektem, starała się używać wyłącznie koniecznych słów. Była zimna, wycofana. Tak naprawdę zauważyła mnie dopiero w piątek.

– Co się dzieje? – zapytałem, podchodząc do Simona, Abigail i Arii.

– Abigail – szepnęła Aria z przerażeniem. – Nie... nie rusza się.

Spojrzałem na Abigail i przez moment nie uwierzyłem, że to Abigail. Miała na sobie jeansy i zwykłą czarną opiętą koszulkę. I nie miała szpilek, tylko tenisówki.

– Abigail? – zapytałem, machając ręką przed jej twarzą. Jej krystaliczne błękitne oczy były szeroko otwarte, ale nie potrafiłem rozczytać jej miny. – Co się dzieje?

– Nie odzywa się. Żadnego ruchu ani słowa – wyjaśnił Simon. – Zepsuła się.

Rozbrzmiał dzwonek, po którym wszyscy rozeszli się do klas, na korytarzu zostaliśmy tylko my. Zrobiło się cicho. Abigail ani drgnęła.

– Nigdy nie spóźniała się na lekcje. – Aria zmarszczyła brwi. – A teraz zamarła i się nie odzywa.

Abigail zamrugła.

Wytrzeszczyliśmy oczy, poruszeni przez ten niewielki ruch.

– Urządzam dzisiaj imprezę. Chciałam was zaprosić – powiedziała Abigail, po czym odeszła powoli.

Powoli.

Bez pośpiechu.

Normalnym, spacerowym tempem.

Co, do diabła?

Pojawiliśmy się pod domem Abigail w tym samym momencie, a kiedy zapytałem Arię, czy nadal jest na mnie zła, odparła, bym się do niej nie odzywał, więc wziąłem to za „tak”.

– Po prawdzie sam nie wiem, dlaczego przyszedłem. Nadal jestem zirytowany odmową Abigail, która odrzuciła mnie bez podania przyczyny – powiedział Simon, poprawiając krawat. To, że miał go na sobie, sugerowało, że mimo iż nadal był wkurzony, zależało mu na tym, co pomyśli o nim dziewczyna. – Ale musiałem się przekonać, jaka będzie ta impreza, bo to wydaje się... dziwaczne.

Aria zadzwoniła do drzwi, kiedy Simon chował i wyciągał ostatni guzik koszuli z za paska jeansów.

Otworzyła nam kobieta o blond włosach i niebieskich oczach, identycznych jak u Abigail.

– Cześć! Musicie być przyjaciółmi Abigail. Tyle o was słyszałam! – Uśmiechnęła się promiennie i zaprosiła nas do środka. – Jestem jej mamą, mam na imię Nancy. Wejdźcie! Właśnie przygotowywałyśmy gry i inne takie. Bardzo się cieszymy, że przyszlście!

Podążyliśmy za nią do wielkiego salonu, gdzie u sufitu fruwały balony, a kilkoro ludzi podobnych do Abigail siedziało, śmiało się i jadło przekąski. Niektórzy nawet tańczyli. Energia tego miejsca była wybuchowa. Nad kominkiem wisiał plakat: „Impreza WoR Abbi!”

Abigail podeszła do nas, nadal dziwnie normalnym tempem i nadal ubrana w normalne rzeczy. Uśmiechnęła się szeroko.

– Hej! Dzięki, że przyszlście. Chodźcie, zostawcie kurtki w moim pokoju.

Popatrzyliśmy po sobie, ale zrobiliśmy, jak mówiła, i poszliśmy za nią do jej sypialni. Na ścianach wisiały te same pozytywne cytaty, którymi codziennie nas zasypywała.

– Rzućcie kurtki na łóżko. Możemy iść...

– Czekaj – przerwał jej Simon. – Co to dokładnie jest impreza WoR?

Abigail popatrzyła na Simona i nonszalancko wzruszyła ramionami.

– Impreza z okazji wyzwolenia od raka.

– Dlaczego u licha miałabyś organizować... – Simon spuścił głowę, po czym pokręcił nią kilkakrotnie. – Że co?

– Abigail, masz raka? – wypaliła Aria, wytrzeszczając oczy w konsternacji.

Tylko ja już o tym wiedziałem, jednak z powodu zszokowanych min Arii i Simona ścisnął mi się żołądek.

– Miałam. Aż kilka dni temu dowiedzieliśmy się, że już...

– Co, do cholery?! – wykrzyknął spięty Simon. Zacisnął dłonie w pięści. – Co, u licha ciężkiego, masz na myśli, mówiąc, że miałaś raka?!

Był wściekły, sekundy dzieliły go od utraty kontroli.

– A jakie to ma znaczenie? – zapytała Abigail, unosząc brwi. – Dlaczego tak cię to wkurzyło? Wyzdrowiałam.

Simon prychał i fukał, pocierając kark.

– Prawda. Zatem myślisz, że wszystko jest okej? Uważasz więc, że to, jak dowiedzieliśmy się, że byłaś chora, ponieważ zaprosiłaś nas na pieprzoną imprezę z powodu wyzwolenia od raka do domu przystrojonego żółtymi i fioletowymi balonami, jest w porządku?!

– To moje ulubione kolory – wyjaśniła Abigail, mrugając gwałtownie. – Nie rozumiem, co cię tak złości. Zaprosiłam was na imprezę.

Zakrył usta dłonią, po czym opuścił ją gwałtownie i wykrzyknął:

– Jakie to, cholera, taktowne! – Wybiegł z pokoju, kopiąc kilka balonów, które opadły na podłogę.

Pospieszyłem za nim, by sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.

Nie było. Stał w salonie z jej rodziną, depcząc tak wiele balonów, jak to tylko możliwe.

Posłałem Abigail sztywny uśmiech, złapałem Simona za rękę i wyciągnąłem na zewnątrz.

Znaleźliśmy się na ganku, gdzie Simon zaczął chodzić w kółko, krzycząc, jakby nadal klócił się z Abigail:

– Jak możesz być tak cholernie egoistyczna?! – wydierał się. – Impreza z okazji wyzwolenia od raka, kiedy nikt nie wiedział, że go miałaś?!

– Si – powiedziałem, łapiąc go za ramię. Pospiesznie obrócił się do mnie.

– Możesz w to uwierzyć?! Jak można zrobić coś takiego?! – Oddychał płytko i szybko, po czym wrócił do chodzenia po ganku.

– Abigail jest zdrowa. Raka wyleczono.

– A co, jeśli by nie była?! – jęknął i usiadł na najwyższym stopniu. Potarł palcami brwi, po czym powiedział, patrząc przed siebie: – A co, jeśli by nie wyzdrowiała? Nie rozumiesz. Jednego dnia moja siostra była z nami, a kolejnego jej nie było. Tak samo miałyby być z Abigail? Weszlibyśmy do szkoły, spodziewając się, że przy lunchu usłyszymy jakiś przypadkowy cytat jakiegoś starego faceta, ale ona by się nie pojawiła? Po czym dyrekcja ogłosiłaby przez głośniki, że nasza koleżanka zmarła przedwcześnie z powodu przegranej walki z rakiem? Rany! Jak ona mnie wkurzyła!

Usiadłem obok niego i również popatrzyłem przed siebie. Siedzieliśmy tak, aż Simon uspokoił oddech i stłumił gniew. Zdjął okulary i wyczyścił je brzegiem koszuli, po czym stwierdził:

– To dziwne, że codziennie krocysz wśród ludzi, o których nic nie wiesz.

– Miałam się nie zatrzymywać – powiedziała Abigail, stając w drzwiach. – Nikt z tobą nie rozmawia, kiedy jesteś dziwną dziewczyną, która śmiesznie się ubiera. Miałam się nie zatrzymywać, przechodząc dzień za dniem, nigdy nie odpoczywając, nie zatrzymując się, by coś zauważyć. Ponieważ kiedy coś zauważasz, orientujesz się, jak bardzo ci tego brakuje, a kiedy to sobie uświadamiasz, robisz się smutny, bo umierasz i tak wiele przegapisz. A kiedy jesteś smutny, popadasz w depresję, a walcząc z rakiem, musisz pozostać pogodny, ponieważ twoi rodzice i tak za często płaczą, a ty już i tak czujesz się źle, więc powtarzasz sobie, by się nie zatrzymywać, zając się czymś, walczyć, jednak nie możesz nikogo wpuścić do swojego maleńkiego świata, ponieważ nie potrzebujesz nikogo więcej, kto by był przez ciebie smutny. Jednak w drodze do łazienki popełniłam błąd, dostrzegłam Arię ściągającą śmieci z szafki i zauważyłam, że była smutna. Więc się zatrzymałam. Nawet jeśli miałam się nie zatrzymywać. – Spojrzała na Simona i powiedziała cicho: – A wtedy dostrzegłam i ciebie.

Simon nie patrzył na dziewczynę, odkąd pojawiła się na ganku. Gapił się na swoje tenisówki, wielokrotnie stukając stopą o schodek.

– Simon – szepnąłem.

Skinął głową.

– Wiem.

Wstał, rozluźnił ramiona i podszedł do Abigail. Rozchyliła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale Simon przycisnął wargi do jej warg, nie dając jej dojść do słowa. Z początku Abigail była oszołomiona nagłym zachowaniem Simona, jednak zajęło jej zaledwie kilka sekund, by odwzajemnić pocałunek.

Dobra robota, Simon.

Ulga zalała Abigail, gdy dziewczyna uświadomiła sobie, że oszukała śmierć. Życie zaczęło z niej tryskać. Zupełnie inaczej się śmiała. Cała była inna.

Tamtej nocy wszyscy tańczyliśmy w salonie, podrzucając balony, jedząc tort i głośno się śmiejąc. Wszyscy byliśmy utworami na ścieżce dźwiękowej życia Abigail, tętniącą energią tworząc atmosferę radości, szczęścia i nadziei na jutro.

Obserwowałem Arię obracającą się z Abigail i chichoczącą jak dziecko, ale kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, ścisnęło mnie w piersi. Jej uśmiech zbladł.

Rozchyliła usta i popatrzyła na mnie; dostrzegłem w jej oczach wyrzuty sumienia.

Z mojej strony nie byłoby fair, gdyby ktoś się nade mną litował z powodu sytuacji mojego taty, kiedy Abigail była taka szczęśliwa. Nie powinienem być tak samolubny.

Ale prawdę mówiąc, czułem się okropnie.

Pospieszyłem do łazienki, by złapać oddech.

– Nic mi nie jest – powiedziałem, widząc w drzwiach Arię. Weszła do łazienki i zamknęła je za sobą.

– Tak bardzo mi przykro – powiedziała.

– Cieszę się z jej powodu. – Skinąłem głową. – Naprawdę, tylko... w głębi duszy chciałbym, by była to impreza na cześć mojego ojca. – Założyłem ręce za głowę. – Nie powinniśmy rozmawiać.

– Jedną minutę, Levi.

Zamarliśmy na sześćdziesiąt sekund.

Policzyłem wszystkie.

Czas zleciał szybciej, niż bym tego chciał.

Minutę później musieliśmy wrócić do miejsca, gdzie nie rozmawialiśmy, gdzie udawaliśmy, że nie czujemy tego, co czuliśmy. Aria obróciła się, wyszła z pomieszczenia, dając mi kilka chwil, bym mógł uporać się z rozczarowaniem.

Świat nie miał sensu i to było bardzo niesprawiedliwe. Życie było dla jednych łaskawe, podczas gdy inni musieli mocno walczyć, by utrzymać się na powierzchni. Byłem świadkiem rozpadu rodziny, ponieważ na ziemi miało pojawić się nowe życie, podczas gdy ich sąsiedzi nie mogli mieć dzieci. Przyglądałem się, jak jedna rodzina świętuje zwycięstwo nad rakiem, podczas gdy ta sama straszna choroba odbierała mi przyszłość z tatą. Świat był brzydki i okrutny, przepelniony nienawiścią, smutkiem i rozpaczą. Ale Aria? Sprawiała, że bezsensowny świat nabierał sensu.

Była tęczą w mojej niekończącej się burzy.

ROZDZIAŁ 28

Aria

– W osiemnastym tygodniu ciąży mogę poznać płeć dziecka. Jest już wielkości batata, całkiem spore. Ale poczekam, bo chciałabym, żebyście przy tym byli. Chciałabym, byście wzięli to dziecko – powiedziałam drżącym głosem, stojąc przed mamą Simona, Keirą, w ich salonie. Ona, zszokowana, patrzyła wielkimi oczami na trzymane w dłoni dokumenty. Miałam spoczone ręce. Nie byłam pewna tego, co robię, ale postanowiłam posłuchać serca. Wydawało mi się niesprawiedliwe, że byłam w ciąży, podczas kiedy oni nie mogli mieć dzieci. Nie wydawało mi się właściwe, by mój przyjaciel czuł się nie dość dobry, by być ich synem, z powodu błędu, który popełnił, będąc dzieckiem. Zdawałam sobie sprawę, że problemy Simona z grupowaniem wszystkiego czwórkami wynikają z brakującego elementu w układance ich rodziny.

– Ario – powiedziała Keira, kręcąc głową. Odłożyła dokumenty na stolik i złapała się za serce. – To bardzo miło z twojej strony, kochanie, ale...

– Ale co? Będziecie mogli je zatrzymać, przysięgam.

– Skarbie – zaczęła, kładąc rękę na moim policzku, po czym założyła mi włosy za ucho. Dotykała mojej twarzy tak, jak robią to matki. – To bardzo miłe – powtórzyła. – Jestem pewna, że Simon powiedział ci o naszych problemach, ale nie musisz brać ich na siebie, kochanie. Jest naprawdę w porządku.

– Proszę pani, naprawdę chcę, byście zostali jego rodzicami. Nie kierują mną hormony i nie robię tego, bo mi was żal. Staram się jedynie zrozumieć, dlaczego mnie to spotkało i co to oznacza. Myślę... – Zadrżał mi głos. – Wiem, że powinnam oddać wam to dziecko.

Łzy nabiegły jej do oczu.

– A co na to twoja mama?

– Jeszcze jej nie powiedziałam. Najpierw chciałam porozmawiać z wami.

– A co z jego ojcem? – zapytała.

Pokręciłam głową. James nie chciał dziecka w swoim życiu. Udowodnił to już, gdy Nadine była w ciąży.

– Nie musicie się martwić. Naprawdę. Jeśli je chcecie, jest wasze. Niczego bardziej nie pragnę niż tego, by miało kochających rodziców.

Mama Simona zakryła ręką usta, kiedy nie udało jej się zapanować nad łzami. Skinęła jedynie głową. Moje serce fiknęło koziołka. Zgodziła się.

– Będziemy musieli porozmawiać z twoją mamą, Aria. Ale jeśli nie jesteś pewna...

– Jestem – przyrzekłam. – Porozmawiamy z mamą. A czy... możemy się teraz przytulić czy coś?

– Tak. – Keira westchnęła i porwała mnie w ramiona. Oparła głowę o moją. – Tak, możemy się przytulić.

Im bardziej mnie ścisnęła, tym bardziej to czułam – przekonanie, że robię dobrze.

Choć ono wcale nie oznaczało, że nie mogłam być z tego powodu odrobinę smutna.

– To szaleństwo – powiedział tata, siadając na kanapie. Nie spuszczał mamy z oka, gdy próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz na mnie patrzył. – Nie rozważamy tego na poważnie, prawda? – zapytał. Ledwo na mnie zerkał, a jeśli to robił, jego spojrzenie pełne było odrazy. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej byłam jego perelką, jego córuchną, Arią. Chciałabym, żeby wiedział, jak bardzo bolało mnie to, że go skrzywdziłam.

Do domu wszedł, Mike trzymając w dłoniach jakiś papier; popatrzył na nas zaangażowanych w kolejną kłótnię.

– To jedna z możliwości – powiedziała mama.

– By oddać to Keirze? Przestań. To się robi niedorzeczne.

Nadal nazywał moje dziecko „tym”.

– A co ty proponujesz? Jak do tej pory, tylko narzekasz i uciekasz, to dopiero jest niedorzeczne.

– A co mówi na to terapeuta, któremu płacimy bajkońskie sumy?

Nie wiedziałam. Z doktorem Wardem rozmawialiśmy zazwyczaj o sztuce.

– Kto jest ojcem? – zapytał mnie tata.

Milczałam.

– Cholera, Aria! Kto jest ojcem?! – krzyczał, uderzając w oparcie kanapy. Potarł pierś i zacisnął zęby. – Jak niby mamy poważnie rozmawiać, kiedy ona zachowuje się jak dziecko?

– Nie wiem, ale jest tysiąc razy trudniej, kiedy dorosły mężczyzna ma focha za każdym razem, gdy poruszany jest temat jego ciężarnej córki!

Ojciec uniósł ręce i wstał z kanapy.

– Rób, co chcesz, Camilo. Oddaj to swojej przyjaciółce. Jestem pewien, że w dalszej przyszłości nie będzie z tego żadnych problemów.

– Dorośnij, Adamie! – krzyknęła mama, kiedy tata wypadł z pokoju. Zakryła twarz dłońmi. – Rozwiążemy ten problem, Ario. Dobrze? Jeśli tego naprawę chcesz, zorientujemy się, jak to wygląda od strony prawnej, niezależnie od tego, czy twój ojciec się na to zgadza, czy nie. Jednak jeśli możesz, powinnaś poinformować o tym ojca dziecka. Ma prawo wiedzieć.

Wyszła z pokoju zestresowana i z opuszczoną głową.

Mike zamarł w holu, nadal trzymając papier. Skrzywił się.

– Dostałem się na Uniwersytet Wisconsin-Madison – powiedział do pustych ścian. Zmiał kartkę i odszedł. – Nie, żeby to kogokolwiek obchodziło.

Tego wieczoru, kiedy mama wyszła na nocną zmianę, poszłam do sklepu po kilka rzeczy. Kiedy wróciłam, spędziłam czas w kuchni, piekąc, poprosiłam też o pomoc Grace. Wbijając jajka do masy, opowiadała mi mrożące krew w żyłach historie związane z ciążą.

Kiedy skończyłyśmy piec, przystroiliśmy salon w czerwono-białe serpentyny i balony. Zrobiłyśmy też bannery, a kiedy wszystko było gotowe, poprosiłam Grace, by pobieгла po Mike'a, ponieważ wiedziałam, że mnie nie chce widzieć.

Zszedł i zobaczył salon przystrojony w barwy Uniwersytetu Wisconsin-Madison oraz stojący pośrodku stołu najgorzej przyozdobiony tort na świecie. Było na nim zwierzątko, które powinno być borsukiem, ale wyszedł nam zdechły pies.

– Gratulacje! – krzyknęłyśmy, kiedy pojawił się Mike.

Próbował się nie śmiać, ale poległ.

– Myślałem, że jesteś malarką. Tort jest paskudny – wytknął, podchodząc do niego.

– Hej! To ja zrobiłam! – powiedziała Grace, rzucając w niego plastikową łyżeczką.

Od razu się poprawił:

– Mówiąc paskudny, mam na myśli idealny.

Kilka minut później z drzemki obudziła się KitKat, po czym cała nasza czwórka jedząc tort, świętowała w salonie przyjęcie Mike'a na studia.

– Przepraszam za wszystko – powiedziałam. Wiedziałam, że to z mojego powodu rodzice ostatnio nie poświęcali mu uwagi.

Popatrzył na mnie, nim wziął dokładkę tortu.

– Jeśli ktoś będzie dokuczał ci w szkole, powiedz. Zajmę się tym.

Następnego dnia Mike'a odwiedzili James i Nadine. Jak zwykle przyszli też do mnie, by pogadać. Zgadywałam, że Jamesowi udało się znów w niej zakochać. Nienawidziłam dobroci Nadine – zasługiwała na kogoś lepszego niż jej obecny chłopak, który wydawał się bardziej zainteresowany wtrącaniem się w moje życie niż poświęcaniem uwagi jej.

– Jakież zmiany? – zapytała Nadine.

Skinęłam głową.

– Zdecydowałam się oddać je do adopcji. – Spojrzałam na Jamesa. – Chcę, by wychowywali je rodzice Simona. Od długiego czasu starają się o dziecko, a ja naprawdę chciałabym, by wychowywało się w kochającej rodzinie, gdzie będzie miało mamę i tatę. Powinnam zapytać ojca dziecka o zgodę, ale myślę, że nie będzie miał nic przeciwko.

James zmarszczył brwi i zacisnął usta. Nadine na chwilę się zamyśliła, po czym uśmiechnęła.

– Myślę, że to bardzo odważne, Ario. – Skinęła głową. – Jesteś naprawdę dzielna.

James odchrząknął, nim przyznał rację swojej dziewczynie.

– Tak, też uważam, że to super. Jestem pewien, że jego ojcu spodobałby się ten pomysł.

ROZDZIAŁ 29

Levi

Zabawne, jak rzeczy, których nie znosisz, stają się tymi, których ci najbardziej brakuje. Mama nie dzwoniła przez kilka dni. Nocne rozmowy, których tak nienawidziłem, stały się dla mnie rutyną. Zatęskniłem za jej prośbami, bym wrócił do domu. Zatęskniłem za tym, jak wmawiała mi, że okropnie ją traktuję. Zatęskniłem za jej głosem, jej nadopiekuńczym charakterem, jej przesadną miłością.

Kiedy do niej zadzwoniłem, odebrała, ale powiedziała, że jest zajęta i się rozłączyła. Poczulem, że się poddała – jakby zrezygnowała z pomysłu, bym wrócił do domu i był z nią.

Zatem zamiast ona martwić się o mnie, ja zacząłem martwić się o nią.

O czym myślała?

Czy była zdrowa?

Szczęśliwa?

Nadal borykała się z fałszywymi lękami i okrutną rzeczywistością?

Zadzwoniłem do Denise, by dowiedzieć się, czy sprawdza, co u mamy, tak jak obiecała.

Kiedy odebrała, brzmiała na zadowoloną.

– Levi, ona jest w klinice! – cieszyła się Denise.

– Co? Dlaczego? Wszystko z nią dobrze?

– Jest w Klinice Świętego Jana. Są znani z tego, że korzystają z terapii muzyką, by pomagać ludziom cierpiącym jak twoja mama. Chciałam już wcześniej ją tam wysłać, ale nigdy się nie zgadzała.

– Co sprawiło, że zmieniła zdanie?

– Nie wiem. Znasz ją, ma wzloty i upadki. Myślę, że teraz nastał właściwy moment.

Jednak bez względu na powód to dobre wieści, Levi. Naprawdę dobre wieści.

– Mogę z nią porozmawiać? – zapytałem.

Przez chwilę milczała.

– Myślę, że najpierw powinniśmy pozwolić jej dojść do siebie. Podają jej nowe leki i stosują terapię. Może dasz jej tydzień czy dwa?

Denise kontynuowała rozmowę, pytając o tatę, a ja nie musiałem kłamać, bo ciotka nie była jak mama i nie chciała, bym wracał; wiedziała, jak jest źle. Kiedy się rozłączyliśmy, nadal myślałem o mamie. Ostatnio bardzo za nią tęskniłem. Za jej pokręconym umysłem i w ogóle.

Może tym razem będzie inaczej.

Może tym razem terapia i leki zadziałają.

Wieczorem poszedłem do lasu grać dla niej na skrzypcach. Stałem na wielkim głazie, pozwalając, by owiewał mnie chłodny wietrzyk. Przypomniałem sobie, jak w domu razem grywaliśmy w lesie. Zawsze była lepszym muzykiem ode mnie.

Najbardziej brakowało mi jej dźwięków.

ROZDZIAŁ 30

Aria

Byłam w dwudziestym tygodniu ciąży, siedziałam w poczekalni gabinetu ginekologicznego z mamą po lewej i rodzicami Simona po prawej. Dokumenty nie zostały jeszcze oficjalnie podpisane, jednak wiedziałam, czego chcę: chciałam oddać dziecko Keirze i Paulowi. Wiedziałam również, że nie było mowy, by Keira przegapiła tę wizytę. Nawet jeśli Paul nigdy nie brał wolnego w pracy, wziął je dzisiaj, by przy tym być. Paul był starszą wersją Simona, był rudy i miał piegi. Nie nosił okularów, ale tylko dlatego, że używał soczewek kontaktowych. Jednak główną różnicą między ojcem a synem było to, że Simon był bardziej emocjonalny. Paul miał znacznie grubszą skórę, więc nie reagował tak żywiołowo. Nie mówił za dużo i przeważnie się uśmiechał, choć gdy przychodziłam do nich, były to uprzejme, łagodne uśmiechy.

W gabinecie panowała cisza, jeśli nie liczyć szumu maszyny do USG. Technik rozsmarował mi zimny żel na brzuchu, po czym zaczął jeździć po nim głowicą. Z uśmiechem patrzył w monitor.

– Ma mocne serduszko. W dwudziestym tygodniu jest wielkości...

– Melona! – Keira klasnęła w ręce i uśmiechnęła się bardzo podekscytowana.

Technik przytaknął.

– Tak! Jest wielkości melona. Ma pani rację. – Też to wiedziałam. – I chcecie państwo znać płęć, tak?

– Tak! – wykrzyknęła Keira, po czym szybko nakryła dłonią usta. Popatrzyła na mnie. – To znaczy, jeśli ty chcesz, Ario.

– Tak, chcemy – potwierdziłam.

– To...

– Chłopiec – szepnęłam zgodnie z przeczuciem.

– Chłopiec – powiedział technik, uśmiechając się do mnie. – To musi być matczyzna intuicja. Gratulacje. Wydrukuję zdjęcie i przekażę je lekarzowi, który je omówi.

Podziękowaliśmy i wyszliśmy z pomieszczenia.

Paul ucisnął nasadę nosa, po czym pociągnął nim, gdy mocno przytulił Keirę. Pocałował ją w czoło; nawzajem ocierali sobie łzy.

– Dziękujemy, Ario. Bardzo jesteśmy ci wdzięczni.

Mama też się rozplakała, co jakiś czas ściskając mnie za rękę. Wszyscy się wzruszyli z wyjątkiem mnie.

Ja byłam otępiąta.

To chłopiec.

ROZDZIAŁ 31

Levi

W piątkowy poranek obudziło mnie stukanie w szybę. Spojrzałem na stojący na szafce zegarek. Potarłem oczy, starając się skupić wzrok na cyfrach.

Trzecia trzydzieści jeden w nocy.

Co, u diabła?

Zwlokłem się z łóżka i poczłapałem do okna. Gdy zobaczyłem za nim Arię w długiej koszuli w małątki i pasującymi do niej kapciami, natychmiast się rozbudziłem.

Otworzyłem okno i popatrzyłem jej prosto w oczy.

– Art, co się stało? – Ogarnęła mnie panika, gdy dostrzegłem łzy.

– Przepraszam, że cię obudziłam. Wiem, że nie odzywamy się do siebie i normalnie, kiedy nie mogę spać, idę do Simona, ale on tak się cieszy z powodu rodzeństwa, więc nie chcę, by czuł się źle. Jeśli chcesz, żebym odeszła, odejdę. Tylko... nie mam z kim porozmawiać.

– Co się dzieje? Wejdz, pogadamy.

Wspięła się przez okno.

Otarła oczy i zaśmiała się cicho.

– Przepraszam. Jestem roztrzęsiona i... – Westchnęła. Instynktownie dotknąłem jej twarzy, ocierając policzki. Gdyby tylko wiedziała, co się działo z moim sercem na widok jej łez...

– Mów do mnie – powiedziałem, prowadząc ją w stronę łóżka.

– To głupie – ostrzegła, siadając. Usiadłem obok. Nigdy nie była w moim domu. To był dla nas pierwszy raz.

Musiała być mocno załamana.

Chciałem się przysunąć i ją przytulić.

Ale tego nie zrobiłem.

Nie mogłem.

– Wcale nie – obiecałem. Jeśli ją to bolało, doprowadzało do płaczu, to nie było głupie. – Powiedz mi – powtórzyłem.

– Poruszył się – szepnęła, opierając ręce na brzuchu. Uniosła głowę i uśmiechnęła się zarówno pięknymi ustami, jak i czekoladowymi oczami. – Kopie. Wcześniej czułam tylko pływanie, ale teraz naprawdę kopie.

Wytrzeszczyłem oczy i mimowolnie wyciągnąłem ręce do jej brzucha, ale w porę sobie przypomniałem. Zamarłem, niepewny, co zrobić. Złapała mnie za ręce i oparła je sobie na brzuchu. Również to poczułem. Ruch. Życie.

– Jezu – szepnąłem. Nigdy nie czułem czegoś tak magicznego i tak prawdziwego.

– Opisz to jakimś słowem. Ja czuję to tak, jakbym jednocześnie miała w brzuchu motyle i żołądek mi się kurczył. Jest na to jedno słowo?

– Szczęście.
– Szczęście? – zapytała.
– Szczęście – odpowiedziałem.
Skinęła głową.
– Nie potrafię przestać płakać.
– Myślę, że to w porządku – powiedziałem. – To chłopiec?
– Dzisiaj się dowiedzieliśmy. – Załkała jeszcze bardziej. – Jestem okropna, bo, kiedy to usłyszałam, pomyślałam, by go zatrzymać. Pomyślałam, jak dałabym mu na imię i kim będzie, gdy dorośnie, po czym zastanowiłam się, co bym odpowiedziała, kiedy zapytałby mnie o chłopaka, który nazwał mnie urocą, choć w rzeczywistości tak nie uważał.
– Jesteś piękna – powiedziałem, podając jej jedną z moich koszulek, by wydmuchała nos. Rozpląkała się jeszcze bardziej, ponieważ wiedziała, że mówiłem poważnie.
– Nie jesteś okropna, myśląc o tym, Art.
– A jaka jestem? Przyrzekłam rodzicom mojego przyjaciela, że oddam im dziecko, po czym pomyślałam, by je jednak zatrzymać. Jeśli nie jestem okropna, to jaka jestem?
Milczałem, szukając właściwego słowa.
– Ludzka. Jesteś człowiekiem. – Siedzieliśmy, opierając ręce na jej brzuchu. Za każdym razem, gdy czułem kopnięcie, moje serce podskakiwało.
– Jest teraz wielkości melona – powiedziała.
– Duży, a jednocześnie mały. – Wstałem i włączyłem światło. – Mam pomysł.
– Jaki?
– Wstań. Musisz stać.
Wstała, choć popatrzyła pytająco. Przekopałem się przez kolekcję płyt, szukając pewnej piosenki.
– O, mam – mruknąłem, po czym wrzuciłem płytę do odtwarzacza stojącego na komodzie. Poszedłem do garderoby, gdzie porzuciłem pudełko i ubrania. Wyjąłem stary futerał na gitarę i położyłem go przed Arią.
– Co robisz? – Zaczęła się śmiać, ocierając łzy.
– Ilekroć czuję się przytłoczony, zabieram skrzypce do lasu i gram, aż czuję się nieco lepiej. Jednak dzisiaj jest za zimno, by grać na zewnątrz i, bez urazy, ale nie potrafisz używać żadnego instrumentu, więc postanowiłem nauczyć cię grać na tej ślicznotce. – Pochyliłem się i otworzyłem futerał, ujawniając nic a zarazem wszystko.
– Na co patrzymy? – zapytała Aria.
Wyciągnąłem ręce i wyjąłem moją pierwszą powietrzną gitarę.
– To rodzinny antyk. Mój dziadek nauczył na niej grać mojego tatę, tak samo jak tata nauczył mnie. Teraz ja chciałbym nauczyć grać na niej Melona. Prawda, będziesz mu musiała użyć swoich palców, bo Melon tak naprawdę... no wiesz, nie jest jeszcze w pełni samodzielny.
– To zrozumiałe. – Zachichotała.
Podałem jej gitarę powietrzną.
– Ostrożnie, musisz się z nią delikatnie obchodzić.
– Oczywiście. Obiecuję troszczyć się o nią. – Uśmiechnęła się, a ja o mało nie umarłem. Uwielbiałem jej uśmiech.
Wziąłem własną gitarę powietrzną i wcisnąłem play na odtwarzaczu.
– Jaka to piosenka? – zapytała.
– *She Talks To Angels* zespołu Black Crowes – odparłem, strojąc struny. Uśmiechnąłem się, gdy zobaczyłem, że Aria mnie naśladuje. – To ulubiona piosenka mojego taty, którą grał mi

na gitarze powietrznej, gdy go odwiedzałem. Uwielbiał ją.

Kolejną godzinę spędziłem, ucząc ją grać, po czym zauważyłem, że zaczęła ziewać. Odłożyłem gitarę do futerału, wyjąłem płytę z odtwarzacza i też schowałem ją do futerału. Podałem go Arii.

– Nie mogę wziąć twojej gitary, Levi.

– Bez obrazu, Art, ale to sprawa między Melonem a mną. – Pochyliłem się do jej brzucha i powiedziałem: – Ćwicz, ile będziesz chciał, koleżko.

Aria wyszła przez okno, po czym podałem jej futerał.

– Dzięki – powiedziała, przestępując z nogi na nogę. – Może moglibyśmy znów razem jeść lunch?

– Chciałbym.

Uśmiechnęła się i odeszła, zabierając futerał.

ROZDZIAŁ 32

Aria

Tata wyprowadził się w niedzielne popołudnie. Dwudziestego drugiego listopada, w niedzielę przed Świętem Dziękczynienia.

Mama stwierdziła, że tak naprawdę się nie wyprowadził, tylko na trochę zostanie u swojej siostry, Molly. Powiedziała, że potrzebują przestrzeni i czasu, by dojść do ładu z pewnymi rzeczami. Z okna przyglądałam się, jak pakuje walizkę do furgonetki. Wyglądała na dość dużą, jak na tymczasowe rozwiązanie. Przyszła Grace i stanęła obok mnie, również patrząc przez okno. Oczy miała pełne łez, więc objęłam ją i przytuliłam.

Następnie przyszedł Mike. Poprosiłam, by mnie teraz o to nie obwiniał, ponieważ sama byłam na skraju rozpacz. Nic nie powiedział. Stał po drugiej stronie i mnie objął. Razem spoglądaliśmy przez okno.

Tamtego dnia spadł pierwszy tej zimy śnieg.

Wraz z nim rozpadło się wszystko wokół.

We troje staliśmy jeszcze chwilę po odjeździe taty. Dołączyła do nas mama z KitKat na rękach. Zapewne była smutna, choć nie okazywała nam tego.

Tej niedzieli nie zjedliśmy wspólnego obiadu w jadalni. Bez taty wydawało się to bezsensowne.

Podczas ferii świątecznych nie widziałam Leviego, głównie dlatego, że spędzałam czas z rodziną, próbując powstrzymać ją przed rozpadem. Napisałam do niego SMS-a, informując o wyprowadzce taty, a on wysłał mi słowo dnia, by mnie jakoś podtrzymać na duchu.

Levi: MYŚLĘ – CZASOWNIK W 1 OS. L. POJ.: KOJARZE, WNIOSKUJĘ, ZASTANAWIAM SIĘ, PRZETWARZAM ŚWIADOMIE INFORMACJĘ W MÓZGU.

Levi: O – PRZYIMEK: WSKAZUJĄCY TREŚĆ, ZAWARTOŚĆ ZNACZENIOWĄ.

Levi: TOBIE – ZAIMEK: OZNACZAJĄCY CIEBIE, ARIO LAUREN WATSON.

Ja też o tobie myślę, Levi Myersie.

W koszulce na ramiączkach i spodniach od dresu stałam przed lustrem w łazience. Na wannie leżał otwarty futerał Melona. Z głośników radia brzmiały dźwięki piosenki The Black Crowes, kiedy w kółko ćwiczyłam grę na gitarze.

Przechodząca obok łazienki, Grace cofnęła się i zamarła.

– Jesteś pijana?

Roześmiałam się.

– Moja nauczycielka, pani Thompson mówiła, że nie można pić alkoholu w ciąży.

– Twoja nauczycielka przesadza, rozmawiając o alkoholu z dziećmi w waszym wieku. Zamrugła, obserwując moje palce poruszające się na strunach niewidzialnej gitary.

– Zwariowałaś?

– To nie jest miłe słowo.

Uderzyła się dłonią w czoło i odeszła.

– O rany, moja siostra jest ciężarną wariatką!

Kiedy wróciłam do szkoły pierwszego grudnia, śnieg padał mi na głowę, a moje zimowe ciuchy opinały mi się na brzuchu. Mama kupiła mi nową kurtkę, ponieważ w poprzedniej się już nie dopinałam. Simon podszedł do mnie i uśmiechnął się półgębkiem.

– Słyszałem o twoim tacie. Dobrze się czujesz? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Ponownie pokręciłam głową, patrząc pod nogi. Kiedy stanął obok mnie chłopak w niebieskich trampkach i zaczął kopać śnieg, dołączyłam do niego.

– Cześć, Art.

Wypuściłam z płuc powietrze, które wstrzymywałam od tygodnia.

– Cześć.

– Jakiego rozmiaru jest już dziecko?

– Bakłazana.

Uśmiechnął się.

– Dzień dobry, panie Bakłazanie.

Wsiedliśmy do autobusu i usiedliśmy naprzeciw siebie. Levi wyciągnął swój discman i podał mi jedną ze słuchawek, drugą wsadził sobie do ucha. Wzięłam kilka głębszych wdechów.

Kiedy puścił muzykę, oboje zaczęliśmy grać na naszych gitarach powietrznych.

– Mam dla ciebie propozycję i mam nadzieję, że się zgodzisz – powiedział Levi, kiedy klasa muzyczna zawitała w klasie plastycznej. Postawił na podłodze futerał ze skrzypcami. – Myślę, że powinniśmy zostać celebrytami.

– Ale nie jesteśmy zamożni ani sławni – spierałam się. – Do tego nie w okolicy nie organizują żadnych modnych imprez, w których moglibyśmy uczestniczyć.

– Ach! Ależ nie! Szedłem korytarzem i usłyszałem, jak ludzie szepczą o tym, że mogę być ojcem twojego dziecka.

– To najnowsza plotka?

– Tak, to najnowsza plotka, a ponieważ widziałem w tych gazetach, które czytasz, jak obgadywani są sławni ludzie, pomyślałem, że jesteśmy sławni z definicji.

– A jaka to definicja?

– Posiadanie powszechnie uznawanej reputacji.

Uśmiechnęłam się.

– Mamy to, prawda? Jednak nie mamy modnych imprez, by w nich uczestniczyć, więc zgaduję, że jedyne, co mamy, to pecha. Chcesz popracować nad propozycjami do projektu? Możesz grać, a ja mogę malować i...

– Hej, hej, hej. Nie możesz tak po prostu zmieniać tematu, bo wiem o modnym wydarzeniu, w którym możemy uczestniczyć.

– A jakie?

Wyciągnął z tylnej kieszeni złożoną ulotkę i mi ją podał.

– Ario Watson, czy pójdziesz ze mną w sobotni wieczór na zimowy bal?

Zachichotałam.

– Poważnie?

Skinął głową.

– Nie ma mowy. Mama nigdy mnie nie puści. Poza tym jestem w szóstym miesiącu ciąży.

– Nie musisz się martwić. Przygotuj sukienkę i buty do tańca. A ja porozmawiam z twoją mamą.

We wtorek Levi zapytał mamę, czy mogę iść na bal. Odmówiła.

Zapytał w środę. Odmówiła.

W czwartek przed moją terapią również odmówiła.

W piątek także.

Przyszła sobota, więc pomyślałam, że Levi się poddał i zrezygnował z zabrania mnie na bal. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie przymierzyłam wszystkich sukienek, jakie miałam w szafie, ale większość była za ciasna.

Może lepiej było nie iść.

Przeglądałam się, jak Mike i jego dziewczyna Jamie przygotowują się do wyjścia.

Dołączyli do nich James i Nadine, po czym cała czwórka pojechała na tańce, na które mnie nie wolno było iść.

To nie było sprawiedliwe.

Pół godziny po rozpoczęciu balu rozległo się pukanie do naszych drzwi.

Wyrzałam zza rogu i zobaczyłam, że mama poszła otworzyć. Za drzwiami stał Levi; posłał mamie czarujący uśmiech, przez który powinna paść mu do stóp.

– Witam, pani Watson. Przede wszystkim... to dla pani. – Podał mamie kwiaty. Moje

serce przyspieszyło.

– Dziękuję, Levi, ale obawiam się, że decyzja nie uległa zmianie. Uważamy, że Aria nie powinna uczestniczyć w dzisiejszym balu.

Powiedziała „my”, jakby tata też o tym zdecydował, choć tak naprawdę nic nie wiedział o tańcach.

– Wiem, ale czy mógłbym wejść? – Wskazał hol, więc mama wpuściła go do środka.

Nie powinna była tego robić. Kiedy Levi wchodził do czyjegoś domu – czy serca – nie było mowy, by się go stamtąd pozbyć.

Miał na sobie czarny garnitur i zieloną muchę w grochy. Odchrząknął, wyprostował się i uśmiechnął do mamy.

– Chcę zabrać Arię na bal. Rozumiem, dlaczego nie powinna iść. Rozumiem, dlaczego nie chce jej pani pozwolić. Jej życie za kilka miesięcy się zmieni. Nic nie będzie takie samo, wszystko będzie inne i obawia się pani, że te zmiany ją przytłoczą. Do tego moja obecność w jej życiu tylko panią dodatkowo denerwuje. Proszę mi zaufać, przez ostatnie miesiące próbowałem zostawić ją w spokoju, jednak bezwzględnie skupia na sobie moją uwagę. Rozumiem, że martwi się pani, co powiedzą inni o jej coraz większym brzuchu i o to, jak będzie krytykowana i obgadywana przez inne dzieciaki. Każdy dobry rodzic powinien się o to martwić i każdy kochający rodzic chciałby uchronić przed tym swoje dziecko. Jednak chcę, by wiedziała pani, że się o nią zatroszczę. Zadbam o to, by zapomniała, że w sali znajdują się inne osoby. Sprawię, że będzie się czuła spokojna i piękna, ponieważ jej piękno mnie uspokaja. Będę tańczył powoli i robił przerwy, by nie była cały wieczór na nogach. I będę ją rozśmieszał, opowiadając kiepskie matematyczne żarciki, i przyniosę jej mocno rozwodniony poncz.

Mama przygryzła kciuk. Zapewne zastanawiała się, czy ma wypchnąć go za drzwi i zamknąć wszystkie zamki, czy może zaciągnąć mnie do swojego pokoju i wcisnąć w sukienkę.

– Levi, musisz zrozumieć. Aria nie powinna chodzić na randki. Jest to ostatnia rzecz, jaką powinna robić w sytuacji, w której się znajduje.

Skinął głową. Zmarszczył brwi. Zerknął ponad ramieniem na mnie, wychylając się zza rogu. Uśmiechnął się do mnie słabo.

Odzwajemniłam jego niewielki uśmiech.

Znów skupił spojrzenie na mamie.

– Myśli pani, że chcę pójść z Arią na randkę? Boże, nie. Nie ma w pani córce nic, przez co chciałbym pójść z nią na randkę. Jest fajna i w ogóle, ale dla mnie oficjalnie jest przyjaciółką.

– Myślę że oboje wiemy, że to nieprawda. – Mama westchnęła i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie, pani Watson, nie jest. Widzi pani, są dziewczyny i jest Aria. Aria jest osobą, z którą idzie się do sklepu muzycznego i słucha, jak ona niszczy piękno muzyki. Jest osobą, z którą wymienia się poglądy na temat różnic między realizmem i impresjonizmem. Jest osobą, która mówi, że abstrakcjonizm jest najlepszy, nawet jeśli się człowiek z tym nie zgadza, bo uważa, że to tylko bałagan, po czym siedzi w bibliotece nad zdjęciami obrazów abstrakcyjnych, a serce gotowe jest wyskoczyć mu z piersi. – Wysłałam zza rogu, a Levi podszedł do mnie. Popatrzył mi w oczy i ciągnął dalej: – Ponieważ zaczyna rozumieć, wie pani? Zaczyna się rozumieć kolory i linie, i to, że krzywe nie naśladują niczego innego na świecie. Rozumie się, że abstrakcja jest zaprzeczeniem norm, ponieważ właśnie na tym ona polega. I jest człowiek cholernie szczęśliwy, bo to piękne. I unikatowe. I niepowtarzalne. I... abstrakcyjne.

W pomieszczeniu zapanowała cisza, gdy cała nasza trójka stała oniemiała. Levi poprawił muchę, spojrzał na mamę, odchrząknął i powiedział:

– Więc jeśli pani się zgodzi, chciałbym zabrać pani abstrakcję na dzisiejsze tańce. Jako

przyjaciółkę.

Mama obróciła się do mnie i wzruszyła ramionami.

– Chcesz iść? – szepnęła.

– Tak.

Bardzo chciałam pójść na bal z Levim.

– Możesz pójść. – Wskazała ruchem głowy mój pokój. – Idź się przygotować.

Bez wahania pospieszyłam do siebie, mając na ustach szeroki uśmiech, którego nie potrafiłam ukryć. Wpadłam do sypialni i zachichotałam, gdy usłyszałam, jak Levi mówi do mamy:

– Przepraszam, że użyłem słowa na „ch” w pani domu, pani Watson.

– W porządku, Levi. Uznajmy, że miałeś na nie pozwolenie.

Piętnaście minut później wyszłam ubrana w czarną sukienkę, która zapewne została rozciągnięta do granic możliwości. Na nogach miałam buty na płaskiej podeszwie, ponieważ tylko one sprawiały, że nie bolały mnie nogi. Mama pożyczyła mi naszyjnik z perełek i pasujące kolczyki.

Kiedy weszłam do salonu, Levi wstał z kanapy.

– Wow – powiedział, patrząc na mnie. Zamarł w ciszy. Minuty mijały, a on się nie poruszył.

– Levi – mruknęłam cicho i zaśmiałam się nerwowo, po czym wygładziłam brzeg sukienki. – Gapisz się na mnie.

– Wiem. Przyrzekam, że próbowałam przestać, ale kiedy na ciebie patrzę, dzieje się coś dziwnego.

– Co takiego?

– Odbiera mi rozum.

– O, do licha – mruknęła mama, stając przy kominku, obserwując nas z aparatem w ręce oraz łzami płynącymi po policzkach.

– Mamo, nie płacz.

– Nie płaczę, nie płaczę – zapewniła, ocierając oczy. – To kurz z kominka, nic więcej.

Uśmiechnęła się. Jeszcze więcej kurzu wpadło jej do oka, kiedy robiła nam zdjęcie.

– Lubię go – szepnęła i pocałowała mnie w czoło. – Wiem, że nie powinnam, ale go lubię.

– Cierpimy na tę samą przypadłość, mamo.

Poszliśmy do samochodu i Levi otworzył przede mną drzwi pasażera, po czym wskoczył za kierownicę i odpalił silnik. Jechaliśmy w ciszy, opierałam ręce na brzuchu.

– Wiesz, mówiłem poważnie – szepnął, patrząc na drogę. – Kiedy powiedziałem, że są dziewczyny i jest Aria. Mówiłem poważnie.

Odprężyłam się na siedzeniu i popatrzyłam przed siebie. *Są dziewczyny i jestem ja.*

Powoli przesunęłam lewą rękę w kierunku deski rozdzielczej.

Levi powoli przesunął prawą rękę w kierunku deski rozdzielczej.

Powoli, zdenerwowani, spleśliśmy ze sobą palce.

– Na pewno nie chcesz ponczu? Wiem, że nie mają tu inkrustowanych diamentami kieliszków, ale są za to świetne plastikowe kubeczki – powiedział Levi po raz trzeci. Siedzieliśmy na krzesłach pod ścianą. Pokręciłam głową. Nie potrafiłam przestać obciągać sukienki, czując, jakby za bardzo podjeżdżała w górę, ponieważ byłam do niej za gruba.

Dziewczyny nieustannie podchodziły do Leviego, prosząc do tańca, ale za każdym razem odmawiał.

Wszystkie były piękne i nie były w ciąży.

Może jednak nie powinnam była tu przychodzić.

Levi oparł ręce na udach. Nogą wystukiwał rytm. Nie bawił się dobrze i czułam się przez to źle.

– Przepraszam, że jestem taka nudna – powiedziałam.

– Nie jesteś – skłamał.

– Jestem zażenowana.

– Dlaczego?

– Bo jestem gruba.

Przysunął się do mnie z krzesłem i sprawił, że oparłam głowę na jego ramieniu.

– Wkurza mnie, kiedy tak o sobie mówisz.

– Ale popatrz tylko na wszystkie te dziewczyny. Mógłbyś mieć każdą. One najwyraźniej na ciebie lecą.

– Nie chcę ich.

– Dlaczego nie?! Są wszystkim, czego pragną faceci. Są tym, czego chcesz.

Poczułam, jak się spiął, i zobaczyłam, że przestał poruszać stopą. Odsunął się ode mnie.

– Przestań mi mówić czego chcę, dobrze?

– Ale to prawda, co? Chcesz tego?

Przewrócił oczami i wstał.

– Dobra. – Poszedł na parkiet, przy czym uśmiechnęło się do niego kilka dziewczyn.

Odpowiedział uśmiechem. Zrobiło mi się niedobrze. Wybrał je, miało to sens. Ja byłam poza ich światem, a Levi należał do nich.

Jednak minął wszystkich i wyszedł z sali gimnastycznej. Chciałam za nim iść, ale czułam się zbyt głupio, więc zostałam na miejscu. Zmarszczyłam brwi i oparłam ręce na brzuchu.

Minęło jakieś pięć minut, nim Levi wrócił, wyglądając inaczej, niż gdy wychodził.

Zaczerwieniłam się, gdy cała sala wybuchnęła śmiechem. Włożył sobie coś pod koszulę, wypychając brzuch, i patrzył mi w oczy, kiedy szedł w moją stronę.

– Co ty, kurde, wyprawiasz? – Roześmiałam się, ponieważ tak nedorzecznie wyglądał.

– Zatańcz ze mną – powiedział i wyciągnął do mnie rękę.

– Nie ma mowy.

– Zatańcz ze mną – powtórzył i przysunął się.

– Levi!

– Zatańcz ze mną – nalegał, błagając spojrzeniem, bym się zgodziła.

Złapał mnie za rękę, więc wstałam. Muzyka była szybka i wszyscy gapili się na Leviego.

– Patrz na mnie – polecił, więc skupiłam się na nim. Zaczął tańczyć jak małpa, rozpychając się bez ładu i składu, nie przejmując się wzrokiem innych.

Nie mogąc powstrzymać się od śmiechu, zaczęłam z nim tańczyć. Bez trosk, bez obaw, bez żalu. Patrzyłam na niego, jak się rusza, jak podskakuje jego sztuczny brzuch.

– Niektórzy ludzie urodzili się po to, by się wyróżniać. Pogódź się z tym i tańcz.

Nie wiedziałam, czy mi wolno, ale czułam, że się w nim zakochuję. Każda sekunda wypełniona była coraz większą miłością. Nie wiedziałam też, czy siedemnastolatkom w ciąży wolno zakochiwać się w oksymoronicznych chłopakach, którzy przyspieszali bicie ich serca. Rozsądek podpowiadał mi, że robię źle, że nawet nie powinnam rozważać tak szalonego pomysłu.

Mój umysł wiedział, że to niewłaściwe, moja głowa знаła wszelakie powody, przez które nie powinnam zakochać się w Levim Myersie. Podpowiadała mi, że w miłości są granice. „Będziesz miała dziecko”, mówił mi rozum. „Nie możesz chodzić na randki”, wmawiał. „On znajdzie sobie kogoś lepszego”, karmił.

Jednak moje serce... Moje serce wierzyło w spokojny, prosty rodzaj miłości. W miłość, która została stworzona przed czasem, większą niż nałożone na nas ograniczenia. W miłość, której nie hamował wiek, która nie miała barier, która dotyczyła jedynie dusz dwojga ludzi. Moje serce nie pozostawiało mi wyboru.

„Kochaj otwarcie”, szeptało. „Kochaj bezwarunkowo”, błagało. „Kochaj mimo trudności”, uczyło. „Kochaj w tej chwili”.

To było jednocześnie straszne i piękne, prawda? Kiedy serca nie obchodziło to, co myślała głowa.

ROZDZIAŁ 33

Aria

Wyszliśmy na zewnątrz, gdzie padał śnieg, duże białe płatki pokrywały całe miasto. Bolały mnie nogi, ale nie jakoś mocno, ponieważ co kilka piosenek Levi upierał się, bym siadała. Otworzył przede mną drzwi do auta, po czym zamknął je, gdy wsiadłam. Chciałam mu powiedzieć. Chciałam mu wyznać, jak się w stosunku do niego czuję, jak ciężko mi skoncentrować się na czymkolwiek, gdy wypowiadał moje imię, gdy grał na skrzypcach czy się uśmiechał.

Usiadł za kierownicą i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, obserwując spadające z nieba płatki śniegu.

– Bardzo dobrze się dzisiaj bawiłam – powiedziałam w końcu.

– Ja też.

Nastąpiła kolejna cisza.

– Art?

– Tak, Levi?

– Co by się stało, gdybym cię pocałował?

– Gdybyś mnie pocałował? – Popatrzyłam na jego usta. Powoli odetchnęłam. – Wszystko zaczęłoby się zmieniać.

– Czy to byłoby coś złego?

Zadrżał mi głos i poczułam, jak dłonie zaczynają mi się pocić. Nie chciałam patrzeć mu w oczy, więc przyglądałam się dywanikowi.

– Wcześniej całowałam tylko jednego chłopaka. Nie mam w tym doświadczenia. Nie jestem dziwką. Wiem, że wszyscy w szkole mnie za taką uważają, ale byłam tylko z jedną osobą. Chciałam, byś o tym wiedział. Nie jestem dziwką.

– Nigdy tak nie pomyślałem.

– Może raz pomyślałeś. Może taka myśl przeszła ci przez głowę, kiedy siedzieliśmy w klasie albo kiedy nie było mnie w szkole, bo miałam zgałę lub wymiotowałam. To zrozumiałe. Nawet bym się nie złościła, gdybyś tak pomyślał. Właściwie sama tak myślałam.

– Nigdy tak nie pomyślałem – powiedział z pewnością w głosie. Obrócił się do mnie i objął za szyję. Przysunął się. Spowolnił oddech. Nasze wargi dzieliły milimetry. Nie potrafiłam przestać patrzeć na jego usta i najwyraźniej on również patrzył na moje. Palcami dotknął mojego policzka i spojrzał mi w oczy. – Ktokolwiek sprawił, że wątpisz w to, jaka jesteś wspaniała, ktokolwiek złamał ci serce... mam zamiar nienawidzić go do końca życia.

– Jest dobrze.

– Jak może być dobrze?

– Ponieważ znalazłam kogoś, kto z powrotem skleja moje złamane serce.

Przybliżył wargi do moich i objął mnie ręką w tali. Kiedy mnie wreszcie pocałował,

poczułam się miło i bezpiecznie. Przechyliłam głowę w lewo, by pogłębić pocałunek, jednocześnie obejmując go za szyję. Po chwili, kiedy nasze usta były połączone, zaczęłam chichotać, ponieważ jego fałszywy brzuch dotykał mojego prawdziwego. Kiedy zaczęłam się śmiać, Levi również wybuchnął śmiechem. Nie odsunęliśmy się jednak od siebie, nasze usta nadal się dotykały.

Otworzyłam oczy, a Levi patrzył na mnie z czułością. Powoli się odsunęłam, wciąż w jakiś sposób czując się tak, jakbyśmy się całowali. W duchu liczyłam na to, że owo uczucie nigdy nie przeminie.

– Art, jesteś wyjątkowa – powiedział Levi, lekko masując moje plecy. – A ja jestem cholernie szczęśliwy, że cię poznałem. – Powiedział „cholernie” z południowym akcentem, co było bardzo seksowne.

To był najdziwniejszy pierwszy pocałunek, jaki zdołałabym wymyślić, przez co był najlepszy.

Levi już miał ruszać, ale zadzwonił jego telefon, a na wyświetlaczu pojawiło się imię Lance’a. Natychmiast odebrał.

– Hej, co tam? – powiedział z uśmiechem, ale szybko go stracił i zacisnął usta. – Zaraz tam będę.

Rozłączył się i odpalił silnik.

– Naprawdę szybko muszę cię odwiedzić.

– Co się stało? – zapytałam, dotykając jego ramienia.

– Tata trafił do szpitala. Przepraszam, nie... – Zająknął się, przeczesując ręką włosy. – Nie... nie wiem, gdzie jest Szpital Miłosierdzia. Lance powiedział, że właśnie tam zabrała go karetka. Gdybyś mnie mogła pokierować, zanim odwozę cię do domu, byłoby super.

Cały drżał, przez co zareagowałam w ten sam sposób. Pokręciłam głową.

– To tylko kilka minut stąd. Jadę z tobą. Przy wyjeździe z parkingu skręć w prawo.

Skinął głową i szepnął:

– Dziękuję.

Również kiwnęłam głową i zaczęłam się modlić.

Kiedy podjechaliśmy pod szpital, Levi zapomniał odpiąć pas, tak bardzo mu się spieszyło. Byłam zaraz za nim. Spanikowany podbiegł do recepcjonistki, jego sztuczny brzuch zakołysał się gwałtownie.

– Szukam taty – powiedział nerwowo. – Przywieziono go tu niedawno.

Stałam za nim i wyjęłam spod koszuli sztuczny brzuch, który spadł na podłogę. Tak po prostu wróciła rzeczywistość. Prawdziwy świat spadł nam na głowy.

– Przepraszam, ale muszę znać szczegóły – wyjaśniła ze spokojem recepcjonistka. Złapałam Leviego za ramię, by go uspokoić.

– Nazywa się Kent Myers. Ma, ee, ma raka, a ja... ja muszę wiedzieć, co z nim.

– Dobrze, jedną chwilę...

Sprawdzanie zajęło jej więcej czasu, niż chciałby tego Levi. Cały się trząsał.

– Może się pani pospieszyć? – warknął, co nie było w jego stylu.

– Levi. – Usłyszeliśmy za sobą głos. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy stojącego w korytarzu Lance’a. Pospieszył ku nam. – Jest z nim w porządku. Odpoczywa.

– Co się stało? Gdzie jest? Chcę go zobaczyć. – Levi miał łzy w oczach, ale zamrugał, by

je rozgonić.

– Zadzwoił do mnie, skarżąc się na ból w klatce piersiowej, i powiedział, że ma trudności z oddychaniem. Pojechaliśmy z Daisy, żeby sprawdzić, co z nim. Kiedy dotarliśmy, było coraz gorzej, więc zadzwoniliśmy po karetkę. Wyrównali mu oddech, teraz odpoczywa.

Levi nadal się trząsał, więc szybko go objęłam.

– Myślałem... – mruknął. – Myślałem, że on...

– Wiem, młody. Wiem.

– Powinnaś zadzwonić do mamy, powiedzieć jej, gdzie jesteś – stwierdził Lance, podchodząc do mnie, gdy zostałam w poczekalni. Levi poszedł do ojca, a ja postanowiłam poczekać. – Może przyjedzie cię odebrać. Wygląda na to, że spędzimy tu trochę czasu.

– Pracuje – powiedziałam, stukając stopą o podłogę, ponieważ wiedziałam, że będę musiała zadzwonić do taty. – Poradzę sobie.

Popatrzył na mnie z niepokojem, ale poprosiłam, by sprawdził, co u brata.

Kwadrans później napisałam tacie wiadomość, po której jak burza wpadł do szpitala.

– Aria! – zawołał, podbiegając do mnie. Wiedziałam, że będzie na mnie krzyczał, ponieważ byłam z Levim. Wiedziałam, że będzie się wydzierał o to, że byłam w towarzystwie chłopaka i że ten chłopak był synem Kenta Myersa.

Wstałam i zaczęłam mówić, nim zdążył na mnie nakrzyczeć:

– Przepraszam. Wiem, że nie chciałeś, bym się widywała z Levim, ale lubię go, tato. To jedyny chłopak w szkole, który nie patrzy na mnie tak, jakbym była zdzirą, a jego ojciec jest chory, więc musieliśmy tu przyjechać i...

Nie mogłam dokończyć, ponieważ tata objął mnie i mocno przytulił.

– Jezu Chryste, Aria! Myślałem, że stało się coś tobie albo dziecku! Nie możesz pisać ot tak, że jesteś w szpitalu! Dobrze się czujesz?! – Odsunął się, przyglądając mi się badawczo i upewniając, że wszystko w porządku, nim znów mnie przytulił.

Byłam zdezorientowana, ale w końcu dotarło do mnie, że nie śnię, a tata naprawdę trzyma mnie w ramionach. Złapałam za jego kurtkę i przywarłam do niego jeszcze mocniej.

– Przepraszam, tato. Za wszystko.

Pocałował mnie w czoło i zaczął kołysać.

– Nic innego się nie liczy, tylko ty, Ario. Wszystko dobrze, córeczko. Wszystko dobrze.

ROZDZIAŁ 34

Aria

– Przepraszam – powiedział tata, wjeżdżając na nasz podjazd. – Cały czas byłem dla ciebie okropny, ale chcę, byś wiedziała, że to nie twoja wina. Przechodziłem trudny okres i wyładowywałem się na tobie. To nie w porządku. I bardzo przepraszam.

Wybaczyłam mu. Oczywiście, że mu wybaczyłam. Pocałował mnie w czoło, nim wysiadłam, a on odjechał do Molly. Chciałam udawać, że tej nocy przyszedł do domu i wszystko wróciło do normy, ale tak się nie stało. Znów odjechał.

Jakiś czas później przed moim oknem stanął Levi. Otworzyłam je i zaprosiłam go do środka, ale nie wszedł.

– To nie on przerwał chemioterapię – powiedział. – Myślałem, że sam podjął decyzję o jej zaprzestaniu, ale to lekarz poinformował go, że nie działa. Rak zbyt mocno się rozprzestrzenił.

– Levi...

– On umiera – szepnął. – Lekarz powiedział, że może mu tylko ulżyć. Możesz w to uwierzyć? – parsknął, po czym przygryzł wargę. – Nie ma ulgi w raku. Nie można sprawić, by rak wiązał się z ulgą. To bez sensu.

– Wejdz do środka – poleciłam.

Pokręcił głową.

– Nie, powinienem wracać do domu. Chciałem tylko przeprosić za to, jak skończył się ten wieczór.

– Wejdz – powtórzyłam.

– Nic mi nie jest.

– Levi. Proszę.

Odetchnął głęboko i wszedł. Usiadł w ciemności na moim łóżku; splelił swoje małe palce.

Nie wiedziałam, czy mogę cokolwiek powiedzieć, by go pocieszyć. Nie sądziłam nawet, że powinnam próbować.

Może nie chodziło o sklejanie złamanych serc.

Może chodziło o kochanie pokruszonych odłamków takimi, jakie one były.

Może gdy kochana przez nas osoba cierpi, potrzebuje jedynie trzymania za mały palec jako zapewnienia, że nie jest sama.

– Boję się go oddać – powiedziałam. – Myślę czasem, czy nie zadzwonić do Keiry i nie poinformować, że się rozmyśliłam i że chcę go zatrzymać. W głowie odgrywam scenariusze, jak mogłabym to zrobić, jak mogłabym go sama wychować, po czym myślę, że jestem okropna, pragnąc tego. Zaczęłam rozmyślać o dalekiej przyszłości i uświadomiłam sobie, że to byłoby złe. Po czym się rozplakałam, bo myślałam za wiele i chciałam zbyt wiele, i zbyt wiele martwiłam się przyszłością. Jednak prawda jest taka, że przyszłość nie ma znaczenia, a ty nie powinieneś się

martwić umierającym ojcem, ponieważ nie ma czegoś takiego jak umieranie. Jest życie i jest śmierć. Jest jedynie tu i teraz, a jeśli będziesz siedział i martwił się tym, co się stanie, przegapisz to, co najlepsze: to, że siedzimy tu razem.

– Zakochuję się w tobie – przyznał cicho, niemal przepaszajaco. Potarł ramiona dłońmi.
– Czasami przychodzisz mi na myśl i chciałbym myśleć o tobie przez resztę dnia. Ponieważ marzenie o tobie jest dużo łatwiejsze niż rozważania nad rakiem. Chciałbym siedzieć w lesie i myśleć o tobie. Chciałbym wstać rano i myśleć o tobie. Chciałbym grać i myśleć o tobie. Ponieważ kiedy myślę o tobie, świat wydaje się lepszy. Ale potem przypominam sobie, że nie mogę o tobie myśleć, bo nie jesteś moja. Jesteś jedynie snem. A ja nie jestem chłopakiem, który może śnić dobre sny. Ja mogę mieć tylko koszmary. – Położył mi rękę na sercu, wyczuwając jego bicie. – Nie rób mi tego, Art. Nie pozwól mi się w tobie zakochać. Nie pozwól mi się kochać. Ponieważ wszystko, co kiedykolwiek kochałem, popada w nicość, a myśl, że mógłbym cię stracić, jest dla mnie teraz zbyt wielkim ciężarem. Nie pozwól mi śnić dobrych snów. Obudź mnie.

Mówił z bólem, prosto z serca, bez ogródek. Zobaczyłam drzemiące w nim obawy i cierpienie. *Również to czuję.*

Wydawało się, że życie jest niesprawiedliwe. Podczas gdy ja za kilka miesięcy miałam powitać nowe życie, Levi przygotowywał się na pożegnanie.

Chciałabym, by jego problemy były moimi. Nikt nie zasługiwał na cierpienie, przez które on teraz przechodził. Od pierwszego dnia dobrze mnie traktował, więc z powodu jego złamanego serca bolało mnie moje.

– Możemy znów się pocałować? – zapytałam, chcąc, by wiedział, że nie jestem tylko snem.

Skinął głową.

– Chciałbym.

Nasz drugi pocałunek nie był ani trochę podobny do pierwszego. Kiedy wargi Leviego odnalazły moje, załkałam. Czułam, jak smutny był, gdy mnie całował, i to mnie zasmuciło. Czułam, że jego łzy mieszają się z moimi, kiedy nasze usta się zetknęły. Staraliśmy się ze wszystkich sił żyć tu i teraz, w ciemności, razem. Oboje byliśmy załamani. Byliśmy zmęczeni egzystencją, ale dzisiaj całowaliśmy nasze popękane serca. Całowaliśmy z obawą. Z gniewem. Ze wszystkimi uczuciami. Po czym całowaliśmy się jeszcze mocniej. Byliśmy znużeni, ale byliśmy razem, tworząc własny rodzaj sztuki. Staliśmy się arcydziełem stworzonym z dwóch samotnych dusz. Kolor w naszych oczach zmętniał, ponieważ wiedzieliśmy, że niekiedy najpiękniejsze dzieło sztuki tworzone było z najmroczniejszego zakątka duszy.

ROZDZIAŁ 35

Levi

Obudziłem się, obejmując Arię. Zacząłem myśleć intensywnie, przypominając sobie powoli wczorajszy wieczór. Promień słońca wpadający przez okno osiadł na jej twarzy.

Słońce.

Ranek.

Szlag!

Wyskoczyłem z łóżka, złapałem buty, rzuciłem się...

– Nie musisz panikować, już i tak zostałeś przyłapany.

Obróciłem się i zobaczyłem panią Watson stojącą w drzwiach z kubkiem w ręku.

– Pani Watson, mogę wytłumaczyć...

– Napijesz się kawy, Levi? – zapytała, po czym poszła do kuchni. Poczłapałem za nią, nieco zaniepokojony, znalazłszy się w pomieszczeniu pełnym noży. Ostrożnie przeczesalem palcami zmierzwione włosy, przyglądając się, jak pani Watson wyciąga z szafki drugi kubek. – Śmietanki? Cukru? – zapytała.

– Tak, poproszę – odpowiedziałem, siadając na jednym z wysokich stołków przy kuchennej wyspie. Kilka chwil później dostałem kawę, przy czym zacząłem się zastanawiać, czy istnieje możliwość, by była zatruta.

– Słyszałam o twoim ojcu. – Oparła się o wyspę naprzeciw mnie. – Bardzo mi przykro.

Wzruszyłem ramionami, wodząc palcami po brzegu kubka.

– Kiedyś się z nim spotykałam – powiedziała, przez co niemal parsknąłem kawą.

Uśmiechnęła się. – To było bardzo dawno temu. Mieliśmy wtedy mniej więcej tyle lat co ty i Aria, więc dziwnie mi się na was patrzy. To dość surrealistyczne.

– Lubię ją, pani Watson. Bardzo.

– Ona też cię lubi i myślę, że w tym właśnie tkwi problem. Przechodzi teraz trudny czas. I mnóstwo zachowuje dla siebie. O wielu sprawach nam nie mówi. Najgorsze uczucie dla rodzica to bezradne obserwowanie cierpienia dziecka. Obawiam się, czy to nie przez to jest z tobą, ponieważ unika mierzenia się z głębszymi problemami.

– Chce pani, byśmy przestali się widywać? – zapytałem, mając nadzieję, że zaprzeczy.

Pani Watson skrzywiła się.

– Nie wiem, ponieważ kiedy pojawiłeś się wczoraj, by zabrać ją na bal, pierwszy raz wyglądała na... szczęśliwą. Jakby znów była sobą. Chciałabym tylko... Mógłbyś postępować z nią powoli? Moglibyście się przyjaźnić?

– Oczywiście.

– Co oznacza żadnego zostawiania na noc.

– Przepraszam. To była dość okropna noc i nie miałem z kim porozmawiać. Nie miałem zamiaru tu spać, przyrzekam. Przepraszam.

Zmrużyła oczy i uśmiechnęła się.

- Jesteś bardzo podobny do swojego ojca, co mnie przeraża.
- Zawsze taki był? – zapytałem, myśląc o oziębłości taty i jego gburowatym charakterze.

– Pamiętam, że kiedyś był inny, ale teraz już nie wiem, czy wymyśliłem to sobie, czy co.

Pokręciła głową, podeszła do lodówki, wyjęła jajka i boczek.

- Kent nie był najłatwiejszą osobą na świecie, jednak w swoich decyzjach zawsze kierował się dobrem innych. Jego poczynania nie zawsze były w porządku, ale motywy za nimi stojące pochodziły z serca. Nie chciał być trudny.
- Kiedy go odwiedzałem, cieszył się z tego.
- Jest szczęśliwy z powodu twojej obecności, uwierz mi. Twój tata nie mówi za wiele. Nigdy tego nie robił. Zatrzymuje uczucia wewnątrz. Kiedy przestałeś przyjeżdżać, myślę, że stał się samotny, ale zamiast coś z tym zrobić, zamknął się w sobie i skrył uczucia.

– Byliście zakochani?

Pokręciła głową.

- Może zauroczeni, ale tak naprawdę on kochał twoją mamę, choć po drodze popełnił kilka błędów. A ja prawdziwie kochałam tylko jednego mężczyznę. – Po policzku pociekła jej łza, ale pani Watson śmiała się, ocierając ją. Wyglądała na zawstydzoną. – Tak się właśnie dzieje, kiedy zbyt często pracuje się w szpitalu na nocną zmianę.
- Mam szczerą nadzieję, że się pani ułoży, pani Watson.

Posłała mi nerwowy uśmiech i skinęła głową.

- Dziękuję, Levi. A teraz przejdźmy do ważniejszych rzeczy, jesteś głodny?

Zaczęła przygotowywać śniadanie, a ja mimowolnie zacząłem myśleć o tym, jak bardzo tęskniłem za mamą. Kiedy nie odchodziła od zmysłów, przyrządzała mi śniadania i rozmawiała ze mną przy jedzeniu. Brakowało mi tego.

Zjadłem i podziękowałem pani Watson, po czym wyszedłem.

- On cię kocha, Levi. Wiesz o tym, prawda? – zapytała, stojąc w drzwiach. Wzruszyłem ramionami, przez co zmarszczyła brwi. – Kiedy dowiedział się, że ma raka, przyszedł do mnie. Po to samo co ty. Kiedy usiedliśmy na kanapie, poprosiłam, by powiedział, co by zmienił w życiu, gdyby dostał na to szansę.
- I co odpowiedział?
- Że nic. Powiedział „nic”. Jednak kilka tygodni później zawitałeś u niego i myślę, że to znaczyło więcej niż jakiegokolwiek słowa.

Następnego sobotniego wieczora mieliśmy zaprezentować nasze projekty „Art&Soul” jako zwieńczenie zajęć muzycznych pani Jameson i zajęć plastycznych pana Harpera. Lance i Daisy powiedzieli, że będą siedzieć na środku pierwszego rzędu. Do domu taty zaczęła przychodzić pielęgniarka, by mu pomagać, zatem nie mógł się pojawić. *Nie to, żeby chciał.*

Simon i Abigail również przyszli, całowali się przez większość wieczoru. *Boże. Takie nieustanne całowanie musiało być męczące.*

Prezentacja projektów odbywała się w auli, w której zmieściło się więcej ludzi niż sądziłem. Siedzieliśmy z Arią z boku sceny, obserwując występujących przed nami uczestników. Wszyscy mieli gotowe dzieła, więc wychodzili na scenę, omawiali techniki ich wykonania, a ich partner grał w międzyczasie jakiś utwór.

Oddech Arii przyspieszył, gdy patrzyła na scenę.

– To był kiepski pomysł – powiedziała, kręcąc głową. – Powinniśmy zrobić jak wszyscy i przynieść skończone obrazy. A jeśli mi się nie uda? Jeśli nie będę mogła ruszyć ręką i malować na oczach tych wszystkich ludzi? Co jeśli...

– Popatrz na mnie – poprosiłem. – Popatrz na mnie i oddychaj. Dasz radę, Art. Skinęła nieznacznie głową i spojrzała na scenę. Wytrzeszczyła oczy.

– Przyszedł.

– Twój tata? – zapytałem, wiedząc, że martwiła się, czy tu zawita.

– Nie. To znaczy tak, jest tutaj, ale nie chodziło mi o niego.

– A o kogo? – Wyjrzałem i zobaczyłem, że obok Lance’a siedzi mój tata, przez co poczułem ucisk w gardle. Wyglądał na słabego i zmęczonego, ale był tutaj. *Przyszedł.*

Pan Harper zapowiedział nas, więc weszliśmy na scenę. Kiedy Aria rozkładała przybory do malowania, ja postanowiłem zagadać do publiczności.

– Witamy wszystkich. Jestem Levi Myers, a to Aria Watson. Postanowiliśmy na żywo wykonać trzy elementy sztuki. Pomyśleliśmy, że fajniej będzie tworzyć coś na bieżąco niż przynosić gotowe. Nie no, tak naprawdę nie wyrobiliśmy się z czasem i nie mieliśmy nic przygotowane – zażartowałem, przez co publiczność zaczęła się śmiać. – Nasz projekt nazywa się „Nonsensowne oksymorony”.

Aria obdarowała mnie uśmiechem, dając znać, że jest gotowa. Wziąłem skrzypce, odchrząknąłem i zacząłem grać. Przeciągnąłem smyczkiem po strunach, zaczynając *Love You Till The End*, kiedy Aria zaczęła łamać patyki i kruszyć liście przyniesione z lasu, by stworzyć swoją abstrakcję.

Używała ciemnych, głębokich kolorów: granatów, fioletów, czerni, brązów i szarości. Stworzyła dzieło przepełnione mrokiem, rozpaczą, gniewem. Kiedy zatraciłem się w nutach, ona zatraciła się w kolorach. Zatonęła w nich; stała się ponura, te barwy płakały. Dosłownie stała się sztuką, co było jednocześnie piękne i przerażające.

Drugim utworem była piosenka *Fix You* zespołu Coldplay. Aria używała przy nim jasnych kolorów: żółci, różu, pomarańcza. Rozluźniła się, nakładając je z łatwością na płótno. Jej mrok został zastąpiony światłem kogoś zdrowiejącego, odnajdującego drogę i szczęście. Pozwoliła, by dźwięk moich skrzypiec był dokładnym przeciwieństwem tego, co sama tworzyła. Fajnie było widzieć, że w jej drugim obrazie jest tyle pogody i życia.

Jako ostatni utwór zagrałem *Masterpiece* Jessie J – to Aria go wybrała. Piosenka opowiadała o przytłoczeniu i presji wywieranej na człowieka. Ukazywała też upadek i powstanie po nim. Mówiła o odnajdywaniu własnej drogi, poznawaniu życia, uczeniu się oddychania.

Przez kilka chwil Aria siedziała, patrząc na puste płótno. Odłożyła patyki i liście i zanurzyła palce w farbie. Fiolety, zielenie, żółcie, błękity. W jej oczach pokazały się łzy, gdy zaczęła malować palcami, przeciągając ręką w dół i w górę płótna. Kolory rozmazywały się, mieszały ze sobą i tworzyły nowe. Zaczęła malować jak szalona, łzy spływały jej po policzkach, a kiedy je otarła, rozmazała sobie farbę na twarzy.

Skończyłem grać, a Aria opuściła ręce. Oddychając pospiesznie, patrzyła na stworzony kontrolowany chaos.

Obróciła się do mnie. Uśmiechnąłem się. Ona również się uśmiechnęła.

Cała sala zaczęła wiwatować i klaskać, nagrodzili nasze dzieło owacją na stojąco.

– Byliście fantastyczni! – krzyknęła Abigail, przepychając się do nas po występie i ciągnąc za sobą Simona. – Wiedziałam, że oboje macie talent, ale to, co tam zrobiliście, było ponad wszystko. Inni w porównaniu z wami wypadli blado.

– No wiesz... – Aria uśmiechnęła się i oparła ręce na brzuchu. – Niektórzy urodzili się po to, by się wyróżniać.

– Wy zdecydowanie tak! – powiedział Lance, podchodząc do nas. Tata szedł wolno za nim. – Byliście niesamowici. Przez chwilę myślałem, że Art ma zamiar malować tak, jak grała na perkusji, ale na szczęście wyszło wręcz przeciwnie. To było niesamowite. I ty! – Klasnął w dłonie, rozpromieniony dumą. Złapał mnie za głowę i ucałował siarczyście w czoło. – Ty jesteś takim muzykiem, jakim ja chcę być, kiedy dorosnę.

– Tak, on ma rację – powiedział pan Watson, machając programem występów. – Jesteś naprawdę utalentowany, Levi. – Czekałem, aż doda: „jak na gnojka” lub „pieprzonego frajera”, ale tego nie zrobił. Spojrzał na mojego tatę, po czym uśmiechnął się do niego niemal przeprasząco. – Jest dobry, Kent.

Tata skinął głową i tak jakby się do mnie uśmiechnął, co odebrałem jako gigantyczny uścisk.

– Jeśli wasi rodzice nie mają nic przeciwko, przygotowaliśmy z Lance’em imprezkę na waszą cześć. Zapraszamy do nas, będzie nedorzeczną ilość muzyki, obrazów i pizzy! – zaproponowała Daisy. Razem z Arią jęknęliśmy na samą myśl o pizzy Daisy; zapewne zrobionej z błota, a już na pewno o takim smaku. Daisy roześmiała się, wiedząc, o czym myślimy. – Nie martwcie się, nie wegańska. Domyśliłam się, że lubicie te okropne modyfikowane genetycznie organizmy wypełnione chemią, która truje powoli i z pewnością w końcu doprowadzi do upadku znanego nam świata.

– O rany, mam nadzieję, że będzie kielbasa pepperoni – zażartowała Aria. Obróciła się do rodziców i zapytała czy może iść.

Po chwili konsternacji do rozmowy wciął się Simon:

– Nie musicie się martwić, przypilnuję, by Aria dobrze się zachowywała.

– Tylko nie stój za długo – pouczyła córkę pani Watson.

– I zadzwoń, jeśli będziesz potrzebowała podwózki do domu – zaoferował jej tata, po czym przysunął się i pocałował ją w czoło. Wytrzeszczyła oczy, patrząc na niego. Złapał ją za ramię. – Byłaś dzisiaj cudowna.

Aria podziękowała mu ze łzami w oczach.

Simon i Abigail zgodzili się przyjść do Soulful Things, jednak najpierw postanowili wrócić do swoich domów. Byłem pewny, że to tylko wymówka, by mogli całować się trochę dłużej.

ROZDZIAŁ 36

Aria

– Byłeś dziś niesamowity! – powiedziałam Leviemu. – Nigdy nie słyszałam, żebyś tak grał, tak... nieskrępowanie i naturalnie.

– I wzajemnie – powiedział, kiedy wchodziliśmy do Soulful Things po tym, jak Lance i Daisy odwieźli Kenta do domu, gdzie czekała pielęgniarka. Daisy zadbała o to, by w sklepie grała muzyka i by na stolikach znalazły się pizza i przekąski. Następną godzinę spędziliśmy, rozmawiając o występie. Śmiałyśmy się z obrazu Connora, który przypominał dziwaczne penisy, i mówiliśmy o tym, jak byliśmy pod wrażeniem, gdy pani Jameson w końcu zdecydowała się zgolić bródkę, oraz o tym, że nie było zaskoczeniem, iż pan Harper rozwinął długi monolog na temat swojej miłości do Leonarda da Vinci.

– Będzie mi brakowało tych zajęć – powiedział Levi, siedząc na podłodze z bębniem między nogami, w który od czasu do czasu uderzał.

– Mnie też. – Przede wszystkim będę tęskniła za codzienną pracą z partnerem. Rozpoczęcie kolejnego semestru oznaczało dla mnie naukę w domu do końca roku. Będzie brakowało mi przypadkowych cytatów Abigail podczas lunchu, siedzenia w brudnym autobusie obok Simona, jednak najbardziej każdego ranka kopania na przystanku niewidzialnych kamyczków z chłopakiem w niebieskich trampkach.

– A gdzie są Simon i Abigail? – zapytał Levi, wrywając mnie z zamyślenia, przez które wpadłam w niewielką nostalgię. – Spóźniają się już pół godziny.

Niczym wywołana do tablicy, Abigail w tej samej chwili otworzyła drzwi sklepu. Miała szeroko otwarte oczy i dyszała, jakby biegła całą drogę z domu. Oparła ręce na biodrach i pochyliła, starając się złapać oddech.

– Simon jest w podłym nastroju.

– Co? Tylko dlatego, że przestaliście się całować? – zażartowałam.

– Nie. – Pokręciła głową. – Dużo gorzej... Chociaż to też było okropne. Próbowałam go uspokoić słowami: „Co jest poza moim umysłem, nie ma zgoła żadnego wpływu na mój umysł. Zrozum to, a odzyskasz na stałe spokój”. A wiecie kto to powiedział?

– Marek Aureliusz – odparł natychmiast Levi.

Abigail uniosła brwi.

– Skąd wiedziałeś?

– Zgadywałem – powiedział, puszczając do mnie oko.

– Tego nie było w planie! – krzyknął Simon, wchodząc do sklepu. – Nie wierzę, że mi to zrobili! – wydierał się, oddychając ciężko i zaciskając palce na kartce papieru.

– A kto dokładnie co ci zrobił? – zapytałam.

– Moi rodzice! Tego nie było w planie, nie mieliśmy wyjeżdżać!

Poczułam ucisk w gardle.

– Co?
– Tata dostał awans – wyjaśnił. – Znalazłem to na stole w jadalni. Nawet mi o tym nie powiedzieli!
– A co złego jest w awansie? – zapytał Levi, mrużąc oczy.
– Jego nowe stanowisko pracy znajduje się w Waszyngtonie. – Simon westchnął, zdjął okulary i potarł oczy.
Waszyngton?
Waszyngton?!
– Kiedy ich o to zapytałem, powiedzieli, że nie wyprowadzimy się aż do wakacji, ponieważ muszę skończyć semestr i dziecko musi przyjść na świat. Ale dlaczego wcześniej mi nie powiedzieli?! Jakby sami już postanowili! To niesprawiedliwe – narzekał, jednak ja dalej myślałam o słowie „Waszyngton”.

Keira i Paul pragnęli otwartej adopcji; ja również jej chciałam, ponieważ myślałam, że będę mogła obserwować, jak dziecko wzrasta w szczęśliwej, kochającej rodzinie. A to się nie wydarzy, jeśli ja pozostanę w Wisconsin, a oni przeniosą się do Waszyngtonu.

Do oczu nabiegły mi łzy, kiedy ścisnęło mnie w piersi, a dziecko zaczęło poruszać się w brzuchu. *Tego nie było w planie.*

– To najsmutniejsza impreza, jaką w życiu widziałem – powiedział Lance, schodząc ze schodów. Wszyscy siedzieliśmy na podłodze, nie odzywając się do siebie, a jedynie słuchając muzyki. – Poważnie, ludzie. Nie potraficie się bawić.

– Przechodzimy depresję – wyjaśnił Simon.

– Jesteście zbyt młodzi, by popadać w depresję, no chyba że macie rzeźączkę. To draństwo skutecznie zabija nastrój. – Lance parsknął śmiechem, choć po chwili zdał sobie sprawę, że nikt z nas jakoś nie podjął tematu. – No dajcie spokój! Żarty na temat rzeźączki zawsze są dobre!

Milczeliśmy.

– Dobra. Ponieważ jesteście teraz zbuntowanymi nastolatkami, może przeniesiemy się na poddasze, gdzie Daisy przygotowała dla was superzabawę?

– Nie, dzięki – burknął Simon.

– Jesteśmy zbyt zdołowani – odparłam.

Lance skrzyżował ręce na piersi i zmrużył oczy.

– Słuchajcie, małe gnojki, Daisy wychodziła z siebie, by przygotować dla was atrakcje, więc ruszycie leniwe tyłki i zawleczeć je na poddasze, gdzie je sobie nieco odmrozicie, ale będziecie się dobrze bawić. – Popatrzyliśmy na niego tępo, nim podniósł głos: – W tej chwili!

Na górze stały oparte o ścianę dwie gitary, wielkie płótna oraz koszyki z balonami napełnionymi wodą. Obok koszy znajdowały się cztery pisaki i za cholerę nie wiedziałam, co to wszystko miało znaczyć. Na środku stała Daisy z jak zwykle promiennym uśmiechem.

– Dobra, moi drodzy. Aby uczcić wielki wieczór Arii i Leviego, pomyśleliśmy z Lance'em, że byłoby świetnie, gdybyśmy przeżyli eksplozję koloru. W balonach nie ma wody, są za to różne farby. Pisakami macie zapisać na nich, co aktualnie czujecie. Wszystko: dobre, złe, brzydkie i piękne emocje. Do tego będzie muzyka, która dzięki Lance'owi będzie tylko wasza. – Wzięła jedną z gitar, a Lance drugą. – Do dzieła.

Podeszliśmy do balonów, po czym zaczęliśmy zapisywać na nich to, co aktualnie

czuliśmy. Notowaliśmy ulubione słowa oraz te, których nienawidziliśmy. Słowa, słowa, słowa.

Simon zapisał „Waszyngton” i cisnął balonikiem w płótno; rozbijając się, balonik utworzył żywą, niebieską plamę. Nawet jeśli chłopak nie znosił Waszyngtonu, to kiedy farba rozbryznęła się po płótnie, musiał się uśmiechnąć.

– To właściwie zarąbiste.

Słowami, które zapisaaliśmy, a które wybuchły farbą na płótnie, były:

Zdrowy.

Dziecko.

Adopcja.

Duża odległość.

Muzyka.

Plastyka.

Ból.

Łzy.

Kopnięcia.

Śmierć.

Rak.

Śmiech.

Smutek.

Ty.

Ja.

My.

Kolorowe farby rozlały się na płótnie, rozbryzgując się na boki. Pod koniec tworzenia naszego dzieła znów wszyscy zanosiliśmy się śmiechem, kiedy całkowicie umazaliśmy sobie ręce. Levi dotknął palcami mojego policzka, zostawiając na nim fioletowe ślady. Zachichotałam i oznaczyłam jego twarz na zielono. Wziął ostatni balonik i stanął przede mną. Był tak blisko, że byłam pewna, iż mnie pocałuje, jednak tego nie zrobił. Zamiast tego wziął pisak i zapisał na balonie ostatnie słowo.

W niektórych słownikach znajduje się nawet sto pięćdziesiąt tysięcy haseł. Oznacza to sto pięćdziesiąt tysięcy słów i jeszcze więcej ich znaczeń. Niektóre słowa są głupie, inne ranią. Niektóre są radosne, inne gniewne. Tak wiele liter składało się na tak wiele różnych sposobów, tworząc tak wiele słów i ich unikatowych znaczeń.

Mnóstwo, a mimo to pod koniec pozostało tylko jedno. Jedyne, które jednocześnie oznaczało niebo i piekło, słońce i deszcz, dobro i zło, piękno i brzydotę. Jedyne, które miało sens, gdy wszystko wokół było trudne, bolesne i bezwzględne.

Miłość.

Uśmiechając się, złapałam Lewiego za mały palec i szepnęłam:

– Kocham cię.

Może nie powinniśmy się tak czuć, jednak taka była prawda o nas. Moje serce podskoczyło, kiedy Levi pocałował mnie w czoło i czule szepnął:

– Też cię kocham.

ROZDZIAŁ 37

Aria

Nazajutrz Keira i Paul siedzieli w naszym salonie, wyjaśniając moim rodzicom i mnie, dlaczego awans nie był spodziewany.

– Nawet nie wiedziałem, że jestem brany pod uwagę – wyznał cicho Paul. – I przykro mi, że dowiedziałas się w ten sposób, Ario. Simon nie powinien był nic ci mówić.

Wzruszyłam ramionami.

– I tak bym się dowiedziała.

Keira oparła dłonie na udach i uśmiechnęła się zdenerwowana.

– Wiem, że nie tak się umawialiśmy, i jeśli się nie zgodzisz, Paul nie przyjmie tego awansu.

– Tak, z pewnością – zgodził się mężczyzna. – Nawet jeśli to dziesięciokrotnie miałyby poprawić naszą sytuację finansową, pozwalając spłacić dług za lata walki o dziecko.

Keira uszczypnęła go w ramię, przez co się skrzywił.

– Ale nie chodzi o pieniądze. Chodzi o to, co ty czujesz.

Zerknęłam na mamę i tatę, chcąc, by coś za mnie powiedzieli, wymazali problemy i podjęli decyzję, jednak wiedziałam, że jest to wyłącznie moja odpowiedzialność.

Do domu weszli roześmiani Mike i James. Zamarli na nasz widok. Mike jęknął:

– Tylko nie kolejna emocjonalna jazda z powodu dziecka.

James natychmiast na mnie spojrzał, a w jego oczach pojawiła się troska.

– Coś dzieje się z dzieckiem? Wszystko z nim dobrze? – Poziom zaniepokojenia w jego tonie był alarmujący.

Spojrzałam po innych, upewniając się, że nikt nie zauważył mojego zakłopotania, po czym odpowiedziałam:

– Z dzieckiem wszystko w porządku. Świętujemy jedynie awans Paula i ich przeprowadzkę do Waszyngtonu.

Keira złapała się za serce, wciągnęła gwałtownie powietrze i zapytała:

– Tak?

Patrząc na swoje paznokcie, skinęłam głową.

– Tak. Gratulacje.

James wszedł głębiej do pokoju, gdzie przeczesał palcami włosy.

– Zatem dziecko pojedzie do Waszyngtonu? Nie będziesz za nim tęskniła, Ario? Nie chcesz, by było bliżej domu?

Zaczął się pocić, co poznałam po tym, że ocierał dłoni o jeansy. Tata odchrząknął i zwrócił się do Jamesa:

– Przepraszam, James, ale to prywatna rozmowa.

James zamrugnął, po czym zaczął się kajać.

– Nie chciałem przekraczać granic.
Granice już dawno zostały przekroczone i zatarte.

– Chyba nie myślisz poważnie, by pozwolić im zabrać dziecko do Waszyngtonu! – James bez zaproszenia wtargnął do mojego pokoju. Zapewne siedział do tej pory u Mike'a, czekając na dogodną sposobność, by ulotnić się do łazienki, która najwyraźniej wyglądała jak moja sypialnia.
– Powinnaś o tym ze mną porozmawiać.

Uniosłam brwi.

– Dlaczego miałabym o tym z tobą rozmawiać? To nie twoja sprawa.

– Nie moja... – Opadła mu szczęka, nim oszołomiony zakrył dłonią usta. – To też mój dzieciak!

Poderwałam się z łóżka i zatrzasnęłam drzwi pokoju.

– Chcesz powiedzieć to jeszcze głośniej? Sądzę, że w Kanadzie jeszcze cię nie słyszeli!

Ucisnął nasadę nosa i zaczął chodzić po mojej sypialni.

– Przepraszam – mruknął. – Nie wiem, co robię. – Wyszedł ze zwieszoną głową.

Usiadłam w fotelu i pogłaskałam rosnący brzuch. Przynajmniej to mieliśmy z Jamesem wspólne; oboje nie wiedzieliśmy, co robimy.

ROZDZIAŁ 38

Levi

Zadzwoiła Denise i usłyszałem słowa, których przenigdy nie chciałem usłyszeć.

– Twoja mama jest w szpitalu.

– Dlaczego?

Denise tak ściszyła głos, że niemal jej nie słyszałem.

– Źle zareagowała na któryś z nowych leków i spadła ze schodów w klinice. Lekarze nie przekazali mi jeszcze żadnych szczegółów. – Płakała do słuchawki, słowa mieszały jej się chyba z myślami. – A tak dobrze sobie radziła, Levi.

Mówiła jeszcze, jak bardzo bała się o mamę, ale tak naprawdę nic nie wiedziała o obawach.

Bać mógł się ten, kto znajdował się tysiąc dwieście kilometrów od cierpiącej matki, czując się oddalonym o milion kilometrów od umierającego ojca, kto nie miał pojęcia, co robić.

W duszy mojej mamy mieszkała muzyka. Kiedyś uczyłem się gry na skrzypcach, a mama cytowała Nietzschego: „Życie bez muzyki byłoby pomyłką”. Jej aktualny stan psychiczny nie miał znaczenia. Jeśli jej umysł był ze mną, cytowała Nietzschego. Jeśli był gdzieś bardzo daleko, nadal cytowała Nietzschego.

Nawet jeśli jej umysł zapędzał się do najmroczniejszych zakamarków duszy, muzyka nadal w niej grała, to było jej lekarstwo, sposób na podtrzymanie życia.

W Wigilię stałem w sklepie Soulful Things, niepewny, co powinienem zrobić. Lance siedział w fotelu za mną i milczał. Nigdy w tym miejscu nie było tak cicho jak teraz. Kiedy opowiedziałem Lance'owi, co stało się z mamą, powiedział:

– Dlaczego najgorsze rzeczy zdarzają się najlepszym z ludzi?

Potem niezliczoną ilość razy powtórzył, że mu przykro, aż zabrakło mu słów.

– Jak mam wybrać? – szepnąłem. Zastanawiając się nad tym, pocierałem kark. – W jaki sposób mam wybrać rodzica, któremu mam pomóc? – Czy powinienem zostać z ojcem, którego nigdy nie miałem szansy poznać, a który z pewnością przeżywał ostatnie dni swojej egzystencji? A może powinienem wrócić do domu, do mamy, która zmagająca się ze skutkami wypadku i potrzebowała mojej obecności?

Jak miałem wybrać, kto jest ważniejszy?

Jak miałem wybrać rodzica, któremu pomóc?

Lance wstał i poszedł do magazynu. Wrócił z futerałem owiniętym czerwoną wstążką.

– Miałem dać ci to jutro, ale myślę, że możesz potrzebować tego dzisiaj.

Otworzyłem futerał, w którym znajdowały się nowe skrzypce. Ale to nie były byle jakie skrzypce. Był to Karl Willhelm model 64, te same, na które gapiłem się, odkąd pierwszy raz wszedłem do tego sklepu.

– Jezu, nie mogę ich przyjąć. Kosztowały ponad trzy tysiące dolarów.

– To prezent. Nastroiłem je dla ciebie. Są twoje. – Uśmiechnął się.

Wyjąłem je i przez chwilę patrzyłem, nim uniosłem do nosa i powąchałem. Dla muzyka zapach nowego instrumentu był porównywalny z zapachem nowej książki dla czytelnika. Był to znajomy zapach uświadamiający, że świat nie do końca jest straszny, że nadal istnieje w nim piękno.

– Zagraj, Levi – powiedział z troską Lance.

– Dziękuję – mruknąłem do niego, do muzyki, do mojej duszy.

Nastroiłem struny. Przeciągnąłem po nich smyczkiem.

Lance poszedł na górę. W chwili, gdy zniknął, wyłączyłem światła, przez co sklep spowiła ciemność.

Wszystko było takie same, a jednak zupełnie inne.

Zimniejsze.

Smutniejsze.

Opustoszałe.

Tak musiało być.

Palcami odkryłem przeprosiny, jakie oferowały mi skrzypce. Struny płakały dla mnie. Muzyka mnie rozumiała, gdy sam siebie nie mogłem pojąć. Była kocem ratunkowym chroniącym przed każdą obawą. Kołysałem się w przód i w tył, uciekając od rzeczywistości. Zatraciłem się w chwili, zapomniałem o otaczającym mnie świecie przepełnionym bólem.

Grałem aż zaboląły mnie palce.

Nie przerwałem.

Grałem aż zacząłem drzeć.

Nie przerwałem.

Grałem aż pękło mi serce.

Nie przerwałem.

Oderwałem smyczek od strun. Moje dłonie były trupio blade, ponieważ grałem intensywnie. Drżałem z powodu nerwów i chaosu myśli, jednak już znałem odpowiedź.

Wiedziałem, kogo wybieram, i to łamało mi serce.

Trzymaj się, Levi.

Musiałem się uspokoić, zapanować nad spanikowanym oddechem. Zastanawiałem się, czy tak właśnie czuła się mama. Czy jej ataki paniki były tak silne, że odczuwała je od palców stóp do czubka głowy? Czuła, jakby krzyczały na nią ściany? Świat zawsze był dla niej tak okropny i przerażający?

Musiałem znaleźć spokojne miejsce.

Ale nie wiedziałem jak.

Prawda była taka, że moim spokojem była mama. Zawsze mi pomagała. Nawet jeśli staczała najcięższe z bitew, była moją oazą. Gdy byłem huraganem, ona była okiem cyklonu. Pocieszała mnie, kiedy przestały przychodzić kartki od taty. Tuliła mnie, gdy stwierdził, że już nie chce mnie widzieć. Była przy mnie, a ja ją opuściłem.

Co jest ze mną nie tak?

Jak kiedykolwiek mogłem ją nienawidzić?

Była chora, a ja ją zostawiłem.

Błagała, bym wrócił, a ja ją olałem.

Była moją prawdziwą muzyką. Nie dźwiękami, które wygrywałem w ciemnych miejscach. Nie nutami nagradzanymi cieniem braw. Była kolorem mieszkającym w strunach. Była fioletami i błękitami, żółciami i czerwieniami, miłością płynącą z wibracji dźwięku.

Hannah Myers była muzyką.
Życie bez niej było pomyłką.

Tamtej nocy wróciłem do domu z decyzją. Miałem powiedzieć tacie, że muszę wracać do Alabamy i przez kilka tygodni pomóc mamie. Musiałem się upewnić, że wszystko z nią w porządku. Jednak gdy wszedłem, zobaczyłem poświatę z telewizora wyświetlającego białoczarne komedie. Tata siedział na kanapie przy ławie z kolacją na tacy, obok stał posiłek odgrzany dla mnie.

Ścisnęło mnie w piersi, gdy podeszła do mnie pielęgniarka, wyjaśniając, że wróci jutro wieczorem i że zostawiła przygotowane na rano leki. Zaraz potem wyszła.

– Podgrzałem ci kurczaka i stek, bo nie wiedziałem, co byś chciał – powiedział tata, poruszając łyżką w misce zupy. Usiadłem obok niego na kanapie i wspólnie oglądaliśmy film.

Nie zjadł za wiele, bo gdy unosił rękę, drżała, widziałem to. Zaoferowałem pomoc, ale prychnął i burknął jak zawsze.

W końcu pokonany odłożył łyżkę i skinął na mnie głową.

Nakarmiłem go zupą i wróciłem do punktu wyjścia, nie mając pojęcia, jak go zostawić i wrócić do domu.

– Ta piosenka, którą grałeś na występie w szkole, ta pierwsza...

– *Love You Till The End* zespołu...

– The Pogues. – Przytaknął, nadal patrząc na ekran telewizora. – To była nasza piosenka weselna.

Elementy układanki dotyczące mojej mamy, których nigdy w pełni nie rozumiałem, powoli zaczynały do siebie pasować.

– Co się z wami stało? Dlaczego się rozeszliście?

Przygarbił się nieco i potarł skroń.

– Spieprzyłem. Pewnego wieczoru ostro się pokłóciliśmy, po czym się upiłem i zacząłem podrywać w barze Camilę Watson. Właśnie dlatego jej mąż mnie nie znosi i dlatego Hannah ode mnie odeszła.

– Kochałeś Camilę?

– Nie. Nie. Byłem młody i głupi. Byłem gnojkiem, który popełnił wielki błąd. Okazało się, że był wystarczający, by twoja mama spakowała się i wyjechała. Chociaż jej za to nie winię. Zawsze się bała i martwiła, że zostawię ją dla innej. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że była chora, nie wiedziałem o jej problemach psychicznych. Powinienem być jednak walczyć. Powinienem być zrobić wszystko, by wróciła.

– Kochałeś ją? – zapytałem.

Pociągnął nosem i odchrząknął, ale nic nie odpowiedział. Kiedy był już zmęczony, zaprowadziłem go do sypialni i choć spierał się, że nie potrzebuje pomocy w przebraniu w piżamę, pozwolił mi to zrobić.

Leżał już w łóżku, a ja poszedłem zgasić lampę, kiedy usłyszałem, jak mruknął:

– Po wszystkie czasy.

Później tego samego wieczoru zadzwoniła do mnie Denise z informacją, że z mamą

wszystko dobrze. Nadal przebywała w szpitalu, ale czuła się o niebo lepiej.
Tamtej nocy płakałem w poduszkę.

Pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia jak co rano o szóstej poszedłem do lasu. Kiedy zobaczyłem tatę stojącego w pobliżu domku na drzewie, pomyślałem, że nadal śnię. Patrzył na szczeble prowadzące na górę. Każdy z nich pokryty był śniegiem. Tata stał z rękami w kieszeniach.

– Potrzebujesz kurtki – powiedziałem, widząc, że stoi w samej białej koszulce, która zrobiła się na niego za duża, ponieważ mocno schudł.

Pokręcił głową.

Stanąłem obok niego i razem gapiliśmy się na drewniane szczeble.

– Pamiętasz, kiedy je zrobiliśmy? – zapytał. – Miałeś dziewięć lat i kazałeś mi sprawdzać, czy są stabilne.

– Nie były. – Roześmiałem się.

On również się śmiał. To zadziwiające, jak ten dźwięk sprawiał, że jednocześnie czułem radość i ból.

– Kiedy spadłem, myślałem, że złamałem kość ogonową. Gdy wróciłeś do domu, miałem lód przyklejony do tyłka.

– Teraz są stabilne – powiedziałem, wskazując je ruchem głowy.

– Chociaż trochę stare. Powinniśmy spędzać tu więcej czasu. – Potarł kark, kopiąc śnieg. Zadrżał, kiedy zimny wiatr rozwał gałęzie drzew.

– Nie powinieneś tak stać na mrozie – wytknąłem.

– O ile mi wiadomo, to ja jestem tutaj ojcem, nie ty – warknął. Otarł nos wierzchem dłoni i odwrócił spojrzenie od domku. Westchnął ciężko i powiedział: – Słuchaj, nie potrafiłem sobie z tobą poradzić i myślę, że będzie lepiej, jeśli wrócisz do matki czy ciotki i tam zostaniesz.

Jego słowa zaboląły tak, że aż się cofnąłem.

– Nie zostawię cię.

– Lance powiedział mi o twojej mamie.

– Ma się już lepiej – odparłem. – Nic jej nie będzie. Mogę tu zostać i ci pomagać.

– Nie rozumiesz, co? – syknął. – Nie chcę cię, Levi. Nie chcę cię tutaj. – Nie patrzył na mnie. – Twój samolot odlatuje dzisiaj o wpół do ósmej wieczorem. Lance zawiezie cię na lotnisko. – Obrócił się i odszedł w kierunku domu, zostawiając mnie skrzywdzonego i skołowanego.

Znów mnie porzuca.

Poszedłem za nim do domu, ale odciął się ode mnie, zamykając się w gabinecie. Walilem pięściami w drzwi, krzycząc:

– Wpuść mnie, tato! Wpuść mnie! – błagałem.

Prosiłem, ale nie zareagował; w głębi duszy wiedziałem, że nie miał zamiaru mnie wpuścić.

Pod domem Arii pojawiłem się dwa razy. Za pierwszym obserwowałem ją śmiejącą się w salonie, kiedy z całą rodziną rozpakowywała świąteczne prezenty. Dom wypełniony był życiem i nie chciałem rujnować Watsonom świąt, więc wróciłem do taty i czekałem. Zdążyłem spakować swoje rzeczy.

Siedziałem na łóżku, gapiąc się na zegarek stojący na komodzie.

Była szesnasta trzydzieści pięć.

Lance powiedział, że przyjadą z Daisy o piątej, by odwieźć mnie na lotnisko.

Wziąłem dwie płyty, które przygotowałem dla Arii i Mango, i wsadziłem je do kieszeni kurtki. Wiedziałem, że płyty nie były najlepszym ani najdroższym prezentem świątecznym, ale miałem nadzieję, że się spodobają. Idąc do domu Arii, myślałem tym, jak w możliwie najlepszy sposób poinformować ją o moim wyjeździe. Chciałem, by wiedziała, że bez względu na wszystko coś wymyślimy, by się nam poukładało, nawet jeśli miało nas dzielić tysiąc dwieście kilometrów.

ROZDZIAŁ 39

Aria

Wieczorem w Wigilię usłyszałam na podjeździe dźwięk furgonetki taty. Podbiegłam do okna i zobaczyłam, jak tata wyciąga walizki. Wrócił. Mimo padającego śniegu mama wyszła przed dom, by go przywitać. Przez chwilę po prostu stali, opierając się o siebie czoła, tuląc się w ramionach.

Następnego ranka, gdy obudziła się Grace i zobaczyła tatę na dole, rzuciła mu się w objęcia, bardziej podekscytowana jego widokiem niż prezentami leżącymi pod choinką. Po czym oczywiście zobaczyła prezenty i zanurkowała w nie.

Czułam, jakby wszystko w końcu zaczynało się układać – przynajmniej jakby zaczynała się budować nasza nowa normalność. Nie miałam jeszcze szans, by zadzwonić czy napisać do Leviego, ale nieustannie o nim myślałam. Po późnym lunchu włożyłam kozaki i kurtkę, by wybrać się do niego i dać mu prezent.

Otworzyłam drzwi i cofnęłam się, ponieważ na naszym ganku, z rękami w kieszeniach, stał James.

– Co tu robisz? – zapytałam zdezorientowana.

Z czerwonymi od mrozu policzkami parsknął śmiechem.

– Tobie również wesołych świąt. – Nie odpowiedziałam. Przeczesał palcami już i tak zmierzwiłone włosy. Pod oczami miał cienie, wyglądał na wyczerpanego. – Możemy pogadać?

Ostrożnie skinęłam głową i wyszłam na ganek. Oparłam ręce na brzuchu i przestąpiłam z nogi na nogę, ponieważ ostatnio bolały mnie plecy.

– Nie sądzę, byśmy mieli o czym rozmawiać.

– Zerwałem z Nadine – wypalił.

– Co?

– Dobra, ona zerwała ze mną, kiedy powiedziałem jej o dziecku.

– Co?! – krzyknęłam.

– Przestań się wydzierać, dobrze?! – skarcił mnie, marszcząc nos.

– Dla... Dlaczego zrobiłeś coś tak głupiego?! – Moje serce przyspieszyło, przez co spłycił mi się oddech.

– Myślę, że powinniśmy je zatrzymać.

– Zamknij się.

– Przepiszę się na lokalną uczelnię. Znajdę pracę. Albo i dwie. Uda nam się. Możemy wynająć mieszkanie...

– O mój Boże. Jesteś pijany? Proszę, przyznaj, że się upiłeś, bo gadasz jak wariat! – Próbowałam przekonać samą siebie, że stroi sobie żarty, ale jego spojrzenie podpowiadało mi, że mówi całkiem poważnie. – Nie myślisz jasno.

– Możemy to zrobić, Ario.

– Nie – poprawiłam go. – Nie możemy. Właśnie o to chodzi, że on już nie jest nasz, James.

– Poszukałem informacji – wyjaśnił, podchodząc do mnie, przez co się zdenerwowałam. – Na kilku stronach w Internecie było napisane, że ojciec dziecka też ma coś do powiedzenia w sprawie adopcji.

– Wyraziłeś już swoją opinię.

– Ale zmieniłem zdanie. Ludzie mogą to robić. – Chciał złapać mnie za rękę, ale się odsunęłam.

– Nie dotykaj mnie – poleciłam.

– Chcę być z tobą, Ario. – Jego słowa podszyte były fałszywymi obietnicami i stekiem kłamstw. – Nie myślałaś o tym? O zatrzymaniu go?

Czasami.

– Proszę – powiedział, spojrzął za mnie, nim przysunął się, by mnie pocałować.

Kiedy nasze usta zetknęły się, szepnęłam ostro:

– Nie dotykaj mnie!

Odsunął się, a ja usłyszałam, jak ktoś za nami odchrząknął. Obróciłam się i zobaczyłam Leviego stojącego na chodniku i trzymającego dwa prezenty owinięte w gazetę.

– Levi. Jak długo już tu stoisz?

Niebieskimi tenisówkami zaczął kopać śnieg.

– Wystarczająco długo, by wiedzieć, że to on jest ojcem. I że chce z tobą być. I że cię pocałował.

– To nie tak... – zaczęłam, ale przerwał mi James.

– To sprawa rodzinna, stary. Byłoby świetnie, gdybyś stąd zniknął.

– James! – krzyknęłam. Znów spojrzałam na Leviego, który miał oczy pełne odrzucenia.

– Tak, oczywiście. Chciałem tylko dać tobie i Mango prezenty. – Zamachał paczuszkami, po czym wszedł na ganek i mi je podał. – Wesółych świąt, Art.

Obrócił się, by odejść. Chciałam iść za nim, ale James złapał mnie za rękę i przytrzymał w miejscu.

– Zostaw go.

Wyrwałam mu rękę i uderzyłam go w policzek.

– Mówiłam, żebyś mnie nie dotykał!

– Co się tu dzieje? – zapytał tata, wchodząc na ganek. Spojrzął na Jamesa. – Cześć, młody. Wesółych świąt.

– Dziękuję, panie Watson. Wzajemnie.

– Szukasz Mike'a?

Skrzywiłam się i przysunęłam się do taty.

– Nie, on właściwie...

– To ja jestem ojcem – powiedział James, przerywając mi w pół zdania.

Do taty nie od razu dotarły jego słowa. Stał jak wcześniej, tylko zamrugał i zmrużył oczy.

– Słucham? – *O mój Boże.* Byliśmy tak niedaleko od przyzwoitych świąt. Tak niewiele brakowało, by nasza rozbita rodzina znów wiodła normalne życie.

– To ja spałem z...

– Nawet nie kończ tego zdania – polecił tata.

– Arię – jednak dokończył James. Najwyraźniej nie miał zamiaru poszanować czyichś świąt.

– Co? – zapytał Mike, stając w drzwiach dokładnie na przeciwko swojego najlepszego przyjaciela. W lewej dłoni trzymał roladę z szynki, prawą już zacisnął w pięść. Wszedł na

zewnątrz, oddychając gwałtownie. – Spaleś z moją młodszą siostrą?! – Jego ton przesycony był gniewem.

– Mike, to był wy... – Pięć Mike'a spotkała się ze szczęką Jamesa, przez co chłopak przeleciał przez cały ganek. – Wypadek – mruknął James, ocierając wierzchem dłoni usta.

– Zabiję cię! – wykrzyknął Mike, rzucając się w stronę Jamesa, jednak tata złapał go, nim zdążył wyrzucić mu większą krzywdę, a James w tym czasie cofnął się pod balustradę. – To moja siostra, ty gnoju!

– Mike, wyluzuj! – powiedział tata, mocno trzymając syna, który był pięć sekund od zamordowania swojego przyjaciela.

– Chcę wychować to dziecko – powiedział James, ocierając krew z wargi.

– Zamknij się! – jęknęłam. – Przestań to powtarzać.

– Nie przestanę – rzucił, kręcąc głową. – To prawda.

– Jaka prawda? – zapytała mama, wchodząc na ganek. Popatrzyła z troską na Jamesa. –

Co się stało?

– To on jest ojcem – mruknął tata.

– Ojcem? – zapytała mama.

– Ojcem! – warknął Mike.

– Ojcem?! – zapytała Grace, stając w drzwiach. Staralam się jak mogłam, by zachować spokój, patrząc na rodzinę, która spoglądała na nas, ich spojrzenia przeskakiwały pomiędzy Jamesem a mną. Tata nadal trzymał piekającego się Mike'a, kiedy reszta próbowała zrozumieć tę niespodziewaną nowinę.

– Przyszedłem tylko po to, by powiedzieć, że nie chcę rezygnować – powiedział James, wkładając ręce w kieszenie. – Chcę spróbować, Ario. Chcę wychować z tobą to dziecko.

– O mój Boże – szepnęła mama, ciągnąc się za ucho. – Musisz natychmiast stąd odejść, James.

– Ale...

– Nie, żadnych „ale”. Musisz iść i pozwolić nam pomyśleć – powiedziała.

– Pani Watson...

– Odejdź. Idź stąd! – krzyknął tata drżącym głosem. James zwiesił głowę, nim skinął, że rozumie, i odszedł. Teraz spojrzenia wszystkich powędrowały na mnie. Tata puścił Mike'a, który sekundę później rzucił się za Jamesem. Pobiegł za róg, skąd doszły nas krzyki Jamesa i Mike'a, który wrzeszczał, że zabije kumpla. – Powinienem iść do nich... – Tata wziął kurtkę z wieszaka i poszedł za róg.

Mama mnie objęła.

– Jest zimno, wejdźmy.

Weszłam za nią do domu, ale ciężko było mi się rozgrzać.

Mama dłuższą chwilę spędziła na wmawianiu mi, że wszystko będzie dobrze, jednak nie mogłam pojąć, że to mogła być prawda. Miałam wrażenie, jakby zbliżały się do mnie ściany. Sprawy w końcu zaczęły iść lepiej. Wszyscy powoli przyzwyczajali się do myśli o adopcji. Po czym James postanowił wszystko zniszczyć.

– Poczekamy do rana, by jakoś rozwiązać tę sprawę, dobrze? Nie martw się. Wszyscy razem nad tym pomyślimy. – Pocałowała mnie w czoło i wyszła z pokoju.

Kiedy zniknęła mi z pola widzenia, po moich policzkach spłynęły łzy. Cała sytuacja mnie przerosła. Złapałam się za brzuch. Teraz tylko dziecko sprawiało, że oddychałam. Każdy wdech, który brałam, przeznaczony był dla niego.

– James jest tatą? – zapytała Grace, stając w drzwiach.

Zamknęłam oczy i otarłam kilka łez.

– Nie jestem teraz w nastroju, Grace. – Nie odpowiedziała, ale słyszałam, że podeszła do mnie. – Grace, powiedziałam, że nie jestem teraz w nastroju. – Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że trzyma dwa koralikowe naszyjniki.

– Użyłam świątecznych ozdób i zrobiłam jeden dla ciebie, a drugi dla dziecka.

Poczułam, że pęka mi serce. Podziękowałam za naszyjniki, a siostra się uśmiechnęła.

– Cieszę się, że jednak nie jesteś brzydka w ciąży.

Śmiejąc się, objęłam ją i przytuliłam do wielkiego brzucha.

– Dzięki, Grace.

Dopiero następnego dnia rano postanowiłam iść do Leviego, aby wytłumaczyć mu, co zaszło. Przede wszystkim byłam zawstydzona, ale również wściekła na Jamesa, który stwierdził, że nic się nie stanie, gdy mnie pocałuje lub dotknie. Stałam na ganku pana Myersa i zapukałam.

Kiedy w końcu w drzwiach pojawił się pan Myers z podkrążonymi oczami, aż pisnęłam.

– Tak? – mruknął, patrząc na mnie bez wyrazu.

– Szukam Leviego – powiedziałam, posyłając mu wymuszony uśmiech.

Pan Myers warknął:

– Nie ma go.

– O. – Przygryzłam dolną wargę. – Jest w sklepie Soulful Things?

– Nie. Wrócił do Alabamy.

Z początku nie rozumiałam, co powiedział, ponieważ jego słowa nie miały sensu.

Widziałam Leviego wczoraj po południu; jak mógł wyjechać?

– Co to znaczy?

– Odesłałem go wczoraj do domu.

Moje serce przyspieszyło, kiedy patrzyłam w brązowe oczy, dużo chłodniejsze niż chłopaka, do którego przyszłam. Jak Levi mógł wyjechać? Jak mógł się nie pożegnać? Dlaczego jego tata go odesłał?

– Dlaczego pan to zrobił? – zapytałam ze złością. – Wszystko, czego chciał, to być z panem!

– Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy, dziewczyno. To nie bajka.

– Ale był dla pana dobry. Traktował go pan jak śmiecia, a on o pana dbał. A teraz go pan odesłał, bo się pan nim znudził? Ponieważ panu przeszkadzał? Jak można być takim egoistą?! Jak pan mógł pójść na łatwiznę i go odesłać?

– Myślisz, że to takie proste?! – krzyknął, unosząc gwałtownie ręce. – Myślisz, że to łatwe, gdy syn dba o mnie, karmi mnie, bo jestem zbyt słaby? Myślisz, że łatwo żyć z demonami, które już tak dawno temu zawładnęły moją duszą? Żyć ze wspomnieniami tego, co zrobiłem ludziom w tym mieście? Leviemu? Jego matce? Cóż, dziewczuszko, jesteś głupsza niż się wydajesz. Jesteś głupia, jeśli uważasz, że moje życie jest łatwe.

– A myśli pan, jakich problemów narobił pan synowi, odpychając go od siebie, zamiast spróbować naprawić kilka swoich błędów?

– Jest już za późno na naprawianie – powiedział, zdenerwowany pocierając dłonie.

– Jak pan chce się poddać, to w porządku. Wydaje się, że właśnie to pan robił przez całe życie. Ale przynajmniej dla niego mógł się pan postarać. Nie musi być pan tak okropnym ojcem!

– Jestem popieprzony! – przyznał. – Nieustannie coś w życiu pieprzę. Jestem gnojem,

zapytaj kogokolwiek w tym mieście, zapytaj swojego ojca. Spieprzyłem! Jednak odkąd jego matka ode mnie odeszła, wszystko robiłem dla tego chłopaka i dla niej. Nie zasługiwał na odpowiedzialność z powodu wyboru pomiędzy matką a mną. Widziałem ból w jego oczach, widziałem, jak go to zabija. Zdecydowałem więc za niego. Jako rodzice dokonujemy wyborów. Podejmujemy trudne decyzje, których nie chcemy. Dajemy sobie radę z najtrudniejszymi rzeczami. Pozwalamy dzieciom się nienawidzić, jeśli ma to dla nich oznaczać lepsze życie. Poświęcamy się każdego dnia. Wysyłamy kartki na święta i na urodziny, na które dziecko przestaje odpowiadać, ponieważ w którymś momencie zaczyna nas nienawidzić. Co jest dobre, bo i tak nie mamy mu nic do zaoferowania. Musi być teraz z matką. Ona potrzebuje go bardziej niż ja z samolubnej potrzeby posiadania go przy sobie. Levi nie potrzebuje i nie zasługuje na to, by siedzieć i przyglądać się, jak umieram. Odsunąłem się, by ich życie było lepsze. By było dobre. Byłem dla nich jedynie obciążeniem. Ciągle coś pieprzyłem, choć gdyby mieli być przez to szczęśliwi, psułbym wszystko dalej. Dla nich. Zawsze dla nich. – Stałam z łzami w oczach, słuchając jego słów, odtwarzając je sobie w głowie. Pan Myers potarł skroń, po czym zamknął oczy i odetchnął głęboko. – Czasami miłość do kogoś można wyrazić jedynie tak, że się znika z jego życia.

ROZDZIAŁ 40

Levi

Denise czekała na mnie na lotnisku w Alabamie. Jednak dopiero następnego ranka pojechaliśmy do mamy do szpitala. Razem z ciotką i Brianem czekaliśmy przed drzwiami jej sali. Kiedy zobaczyłem jej maleńkie ciało, zrobiło mi się niedobrze. Pękało mi serce, gdy obserwowałem te wszystkie rurki przyczepione do jej rąk. Była blada, choć w jej brązowych oczach tliło się życie.

Życie, którego już od dawna tam nie widziałem.

– Wszystko ze mną dobrze, Levi. – W sekundę znalazłem się przy niej, trzymając jej dłonie i tuląc tak mocno, jak ona tuliła mnie. – Wszystko dobrze – powtórzyła.

Ścisnąłem ją mocniej.

– Wygląda dobrze – powiedziałem do Denise, gdy wyszliśmy z sali mamy.

– Bo tak się czuje. Od wypadku stosują jakieś nowe lekarstwa, które wydają się jej pomagać. – Wyciągnęła z torebki szczotkę i zaczęła się czesać. Następnie nałożyła nieco błyszczyka i umalowała rzęsy. Jedynie ona mogła martwić się o dobry wygląd na szpitalnym korytarzu. – Zostaniesz przez kilka tygodni ze mną i z Brianem, ponieważ ona musi skończyć terapię w Klinice Świętego Jana. Pomogę ci z nauką w domu aż do jej powrotu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, przez najbliższe kilka miesięcy będzie musiała zgłaszać się na trzy wizyty w tygodniu, ale zamieszka z tobą, w domu.

Dom.

Tęskniłem za domem.

Przeprosiła, mówiąc, że idzie szukać automatu z kawą.

Spojrzałem z powrotem w stronę sali i zobaczyłem wpatrzoną we mnie mamę; uśmiechała się. Znow błyskawicznie znalazłem się przy niej.

– Co u ojca?

– Niezbyt dobrze. – Usiadłem obok na krześle.

Pogłaskała mnie, odgarniając mi włosy z czoła.

– Przykro mi, kochanie. Kiedy do niego wracasz?

– Nie wracam. Zostaję z Denise i będę się uczył w domu aż wrócisz z terapii.

Usiadła.

– Nie tak miało być. Denise mówiła, że przyjedziesz tylko mnie odwiedzić.

– Nie. Zostaję.

Pokręciła głową i złapała mnie za rękę.

– Musisz wrócić do ojca, Levi.
– Jestem tutaj, mamó. Chciałaś, żebym wrócił, więc jestem.
Zmarszczyła brwi.
– Nie myślałam jasno. Powinieneś wrócić do ojca.
– On mnie nie chce. – Oparłem się na krzesło i westchnąłem głęboko. – Powiedział, że mnie nie chce.
– Skłamał. Zawsze cię chciał. To moja wina – szepnęła, nerwowo przebierając palcami. To już nie miało znaczenia. On dokonał wyboru i ja również.

Tego samego wieczora Denise podrzuciła mnie do domu. W końcu chciałem zasnąć we własnym łóżku. Próbowwała przemówić mi do rozsądku, bym został u niej, ale w końcu zgodziła się, bym wrócił do siebie, zrobiła mi jedynie zakupy.

Spojrzałem na wyświetlacz komórki. Komunikat o wiadomościach od Arii. Wyświetliłem je.

Aria: CHCIAŁABYM MÓC WYTŁUMACZYĆ CAŁE ZAJŚCIE Z JAMESEM, KTÓREGO BYLEŚ ŚWIADKIEM. ON NIC DLA MNIE NIE ZNACZY. CHCIAŁABYM, BYŚ O TYM WIEDZIAŁ. TY ZNACZYSZ DLA MNIE WSZYSTKO. PRZEPRASZAM, LEVI.

Wiedziałem o tym i znałem Arię, ale po części myślałem, że łatwiej będzie odejść, niż zmierzyć się z rzeczywistością. Nie miałem zamiaru wracać do Wisconsin i nie mogłem jej prosić, by na mnie czekała. Do tego miała sprawy, które musiała wyprostować, a ja zapewne tylko bym jej przeszkadzał.

Dystans był lepszy dla nas, dla niej.

Mieszałem jej jedynie w głowie.

Nadszedł czas, bym obudził się ze snu o Arii.

Aria: JA – ZAIMEK OSOBOWY: ARIA LAUREN WATSON.

Aria: TĘSKNIĘ – CZASOWNIK: ODCZUWAĆ TĘSKNOTE; ODCZUWAĆ BRAK CZEGOŚ DOBREGO, CO WCZEŚNIEJ SIĘ MIAŁO.

Aria: ZA – WIELOFUNKCYJNY PRZYIMEK SŁUŻĄCY DO TWORZENIA WYRAŻEŃ.

Aria: TOBĄ – ZAIMEK: OZNACZAJĄCY CIEBIE, LEVI WESLEYU MYERSIE.

Ja też za tobą tęsknię, Ario Lauren Watson.

Nie mogłem jej jednak tego powiedzieć, mimo że była to prawda.

ROZDZIAŁ 41

Aria

Napisałam do Leviego i czekałam. Wzięłam prysznic, pogapiłam się na swój rosnący brzuch i sprawdziłam telefon. Poćwiczyłam grę na powietrznej gitarze i znów spojrzałam na komórkę. Porozmawiałam z rodzicami o Jamesie i znów zerknęłam na wyświetlacz. Zjadłam kolację i ponownie sprawdziłam, czy nie przyszła wiadomość.

Nieustannie wracałam do komórki.

Nieustannie na próżno.

Zaczęłam się zastanawiać, czy go sobie przypadkiem nie wyśniłam.

Pragnęłam jedynie zasnąć i ponownie go odnaleźć.

W czwartek wypadła moja ostatnia wizyta u doktora Warda w tym roku, a naprawdę chciałam posiedzieć naprzeciwko niego i porozmawiać o sztuce. Od świąt nie rozmawiałam z Jamesem. Nawet nie wiedziałam, od czego zacząć. Mama doradziła mi, bym nie mówiła nic Keirze i Paulowi, póki nie dogadam się z ojcem dziecka.

Misczka doktora Warda była wypełniona czerwonymi i zielonymi M&M'sami, które zjadłam do ostatniego w ciągu pierwszych dziesięciu minut.

– O czym myślisz, Ario?

Zabawne było to, jak pokochałam te słowa.

– O Gustavie Courbecie. Był francuskim malarzem, który zapoczątkował nurt realizmu.

Kiedy poproszono go o namalowanie aniołów, odpowiedział: „Nie maluję aniołów, bo ich nigdy nie widziałem”. Mieliśmy z panem Courbetem zupełnie inny pogląd na sztukę. On wierzył, że powinno się malować jedynie to, co się widzi, natomiast ja wierzyłam, że sztuka powinna płynąć z serca i z duszy.

– Wierzyłaś? Już w to nie wierzysz?

– Chciałam, ale z każdym dniem realizm odkrywał przede mną swój urok. Pokazuje prawdziwe życie, bez podtekstów, ukrytych znaczeń, wątpliwości, pytań i rozpatrywania z równej perspektywy. Pokazuje to, co jest prawdziwe. Odzwierciedla dokładnie to, co jest. Jestem nieco zażenowana tym, że skupiałam się jedynie na abstrakcjonizmie. Może Gustave Courbet miał rację.

– Bzdura – powiedział doktor Ward, mrużąc oczy. – Ja ci mówię, że to bzdura.

– Co?

– Dlaczego musi być jedno lub drugie? Przeciwnieństwem realizmu nie jest abstrakcjonizm. Przeciwnieństwem realizmu jest fałsz. Abstrakcja może być prawdziwa i może

zawierać więcej prawdy niż wszystko inne. Ty mnie tego nauczyłaś. Dzieło abstrakcyjne może być równie prawdziwe co realistyczne, przynajmniej póki odważnie i szczerze będzie przemawiać do świata kolorami.

– A co jeśli prawda abstrakcji kogoś skrzywdzi? – zapytałam.

Pochylił się i oparł łokcie na blacie biurka, po czym splótł palce.

– Jedna prawda boli znacznie mniej niż tysiąc kłamstw.

ROZDZIAŁ 42

Aria

– Nie możemy go zatrzymać, James. – Usiadłam obok niego na huśtawce na ganku, obserwując, jak prawda sprawia mu ból.

Nerwowo stukał palcami o kolano.

– Moglibyśmy dać radę, Aria. Wiem, że będzie ciężko, ale poradzimy sobie.

Pokręciłam głowę.

– To nieprawda.

– Dlaczego? Dlaczego nie możemy tego zrobić? Dlaczego nie możemy go mieć?

– Nie możemy mieć już tego, czego chcemy. Nie decydujemy dla siebie. Wszystko musimy zrobić dla niego. Każda nasza decyzja musi być podyktowana jego lepszym życiem. Nie zatrzymamy go właśnie przez to.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ oznaczałoby to, że kierujemy się egoistycznymi chęciami. Dla niego musimy być bezinteresowni. Dla niego, musimy go oddać. Nigdy nie bylibyśmy parą, James. Gdybyśmy zdecydowali się na związek, znienawidzilibyśmy się. Naprawdę tak chcesz wychowywać dziecko?

Nie odpowiedział.

– Keira i Paul są wspaniałymi rodzicami. To nie tak, że dziecko trafi do obcych ludzi. Znam ich całe życie i wiem, że są dobrzy. Będą go kochali. Będzie bezpieczny i kochany.

Huśtawka pisnęła, gdy zaczęliśmy się huśtać. James patrzył w górę, w chłodne usiane gwiazdami, nocne niebo, jakby chciał wypowiedzieć jakieś życzenie.

– W tamtą noc przyszedłem do ciebie po tym, jak próbowałem pogodzić się z Nadine – szepnął niemal niesłyszalnie. – Zerwaliśmy miesiąc wcześniej, a ona nie zamierzała do mnie wracać. Przyszedłem, żeby pogadać o tym z Mike’iem, skończyliśmy, upijając się. Byłem zagubiony i cierpiałem.

– Więc mówisz, że byłeś pijany, kiedy ze mną spałeś?

– Nie – powiedział, natychmiast na mnie patrząc. – Nie. Wytrzeźwiałem. Ale nadal byłem zagubiony. Nie poradziłem sobie z tym, kiedy mi oznajmiła, że poroniła. Nadal brakowało mi czegoś, czego właściwie nigdy nie miałem. Czego nigdy nie chciałem. To mnie niemal zniszczyło. Wyszedłem od Mike’a, a kiedy przechodziłem obok twoich otwartych drzwi, uśmiechnęłaś się do mnie, co sprawiło, że poczułem się tak, jakby wszystko miało być dobrze. Po czym, gdy zaszłaś w ciążę, postąpiłem identycznie jak w przypadku Nadine, szukając szybkiego wyjścia z kłopotu. Jednak czas mijał, twój brzuch zaczął rosnać i cała sprawa z dzieckiem zaczęła nabierać kształtów, więc pomyślałem, że dostałem drugą szansę, by postąpić właściwie.

– Postępujesz właściwie – powiedziała, łapiąc go za rękę. – Tylko czasami bywa tak, że właściwe zachowanie jest do bani.

Uśmiechnął się i wrócił do spoglądania w gwiazdy.

– Więc co zrobimy?

– Ty skończysz szkołę średnią, pójdziesz do Duke i zrobisz coś dla swojej przyszłości.

– A ty?

Ja?

Ja znów nauczę się oddychać.

Pierwszego dnia nowego roku zaczęłam naukę w domu. Rodzice pracowali na różne zmiany, a ponieważ nie chcieli, bym była sama, ucząc się przez internet, całe dni spędzałam z Keirą.

Każdego dnia około lunchu widziałam, jak pan Myers idzie do lasu. Nim wczesnym wieczorem wychodziłam od Keiry, pojawiali się u niego Lance i Daisy, by z nim trochę posiedzieć.

Któregoś razu jednak moja ciekawość wzięła górę, więc spakowałam lunch i poszłam za nim między drzewa.

Stał w śniegu, patrzył na domek na drzewie.

– Pan go dla niego zbudował? – zapytałam.

Powoli obrócił się, spojrział na mnie i parsknął.

– Wkroczyłaś na prywatny teren.

– Tak, ale mam dla pana lunch, jeśli jest pan głodny.

Mruknął coś i ruszył z powrotem do domu, gdzie zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Może jutro.

Od trzech tygodni przychodziłam do niego codziennie w porze lunchu. Pan Myers jednak wpuścił mnie dopiero w lutym. Właściwie wpuściła mnie jego pielęgniarka, ale mnie to wystarczało.

– Jesteś mocno wkurzająca, wiesz o tym, prawda? – mruknął, siedząc w fotelu i oglądając czarno-białe komedie.

– Przyniosłam rosół z makaronem. – Uśmiechnęłam się.

– Nie jestem głodny.

– Pana pielęgniarka mówiła, że nic pan dziś nie jadł.

– Zapewne dlatego, że nie jestem głodny – warknął. Często był zrzędlawy, ale ja w trzydziestym drugim miesiącu ciąży, z Arbuzem w brzuchu, również nie byłam najmilsza. Otworzyłam pojemnik z zupą, wzięłam łyżkę i zatrzymałam pełną tuż przed jego ustami. – O co ci chodzi?! – syknął. – Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

– Ponieważ nikt nie powinien jeść lunchu sam. Nawet wkurzający facet, który uważa, że zasługuje na samotność.

Pomruczał i pofukał jeszcze trochę, ponarzekał na mnie, po czym otworzył usta i przełknął zupę.

– Pana syn ignoruje wszystkie moje wiadomości i nie wiem dlaczego – powiedziałam, po kilku łyżkach.

– Jego matka uważa, że to dlatego, iż Levi myśli, że lepiej ci bez niego.

Uniosłam brwi.

– Dlaczego tak myśli?

– Nie wiem. Jednak Levi zawsze stara się pomagać. Taki właśnie jest.

Słowa pana Myersa pozostały w mojej głowie nieco dłużej, nie poruszałam już jednak tematu Leviego.

– Nie wiedziałam, że rozmawia pan z jego mamą.

– Dzwoni do mnie co wieczór – powiedział. – Chce, bym miał świadomość, że nie jestem sam.

Jadłam lunch z panem Myersem aż do ostatniego dnia jego życia. Niekiedy pozostawał w sypialni, przez co mogłam puszczać płyty, które Levi przygotował dla mnie i dla dziecka, a dzięki którym panu Myersowi łatwiej było zasnąć.

Kiedy indziej wspólnie oglądaliśmy telewizję.

Jednymi z ostatnich jego słów była prośba, bym przekazała jego synowi, że kocha go po wszystkie czasy.

ROZDZIAŁ 43

Levi

Tata odszedł w drugim tygodniu marca. Mama chciała lecieć ze mną na pogrzeb, ale powiedziałem, że według mnie nie powinna. Opuściłaby wizyty w Klinice Świętego Jana, a wiedziałem, że to one pomagały zrównoważyć jej umysł. Tak dobrze sobie radziła, w końcu odzyskałem mamę. Nie chciałem, by przez stres związany z pogrzebem taty znów mi zniknęła.

W Mayfair Heights mogłem zostać tylko przez tydzień, nim musiałem wskoczyć w samolot powrotny do Alabamy. Przez ostatnie sześćdziesiąt osiem dni Aria wysyłała mi SMS-em słowo dnia. Nie odpowiedziałem na nie, z wyjątkiem jednej wiadomości.

Aria: CZY TY W OGÓLE O MNIE MYŚLISZ?

Ja: CODZIENNIE.

Była to prawda. Nieustannie o niej myślałem, zastanawiałem się, jak sobie radzi i czy wszystko w porządku z dzieckiem.

Kiedy dotarłem do Wisconsin, z lotniska odebrał mnie Lance, który zawiózł mnie do miasta, bym nie musiał korzystać z komunikacji publicznej. Zabawne było to, że wszystko, choć takie samo, wydawało się być inne. Lance stracił nieco blasku w oczach. Siedzieliśmy w ciszy przez kilka minut, kiedy zaparkował za Soulful Things. Przerzucił włosy na czubek głowy, po czym wielokrotnie przegarnął je na twarz.

– Wciąż próbuję się obudzić, mając nadzieję, że to tylko sen. Że mój gburowaty brat nadal mieszka na końcu ulicy i codziennie na kolację jada odgrzewane gotowe danie.

Nie odpowiedziałem.

Ostatnią rozmową z ojcem była ta, w której mnie odesłał.

Czułem gorzkość.

Byłem zły.

Smutny.

Głównie smutny.

– Kochał cię, Levi – powiedział Lance. Kłamstwo, które miało przynieść mi ukojenie. – Kent nie był najlepszy w okazywaniu uczuć, ale cię kochał. Pamiętam, że on...

– Możemy wejść do środka? Jestem zmęczony – powiedziałem, nie chcąc rozgrzebywać wspomnień o tym, jak ojciec kochał mnie na odległość. Chciałem jedynie mieć ten pogrzeb za sobą, za kilka dni wsiąść w samolot i nie rozmawiać o tacie, ponieważ tak naprawdę go nie znałem.

– Tak, oczywiście. Daisy jest na górze. Zaraz przyjdę – odparł Lance.

Wysiadłem i ruszyłem do drzwi, ale kiedy się obróciłem, ujrzałem Lance'a trzymającego się za czoło. Miał zamknięte oczy, pięścią drugiej ręki mocno uderzał w kierownicę.

Jestem kretynem.

Wróciłem do samochodu. Lance nie opowiadał mi tego wszystkiego, by poprawić mi

nastrój. Chciał, żeby to jemu ulżyło.

– Co wcześniej mówiłeś? – zapytałem.

Spojrzał na mnie, przygryzł dolną wargę, po czym westchnął.

– Przyłapałem go kiedyś, jak słuchał twojej gry na skrzypcach, gdy byłeś w lesie. Siedział w leżaku na granicy drzew i przysłuchiwał się twojej melodii. Kiedy mnie zobaczył, powiedział: „Dzieciak jest dobry”. Tylko tyle. Słuchaliśmy razem jeszcze przez dłuższą chwilę. Nie był najlepszą z osób... ale był najlepszą osobą, jaką tylko być potrafił.

Zostaliśmy w samochodzie przez kilka godzin. Lance opowiadał mi o człowieku, którego nie znałem. Dowiedziałem się od Lance’a więcej niż kiedykolwiek.

Jednak czułem, że to trochę za późno.

W dzień pogrzebu nie pojawił się nikt z miasta. Wiedziałem, że ojciec nie przyjaźnił się z nikim, ale to, że absolutnie nikt nie przyszedł, tylko podkreślało ten fakt.

Usiadłem w tylnej ławce, nie chcąc po raz ostatni oglądać jego twarzy. Lance i Daisy usiedli z przodu, kiedy organizator pogrzebu wyjaśniał im szczegóły przeniesienia ojca na miejsce pochówku.

Nerwowo stukalem palcami o ławkę. Dusił mnie krawat. Każdy kolejny wdech był trudniejszy niż wcześniejszy. Poluzowałem materiał, jednak uczucie duszenia pozostało, więc wróciłem do stukania palcami.

Daisy i Lance podeszli do mnie i usiedli w ławce.

– Wychodzicie? – zapytałem Lance’a.

– Organizator powiedział, że została jeszcze jedna rzecz. – Lance, oparł rękę na moim ramieniu i ścisnął lekko, by mnie pocieszyć.

Patrzyliśmy, jak ustawiono z przodu trzy mikrofony. Uniosłem brwi.

– Co się dzieje?

– Też nie mam pojęcia – odparł.

Głośniki zatrzeszczały, kiedy je włączono, chwilę później popłynęła z nich muzyka. Poznałem utwór już po pierwszej nucie. Uśmiechnąłem się słabo, kiedy Simon i Abigail podeszli do mikrofonów, grając na gitarach powietrznych *She Talks To Angels* zespołu The Black Crowes. Idealnie zagrali intro piosenki, Abigail nawet wcześniej nastroiła struny swojej niewidzialnej gitary.

Odwrociłem się i zobaczyłem, jak do środkowego mikrofonu podchodzi Aria, akurat na czas, by ruchem ust zsynchronizowała się ze słowami piosenki. Objęła palcami mikrofon, wkładając w występ swoje serce, podczas gdy spojrzenie jej pięknych oczu utkwione było w moich.

– Jezu – mruknąłem, powstrzymując łzy, grożące powodzią, kiedy Aria idealnie zsynchronizowała każde poruszenie warg z podkładem. Kołysała się do rytmu, śpiewając z głębi duszy, tańcząc przed ustawionym przed nią mikrofonem. Czarna koronkowa sukienka opinała się na jej brzuchu, gdy poruszała nogami w butach na płaskiej podeszwie.

Podczas gitarowej solówki Simona wskazała na mnie, gestem zapraszając, bym dołączył.

Nim zdążyłem się zastanowić, Lance wyciągnął z kieszeni garnitur mikrofon, po czym mi go podał, jednocześnie puszczając do mnie oko.

Wstałem i zacząłem śpiewać z playbacku wraz z Arią. Poszedłem do przodu, w tym samym czasie Aria zdjęła mikrofon ze stojaka i spotkała się ze mną po środku. Bezgłośnie

śpiewaliśmy prosto z serc, nie pomijając żadnych emocji, zatracając się w piosence, zatracając się w sobie nawzajem.

Po występie kazano mi usiąść w pierwszej ławce, gdzie dołączyli do mnie Lance i Daisy. Aria stwierdziła, że czas coś powiedzieć. Na podium wszedł Simon, odchrząknął i postukał palcami w mikrofon.

– Raz, dwa, trzy, cztery – szepnął sprawdzając sprzęt, a jego głos rozniósł się po pustym pomieszczeniu. – Dobrze, dobrze, dobrze, dobrze. Witam wszystkich, jestem Simon Landon i chciałem powiedzieć kilka słów o Kencie Myersie. – Ponownie odchrząknął. – Kent Myers był dupkiem. – Mimowolnie parsknąłem śmiechem. – Myślę, że wszyscy możemy się z tym zgodzić. Był dupkiem nie z tej ziemi. Pamiętam, jak kiedyś poszedłem do spożywczego kupić piwo korzenne, ponieważ z moją przyjaciółką Arią postanowiliśmy się nim upić. Kent miał w koszyku aż dziesięć puszek i żadnej nam nie zostawił. Zapytałem, czy dałby mi chociaż jedną, ale warknął i powiedział: „Trzeba było przyjść wcześniej, idioto”, po czym zapłacił za wszystkie i wyszedł ze sklepu. Przybiegłem do domu akurat, gdy wjeżdżał na swój podjazd, gdzie zacząłem krzyczeć na niego, że jest podły, bo wziął cały zapas piwa korzennego i nieustannie pytałem, po co mu te wszystkie puszki. Obrócił się do mnie, no wiecie, powoli i złowrogo, jak tylko Kent Myers potrafił, i głębokim głosem powiedział: „Mój syn przyjeżdża na tydzień, a on pije tylko piwo korzenne. A teraz spieprzaj z mojej posiadłości, ty rudy dziwolągu”. – Śmiech Simona osłabł nieco, po czym chłopak posłał mi słaby uśmiech. – Tak, Kent Myers był dupkiem, jednak z pewnością kochał syna.

Zasłoniłem ręką usta, obserwując, jak miejsce na podium zajmuje Abigail. Uśmiechnęła się do mnie.

– Kent Myers był dupkiem. Mieliśmy tę wątpliwą przyjemność siedzieć naprzeciw siebie na sesjach chemoterapii. A raczej na czymś, co Kent nazywał „pieprzoną stratą czasu”. Nie przebierał w słowach. Był trudnym pacjentem, wyzywał pielęgniarki od idiotek, kiedy nie trafiła igłą od kroplówki w żyłę. Pielęgniarkę Stevena nazywał Susie. Mówił o mnie, że jestem irytująco pogodną dziewczynką z rakiem, cytującą zmarłych. Taki właśnie był. Okropny. Tylko tak potrafił. Choć jednego dnia nie był opryskliwy. Pamiętam, że gdy wyszłam z kliniki, siedział na krawężniku i zakrywał twarz dłońmi. Kiedy obok niego usiadłam, polecił, bym nie cytowała ludzi, którzy umarli. Zatem przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w ciszy. W końcu powiedział: „Miałem mieć z nim więcej czasu. Miałem mieć więcej czasu, by móc naprawić błędy”. Kent Myers był dupkiem, ale jestem pewna, że kochał syna.

Jako ostatnia na podium weszła Aria. Popatrzyła mi w oczy i uśmiechnęła się słabo.

– Przez ostatnie dwa miesiące jadłam codziennie lunch z Kentem Myersem. Jest mnóstwo rzeczy, które mogłabym powiedzieć o twoim tacie, Levi. Nauczyłam się o nim tak wielu interesujących rzeczy, ale... – Zamknęła oczy i złapała się krawędzi mównicy. – Ale... – Tak mocno ścisnęła blat, że pobielaly jej knykcie.

– Aria? – zapytał zaniepokojony Simon.

– Nic mi nie jest, potrzebuję chwili. Kurde. – Uderzyła pięścią w drewno mównicy, po czym wyprostowała się i uśmiechnęła do mnie. – Miałam przygotowaną fantastyczną mowę. Miała być wspa... niała – jęknęła. – Wspaniała, ale cóż, myślę, że właśnie odeszły mi wody, więc chyba muszę jechać do szpitala.

Jasna cholera.

Lance i Daisy natychmiast poderwali się z miejsc i zaprowadzili Arię do samochodu. Simon zadzwonił do rodziców Arii oraz do swoich, by przyjechali do szpitala. Wskoczyłem za Arią na tylne siedzenie.

– Przepraszam, że zniszczyłam pogrzeb twojego taty – łkała.

Mimowolnie się roześmiałem.

– Niczego nie zniszczyłaś, Art. – Pocałowałem ją w czoło, po czym założyłem jej kosmyk włosów za ucho. – Niczego nie zniszczyłaś.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Ponownie pocałowałem ją w czoło.

Ja tęskniłem za nią bardziej.

ROZDZIAŁ 44

Aria

Kiedy przyjechaliśmy do szpitala, moi rodzice już tam czekali. Siedem godzin strasznych skurczów później, lekarz zdecydował, że czas urodzić Dynię.

Wszystko mi się rozmyło. Stało się to tak szybko, szybciej niż się spodziewałam, szybciej niż pragnęłam. Miałam mieć z nim jeszcze kilka tygodni. Nie miałam jeszcze rodzić.

Lekarz kazał przeć.

Tata trzymał mnie za lewą rękę.

Keira za prawą.

Mama mokrym ręczniczkiem wycierała mi czoło.

Tata Simona robił co mógł, by nie zemdleć.

Płakałam z bólu. Płakałam ze zdenerwowania. Płakałam, bo to się naprawdę działo.

Byłam zła. Byłam smutna. Byłam szczęśliwa.

Byłam cholernie szczęśliwa.

Przyj, Aria. Zrób to!

Wtedy w pomieszczeniu zapanowała cisza. Polecili przestać przeć.

Zaczął kręcić mi się w głowie. Urodziłam dziecko. Widziałam je. Jednak lekarz zaczął działać pospiesznie. Położne zachowywały się nerwowo. Wszyscy pochylili się nad dzieckiem. Oprócz mnie. Utknęłam na fotelu, patrząc w górę, pytając, co się stało, modląc się, by to nie było nic złego.

Nie płakał. Był cichy. Był piękny. Dlaczego nie płakał?

Proszę. Wydadź dźwięk. Odezwij się.

Piśnij. Zapłacz.

Płakałam za niego, aż zrobił to sam.

Jego płuca w końcu zaczęły działać. Był coraz silniejszy, zaczął głośno krzyczeć, ogłaszając swoje przybycie na świat.

Powietrze w płucach.

Wdech.

Wydech.

Oddychaj.

– Chcesz go potrzymać? – zapytała położna.

Skinęłam głową.

Oczywiście, że chcę.

Kiedy ułożyła mi go w ramionach, kilka moich łez skapnęło na jego skórę.

Wiedziałam, że to głupie, ale mogłabym przysiąc, że się uśmiechnął. Pocałowałam go w czółko.

– Kocham cię – powiedziałam cicho. – Bardzo cię kocham.

Popatrzyłam na Keirę, która się do mnie uśmiechnęła.

– Chce go pani potrzymać?

Załkała i skinęła głową.

– Tak, tak, tak.

Podaliśmy go jej, a ona pocałowała mnie w policzek. Paul stanął obok żony i popatrzył na nowe życie w ich świecie. Przyglądał się dziecku z czułością, przez co wiedziałam, że było bezpieczne. Zawsze będzie kochane.

Wszyscy w pomieszczeniu się rozplakali.

Ja również. Jednak od tej pory lzy tego dziecka będzie ocierał ktoś inny. Jego śmiech i szczęście będzie tworzone przez inne dusze.

A bicie jego serduszka?

Byłam pewna, że zawsze będę je czuła.

Levi

Poderwałem się z miejsca podobnie jak inni, gdy państwo Watson weszli do poczekalni.

– Jak się czuje Aria? Co z dzieckiem? – pytałem jak szalony.

– Dobrze. Dobrze. Świetnie, zarówno Aria, jak i dziecko. Przystojny kawaler, ważący trzy kilo trzysta pięćdziesiąt gramów, z dziesięcioma paluszkami u rączek i nóżek oraz pięknym uśmiechem – powiedziała pani Watson. Simon wypuścił powietrze z płuc wstrzymywane od siedmiu godzin i mocno objął Abigail.

Podszedłem do rodziców Arii.

– Wszystko z nią w porządku? Mogę ją zobaczyć?

Pani Watson zmarszczyła brwi.

– Odpoczywa, Levi. Ty też miałeś dzisiaj ciężki dzień. Może również powinieneś odpocząć.

Przygarbiłem się.

– No chyba.

– Chociaż pięć minut ich nie zbawi – powiedział pan Watson, klepiąc mnie przyjaźnie w ramię. – Chodź.

Zaprowadził mnie do sali Arii, gdzie stojąc w drzwiach, zobaczyłem ją na łóżku, zwróconą w stronę okna.

– Nie jest w porządku – powiedział. – Zapewne powie, że wszystko z nią dobrze, ale jest wręcz przeciwnie i może tak przez chwilę zostać.

Skinąłem głową, rozumiejąc, o co chodziło.

– Daj jej tylko znać, że nie musi tłumić w sobie bólu, dobrze? Zostawię was i za chwilę wrócę po ciebie. – Włożył ręce w kieszenie i odszedł.

Powoli wszedłem do pomieszczenia.

– Aria – szepnąłem. Widziałem, że na dźwięk mojego głosu lekko się skuliła.

– Jeśli chcesz zobaczyć dziecko, jest w sali po drugiej stronie korytarza. Szpital ma

pokoje dla rodziców adopcyjnych, by mogli побыć z dzieckiem. Prawda, że to miłe? – Nie patrzyła na mnie. Nadal spoglądała przez okno.

– Możesz być smutna – powiedziałem, przysuwając się do niej. Spięła się. – Proszę, spójrz na mnie. – Jednak nie spojrzała.

Nie mogła.

Aria

– Art – szepnął ponownie, a słowo to zabrzmiało tak blisko, jakby pochodziło z głębi mojej własnej duszy. – Spójrz na mnie.

Nie mogłam na niego spojrzeć.

Nie chciałam.

Mimo że najbardziej na świecie pragnęłam, by te oczy dały mi światło, a te usta powiedziały, że wszystko będzie dobrze.

Coraz bardziej chciało mi się płakać, zaczęłam drżeć, jednak nie uroniłam ani jednej łzy.

– Nic mi nie jest – powiedziałam w końcu, czując się źle aż do szpiku kości. Wewnątrz byłam pusta. Moje światło zniknęło. Czulałam się przytłoczona, ponieważ żaden poradnik mnie na to nie przygotował. Żadna książka nie mówiła o tym, jak to będzie oddać dziecko.

Levi położył dłoń na moim ramieniu, po czym usiadł na szpitalnym łóżku i mnie objął. Wzdrygnęłam się, gdy poczułam jego palce na skórze, dotykające mnie pierwszy raz od dłuższego czasu.

– Nic mi nie jest – powiedziałam drżącym głosem, cała się trzęsąc.

– Ciii... – uspokajał mnie, tuląc coraz mocniej. – Kocham cię, Art. Tak bardzo cię kocham. Pozwól, że będę silny za nas oboje. Pozwól mi się tulić, kiedy jesteś załamana.

Jego ramiona były takie ciepłe.

Spłynęły łzy.

Wstrząsał mną szloch, kiedy Levi trzymał mnie mocno w objęciach, nie chcąc się poddać. Trwaliśmy tak nieprzerwanie z pięć, może nawet dziesięć minut.

Oparł dłonie na moich bokach i przytulił policzek do mojego. Kiedy płakaliśmy, jego ciepłe łzy mieszały się z moimi. Szlochaliśmy z powodu śmierci i z powodu narodzin.

Płakaliśmy z powodu początku i z powodu końca. Łkaliśmy z powodu pierwszego oddechu i z powodu ostatniego.

Obróciłam się, by go widzieć. Popatrzył mi w oczy, jakby zastanawiał się, jakimi ścieżkami podążał mój umysł. Zmarszczył czoło i ściągnął brwi.

– Tak mi przykro, Art. – Zacisnął usta, po czym przycisnął je do mojego czoła. – Tak bardzo mi przykro.

– Mnie też – odparłam. – Mnie też.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił. – Choć jeszcze nie dzisiaj.

ROZDZIAŁ 45

Levi

Aria kilka następnych dni spędziła w szpitalu. Kiedy rodzice przywieźli ją do domu, czekałem na nią ze skrzypcami na jej ganku. Poderwałem się z miejsca i pospieszyłem do nich.

Wysiadła z tylnego siedzenia i posłała mi ostrożny uśmiech. Wyglądała na wyczerpaną.

– Levi, hej. Jak się miewasz? – Pani Watson uśmiechnęła się do mnie.

– Dobrze. A pani? – zapytałem. Zaraz popatrzyłem na Arię. – A ty?

Dziewczyna zamrugała i wzruszyła ramionami.

– Myślę, że przyda jej się odpoczynek. Może przyszedłbyś nieco później? – zaproponowała pani Watson.

Widziałem, jak Aria rozchyliła usta, jakby chciała się spierać, bym został, ale przerwał jej tata, zgadzając się z żoną.

Przezeszałem palcami włosy i skinąłem głową.

– Tak, oczywiście. Wrócę później.

Dłuższą chwilę powłóczyłem się po okolicy, nim udałem się pod okno Arii, które już zostało otwarte, czekając, abym przez nie wskoczył. Dziewczyna siedziała na łóżku, kiedy zacząłem grać na skrzypcach. Pan Watson stanął w drzwiach, gdy usłyszał melodię, ale zamiast poprosić, bym wyszedł, zamknął drzwi, dając nam nieco prywatności.

Zagrałem *All Of Me* Johna Legenda, pozwalając, by struny przekazywały słowa, których nie wymawiałem. Grałem tę piosenkę na okrągło, aż Aria zasnęła uśmiechając się.

Grałem, póki nie upewniłem się, że przez sen również się uśmiecha.

Z każdym mijającym dniem było z nią coraz lepiej, wiedziałem jednak, że nadal cierpi. Żałowałem, że nie mogę zabrać od niej bólu, sprawić, by minął.

Po kilku dniach przekonałem Lance'a, by pozwolił mi zostać na noc w domu taty. Kiedy otworzyłem lodówkę, niemal się rozplakałem, widząc w niej puszkę piwa korzennego.

Nadal cierpię. Żałuję, że nie mogę zabrać od siebie bólu, sprawić, by minął.

Wziąłem kilka puszek i poszedłem do lasu, gdzie wspiąłem się do domku na drzewie.

Cisza natury oferowała spokój, jednak ucieszyłem się, gdy usłyszałem narzekanie dziewczyny wspinającej się po szczeblach.

– Wchodzenie na drzewo nie jest wskazane dla kogoś, kto niedawno urodził. – Aria uśmiechnęła się, wchodząc do domku.

Roześmiałem się.

– Wiesz co? Myślałem o tym samym. Ale skoro już przysłaś, witaj w mojej oazie. Po

lewej znajdziesz nic, a po prawej piwo korzenne.

– Twoje umiejętności projektowania są imponujące.

– Cóż mogę rzec? Mam wyszukany gust.

Przygryzła wargę i przechyliła głowę w bok.

– Kocham cię.

– Kocham cię.

Aria

Wiele godzin spędziliśmy z Levim w domku na drzewie, płacząc i śmiejąc się, aż obeschły nasze łzy. Był najlepszym z oksymoronów. Kiedy z nim byłam, mogłam być smutnie szczęśliwa i dobrze mi było z tym uczuciem.

– Dlaczego codziennie jadłaś z nim lunch?

– Ponieważ ty byś tak właśnie zrobił – odparłam. Rzucił pustą puszkę na bok, po czym przysunął się i lekko pocałował mnie w usta, wzniecając tym we mnie szczęście. – Mogę przeczytać ci mowę, jaką dla niego napisałam?

– Tak.

Wyjęłam z kieszeni kartkę złożoną na cztery. Rozprostowałam ją i uśmiechnęłam się.

– Kent Myers nie był dupkiem. Wiele osób, które miało z nim styczność, nie zgodzi się ze mną, bo dokładnie tak zostały potraktowane, ponieważ on tak się właśnie zachowywał, ale... nie był dupkiem. Był człowiekiem popełniającym błędy. Człowiekiem, próbującym naprawić te błędy po swojemu, co czasami prowadziło do pogorszenia sytuacji. Nie zawsze mówił właściwe rzeczy i nie zawsze zachowywał się jak należy, ale się starał. Próbował być dobry. Chciał chronić tych, których kochał. Kilka dni przed śmiercią zapytał, czy mogę potrzymać go za rękę. Kiedy wzięłam jego drżącą dłoń w swoją, zapytał: „Czy będzie z nim dobrze”? Miał na myśli swojego syna. Powtarzał to nieustannie, a łzy płynęły po jego policzkach. „Czy będzie z nim dobrze?”. Skinęłam głową i odpowiedziałam: „Tak, dla was obydwu będzie dobrze”. Zamknął oczy i mruknął: „Będzie z nim dobrze”. Tamtej nocy spał spokojniej niż wcześniej. Nic więcej już w życiu nie powiedział. Istnieje na świecie tyle słów, a jego ostatnie wyrażały troskę o syna. Dzisiaj chcę powiedzieć dwie rzeczy: Kent Myers nie był dupkiem i jestem pewna, że kochał syna.

Levi przysunął się do mnie i pocałował w czoło.

– Dziękuję – szepnął.

– Zawsze – odparłam.

Tamtego wieczoru nasza rozmowa układała się falami. Przechodziliśmy od ciszy do nieustannego mówienia, po czym znów milczeliśmy i tak w kółko.

– Nazwali go Easton Michael Landon – wyznałam cicho.

– Co? To niedorzeczne – jęknął. – Miałem nadzieję, że jego imię będzie bardziej związane z jedzeniem. Jak Melon, Bakłażan lub...

– Brokuł. – Zachichotałam.

– Boże, tak. Brokuł Jarmuż Landon. Pasuje idealnie.

– Ogórek Groszek Landon.

– Seler Ziemiak Landon. – Roześmiał się. – Oczywiście powinni zapytać nas o zdanie.

– Oczywiście.

Zapadła cisza.

– W gabinecie twojego taty czeka na ciebie list i prezent. Podarek jest ode mnie. List od niego. Nie wiedziałam, czy już je widziałeś.

– Nie wchodziłem tam jeszcze, ale wezmę je ze sobą, kiedy wyjadę. Dzięki.

Ponownie zamilkliśmy.

– Co stanie się teraz z nami? – zapytałam. Levi za kilka dni miał wyjechać.

– Właściwie wiele o tym myślałem – powiedział ponuro. Stał nieruchomo i patrzył przez okno. Poczułam ucisk w brzuchu, strach, jaka będzie jego odpowiedź. – Jednak jeśli cokolwiek nauczyłem się o przyszłości, to tego, że to nie ma znaczenia. Przyszłość nie jest prawdziwa. Lepiej żyć tu i teraz. Z tobą.

Mieliśmy tylko to, tu i teraz, i to nam wystarczało.

Zostaliśmy w domku na drzewie, nie patrząc na siebie, jednak trzymając się za małe palce. Patrzyliśmy przez okno na nocne niebo. Byliśmy świadomi. Byliśmy mali. Byliśmy maleńkimi kroplami farby na płótnie wszechświata. Większość nigdy nie pozna miłości między sztukiem obrazu i duszą dźwięku. Ale my wiedzieliśmy, że w okamgnieniu życie może zostać zakończone, pozostawiając nas ze śmiercią i samotnością. Jednak w kolejnym uderzeniu serca miłość może uzdrowić, pozostawiając nas z życiem i nadzieją. Levi sprawił, że byłam pełna nadziei... Nadziei na jutro, któremu mieliśmy stawić czoła.

W tamtej chwili byliśmy pełni życia.

I byliśmy zatraceni w miłości.

Levi Myers nauczył mnie o życiu trzech istotnych rzeczy:

Czasami trzymanie się za małe palce było najlepszym rodzajem tulenia.

Czasami całus w czoło był najlepszym rodzajem pocałunku.

Czasami tymczasowe uczucie było najlepszym rodzajem miłości.

Levi

Ciężko mi było wyjechać z Mayfair Heights. Nie wiedziałem, kiedy ponownie tu zawitam, przez co było mi jeszcze trudniej, jednak czułem, że wszystko z Arią będzie dobrze.

W jakiś sposób mieliśmy sprawić, że nam się ułoży.

Kiedy dotarłem do domu, mama nadal była mamą, przez co poczułem niesamowite szczęście. W domu rozbrzmiewały dźwięki The Pogues, gdy przygotowywała kolację. Trzymając prezent od Arii i list od taty, usiadłem na łóżku. Zastanawiałem się, który powinienem otworzyć najpierw, i po niewielkiej wewnętrznej debacie zdecydowałem się na podarek.

Zdarłem papier i zobaczyłem obraz, jaki stworzyła dla mnie Aria. Do płótna przyczepiła zdjęcie taty i mnie, gdy byłem mały. Uśmiechaliśmy się szeroko, trzymając wędki, a ja miałem w rękę stary but, który tamtego letniego dnia wyłowiłem z jeziora.

Aria stworzyła szerszy plan, używając techniki abstrakcyjnej, rzucając żółcie i pomarańcze na niebo, dzięki czemu płótno tryskało życiem.

Natychmiast do niej napisałem:

Ja: JA – ZAIMEK OSOBOWY: LEVI WESLEY MYERS.

Ja: KOCHAM – CZASOWNIK: DARZYĆ KOGOŚ UCZUCIEM MIŁOŚCI, ŻYWIĆ DO DRUGIEJ OSOBY GORĄCE, SILNE I STAŁE PRZYWIĄZANIE.

Ja: CIĘ – ZAIMEK: OZNACZAJĄCY CIEBIE, ARIO LAUREN WATSON.

Aria: TEŻ – PARTYKUŁA: WŁĄCZA DO WIĘKSZEGO ZBIORU. JA TEŻ CIĘ KOCHAM.

Z duszą na ramieniu otworzyłem list od taty.

Lee,

Jestem beznadziejnym ojcem.

Jestem okropnym człowiekiem.

Nie wiem nawet, jak zacząć, by powiedzieć Ci, jak bardzo siebie nienawidzę. Nie mam zamiaru pisać, jak bardzo Cię przepraszam, bo zapewne pomyślisz, że to przez raka i że przemawia przeze mnie strach.

Co może być prawdą.

Boję się śmierci. Boję się umrzeć, co nie jest niespodzianką, skoro bałem się też żyć. Boję się, że odejdę z tego świata i nikt nie będzie o mnie pamiętał. A nawet jeśli będą pamiętać, to za sprawą rzeczy, których żałuję. To miasto i tych ludzi traktowałem jak gówno. Ciebie nawet jeszcze gorzej.

Lecz, mimo to, wróciłeś do mnie. Kochałeś mnie, kiedy nie zasługiwałem na miłość.

Bałem się ponownie do Ciebie zbliżyć, ponieważ wiedziałem, że umieram. Bałem się, że przez to będziesz cierpieć, kiedy już odejdę. Najszczęśliwszymi chwilami mojego życia były te spędzone z Tobą w domku na drzewie. Jesteś najlepszym, co mnie kiedykolwiek spotkało.

Nie jestem dobrym człowiekiem, nigdy nie byłem przyzwoitym przyjacielem, mężem czy ojcem, jednak nie wszystko zdołałem spieprzyć. W jakiś sposób coś mi się udało i wiem, że to prawda, ponieważ Ty jesteś jedynym dobrem pozostałym po mnie.

Będę Cię kochał, nawet kiedy koniec już przeminie.

~ Tata

Siedziałem z kartką w ręku, nieustannie czytając zapisane słowa.
Też cię kocham, tato.

Nasze lekcje gry na skrzypcach odbywaliśmy z mamą w lesie. Przed sobą miałem stojak z zapisem nowej piosenki, której uczyła mnie mama. Gałęzie drzew kołysały się na wietrze, co rusz rzucając na nas cienie. Mama przez chwilę patrzyła na mnie, marszcząc brwi.

– Dobra, stop, stop, stop. – Uderzyła się dłonią w czoło i oparła o pień. – Co się, u licha, stało?

– O co ci chodzi? Grałem właściwe nuty.

– Trafianie we właściwe nuty nie ma znaczenia, jeśli nie wkładasz duszy w muzykę. Jeśli tak się nie dzieje, to tylko dźwięk. – Przekrzywiła głowę. – O czym myślisz?

Odłożyłem skrzypce do futerału i wzruszyłem ramionami.

– To nie ma sensu. Nie rozumiem, dlaczego tata przestał do mnie pisać i nie pozwalał się odwiedzać. I nigdy się tego nie dowiem, nigdy nie poznam odpowiedzi... I to mnie dręczy. Pożera od środka.

– Rozumiem. – Odsunęła się od pnia i poszła w kierunku domu. Wróciła z niewielką skrzyneczką. – Kazał mi obiecać, że ci o tym nie powiem. Byłam w naprawdę złym stanie, Levi. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale czułam że cię tracę. Wydawało mi się, że mnie zostawisz i zamieszkas z nim. Mój umysł był niestabilny. Kiedy mi się poprawiało, chciałam ci to dać, ale twój tata poprosił, bym tego nie robiła.

– Dlaczego?

– Nie chciał, byś mnie nienawidził.

Otworzyłem szkatułkę i zacząłem przeglądać kartki. Wysłane z okazji świąt, urodzin i inne. Kartki z pięciu lat, o których istnieniu nie wiedziałem. Przeczytałem je wszystkie.

Mama usiadła naprzeciw mnie.

– Nie nienawidziłbym cię, mamo.

– To on przekonał mnie, bym poszła na terapię do Świętego Jana. Zapłacił też za nią. Wmówił mi, że wrócisz do domu tylko wówczas, jeśli zgłoszę się na leczenie. Umówiliśmy się tak, że odeśle cię z powrotem, kiedy mi się poprawi. Poza tym nie chciał, byś był świadkiem jego

umierania.

– Dlaczego to zrobił?

– Ponieważ wiedział, że jego życie się kończy. Nie chciał, byś stracił nas oboje.

Tylu rzeczy nie wiedziałem o tacie. Miałem pytania, na które nigdy mi nie odpowie, ale dostałem odpowiedź na jedną rzecz, nad którą zawsze się zastanawiałem.

Nigdy nie przestał mnie kochać.

I to mi wystarczało.

– Zostawił ci coś, Levi.

– Co takiego? – zapytałem.

Ponownie skierowawszy się do domu, powiedziała:

– Chodź. Zapewne będziesz chciał usiąść, kiedy to usłyszysz.

ROZDZIAŁ 46

Aria

Rodzina Simona spakowała wszystkie swoje rzeczy w czerwcu, po zakończeniu roku szkolnego. Wszyscy uczestniczyliśmy w uroczystości rozdania dyplomów Mike'a, gdzie James wygłosił kwiecistą mowę na temat minionych błędów i przyszłych szans.

Zrobiliśmy później imprezę dla Mike'a, na której wszyscy się śmiali, płakali i żegnali ze sobą.

Landonowie wyruszali wieczorem, ponieważ czekała ich długa droga z Wisconsin. W jakiejś mierze nie potrafiłam poradzić sobie ze stratą najlepszego przyjaciela.

Razem z Simonem i Abigail siedzieliśmy na ganku, kiedy Keira sadzała Eastona w foteliku samochodowym.

– Więc to chyba już, co? – Uśmiechnęłam się do Simona.

Zdjął okulary i pomasaował nos.

– Chyba tak.

Obrócił się do Abigail i cztery razy pocałował ją w usta, nim się z nią ostatecznie pożegnał, obiecując pisać przez całą drogę do Waszyngtonu. Kiedy się tulili, podeszłam do samochodu i cztery razy pocałowałam Eastona w czoło, by tym gestem uczcić jego starszego brata.

Zaraz potem uścisnęłam Keirę i Paula.

Podszedł do mnie Simon, ale nie uścisnął mnie cztery razy, jak się spodziewałam. Tulił mnie długo i mocno, przez co łzy nabiegły mi do oczu.

– Czekaj! – powiedziałam, po czym biegiem wróciłam na ganek po futerał na gitarę. – To Eastona. Jego gitara powietrzna. Chcę, byś nauczył go na niej grać, kiedy będzie już w odpowiednim wieku. Obiecasz, że go nauczysz?

Skinął głową.

– Obiecuję.

– Przyrzeknij, że się nim zaopiekujesz – szepnęłam.

– Przyrzekam – odparł równie cicho.

Stałyśmy z Abigail blisko siebie, obserwując, jak samochód znika na końcu drogi.
– Zgaduję, że zostałyśmy same, co? – Abigail się uśmiechnęła.
– Najwyraźniej.
– Myślisz, że powinnam się martwić, że Simon znajdzie sobie inną dziewczynę?
– Co? Nie ma mowy. Simon ma świra na twoim punkcie.
– Wiem. To super. Chciałam przypieczerować nasze wzajemne przywiązanie, ale postanowiliśmy nie uprawiać seksu, ponieważ, no wiesz, jego przyjaciółka zaliczyła wpadkę w trzeciej klasie szkoły średniej, co było dramatem i w ogóle. Więc wczoraj zdecydowałam się zrobić mu ręką laskę w łazience.
– O matko, Abigail!
– Nie to, żeby coś z tego miała, ale było spoko, po tym wszystkim, czego się o tym naczytałam.
– Co?! Są materiały na temat robienia laski?
– Google, Aria! – Abigail wyszczerzyła zęby w uśmiechu, kiedy wracałyśmy do domu. – Poważnie, ile razy mam ci to powtarzać?
Miałam przecucie, że przy tej dziewczynie nie będę czuła się samotna.

W czasie wakacji zaprzyjaźniłam się z Abigail. Było inaczej, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Wcześniej nie miałam bliskiej przyjaciółki, a ona była świetna z tym swoim dziwnym zachowaniem.

Kiedy nie spotykałam się z nią, szłam o szóstej rano do lasu karmić jelenia. Wydawało się, że zwierzę nie ufa mi w pełni. Levi był dużo lepszy w jego karmieniu, jednak nie chciałam się poddać.

Pierwszego lipca stałam rankiem w lesie, trzymając w dłoni jagody. Jeleń patrzył na mnie i zbliżał się coraz bardziej. Był już ode mnie zaledwie o centymetry, już miał wziąć jagody, jednak za moimi plecami strzeliła gałązka, przez co zwierz się spłoszył. Obróciłam się i oddech uwiązł mi w gardle, kiedy zobaczyłam chłopaka w niebieskich trampkach, kopiającego niewidzialne kamyczki.

Dołączyłam do kopania.

Uniosłam głowę i popatrzyłam Leviemu w oczy. Uśmiechnął się do mnie lekko, co mnie zawsze rozweselało.

– Przepraszam, że wystraszyłem jelenia. – Podszedł bliżej. – Nie wiedziałem, że ktoś tu będzie. – Wyciągnął do mnie mały palec.

Zacisnęłam na nim swój.

– Co tu robisz? – zapytałam.

– Przyjechałem w nocy z mamą. Okazało się, że tata w testamencie zapisał nam dom.

Wymaga wielu napraw, ale mama stwierdziła, że zawsze był nam przeznaczony.

Ścisnęło mnie za serce. Przysunęłam się do Lewiego. Byliśmy tak blisko, że nasze wargi niemal się dotykały. Czułam ciepło jego oddechu, który owiewał moją skórę, moją duszę.

– Wszystko u ciebie dobrze? – zapytałam.

– Tak – odparł. – A u ciebie wszystko dobrze?

– Tak – odpowiedziałam. Moje serce wywinęło koziołka, kopnęło i zatrzepotało mi w piersi. – Naprawdę zostajesz?

Założył mi włosy za ucho.

– Tak, naprawdę zostaję. – Delikatnie dotknął mnie ustami, przez co zadrżałam. Pocałował mnie z całą mocą, co natychmiast odwzajemniłam. Cichym głosem, chłopak w znoszonych niebieskich trampkach powiedział dwa słowa, przez co łzy spłynęły mi po policzkach:

– Cześć, Art.

Zamrugałam, nim popatrzyłam w parę najpiękniejszych brązowych oczu.

Kochałam go. Tak bardzo go kochałam. Kochałam go, nie żałując wczorajszego dnia i nie bojąc się jutrzejszego. Kochałam go w tamtej chwili, w ciszy, w tajemniczym szepcie miłości, który mogły zrozumieć jedynie młode dusze.

Biorąc niewielki wdech i czując jak wali mi serce, szepnęłam:

– Cześć, Soul.

PODZIĘKOWANIA

Nie potrafię wyrazić, ile dla mnie znaczą! Serdecznie dziękuję za Waszą miłość do słów.

Dziękuję rodzinie za miłość i wsparcie, kiedy pograżałam się w zamyśleniu przez wiele niekończących się dni. Specjalne podziękowania dla mamy, która rozmawiała ze mną podczas ataków paniki związanych z książką i mówiła, bym zaufała swemu sercu.

Dziękuję przyjaciółkom, Vickie, Kyle i Amber, które wciąż mnie kochają, choć opuściłam zbyt wiele piątkowych wieczorów, by dokończyć tę książkę.

Dziękuję niesamowitej grupie krytyków, są to najwspanialsze kobiety, jakie kiedykolwiek poznałam. Wszystkie jesteście utalentowane i cieszę się, że Was mam!

Dziękuję Stacey, Amy, Anitrze, Karin, Allison, Michelle i Adrienne – najlepszym pierwszym czytelniczkom na świecie. Każda z Was pomogła mi na wiele sposobów! Jestem niesłychanie wdzięczna!

Dziękuję wspaniałej redaktorce Caitlin z Edits by C. Marie – za radzenie sobie z moim szaleństwem! Również wielkie podziękowania dla korektorki Emily Lawrence, która była bardzo wnikliwa.

Dziękuję Danielle Allen i Olivii Linden – moim bratnim duszom. Bardzo Was Kocham!

Dziękuję Kristen Hope Mazzoli – mojej przyjaciółce i pisarce, która kazała mi zaufać sercu i milion razy wysłuchała mojego narzekania zarówno na początku, jak i na końcu tej historii. Kocham Cię!

Dziękuję tym, którzy uczynili moją książkę piękną – Lauren Perrywinkle z Perrywinkle Photography za cudne zdjęcie na okładkę i projektantce okładki Stacji z Quirky Bird.

Ogromne podziękowania wszystkim blogerom, którzy promują moje książki, zwiększając nieco moje szanse! Nie potrafię wyrazić, ile wszyscy dla mnie znaczą! Dziękuję!

Na końcu chciałabym podziękować TOBIE, kimkolwiek jesteś, za to, że jesteś sobą.

Buziaki!